

74

ISSN 2449-5328

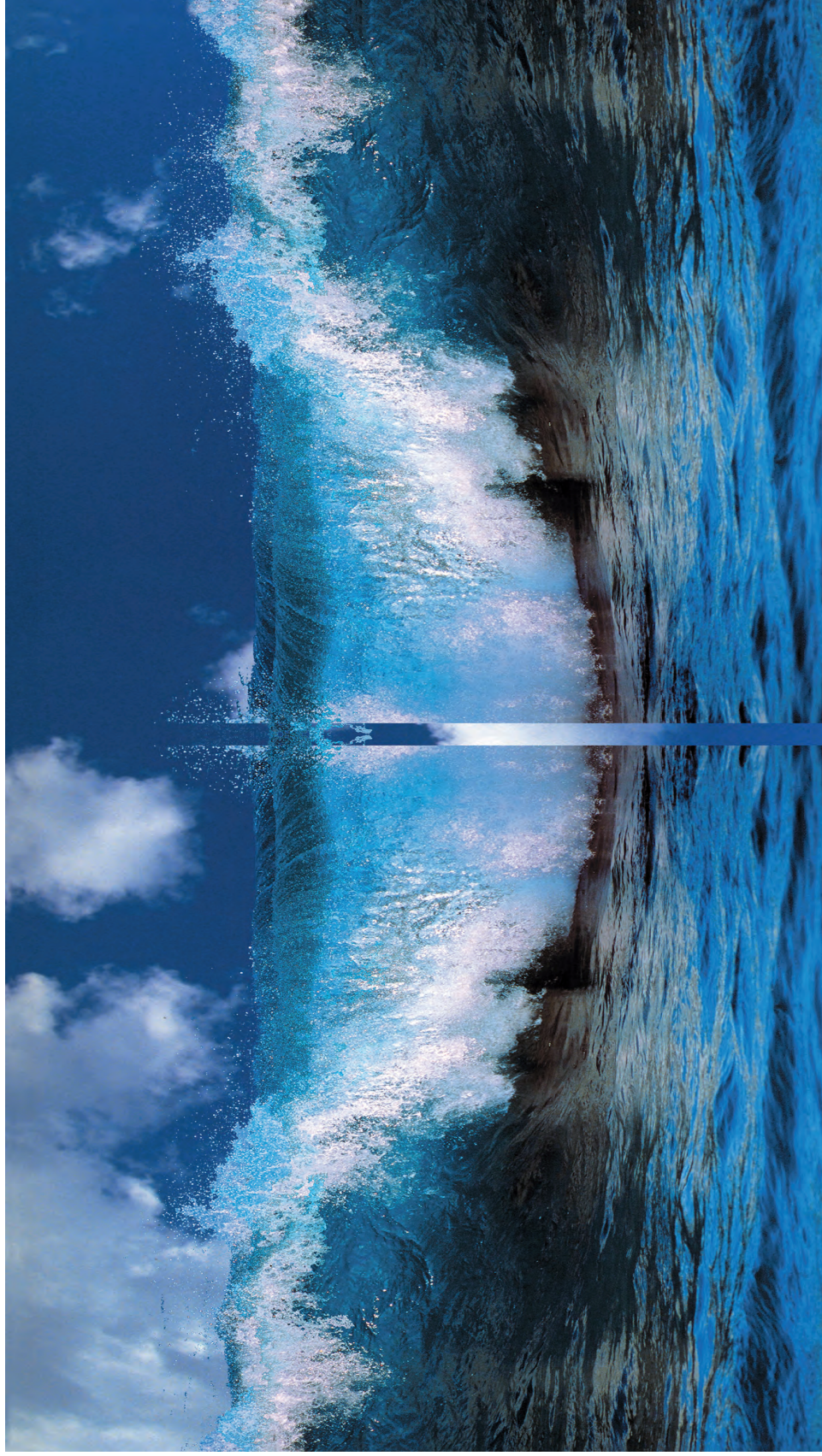
GALERIA

CZĘSTOCHOWSKI MAGAZYN LITERACKI
Towarzystwa Galeria Literacka

kwiecień – czerwiec 2025



poezja • proza • szkice • recenzje • eseje • felietony • humoreski • fraszki • satyra



Janusz Pacuda, *Wzburza 2*, druk cyfrowy, 2021

SŁOWO OD REDAKCJIBogdan Knop, Barbara Strzelbicka, *Znaki naskalne* 3**WYDARZENIA***Kalendarium: kwiecień–czerwiec 2025 r.* 4**POŻEGNANIE**

Janusz Mielczarek (1936–2025) 7

Wspomnienia 8–17

Jarosław Kapsa, *Wspomnienie o ulatujących słowach*; Jacek Jerzy Kucharczyk, *Wspomnienie o Januszu*; Małgorzata Nowakowska-Karczewska, *Pamięć*; Jerzy Kowalik, *Epitafium*; Andrzej Ostalowski, *Człowiek*; Artur Gielezy, *Pan Janusz*; Małgorzata Franc, *Fotografie*; Jan Ciesielski, *Januszowi M. – Janek z Galer*; Janusz Strojec, *Matka Boska Okaleczona*; Elżbieta Jolanta Gola, *Drogi Jano*; Janusz Jano Mielczarek, *Zapiski osobiste – c.d.***LAURÓW WIENIEC**Barbara Strzelbicka, *Niezamierzony benefis* 19

Powinszowania 20–27

Janusz Jano Mielczarek, *Drogi Bogdanie*; Tadeusz Luterek, *Wierszyk taki niefrasobliwy*; Elżbieta Jolanta Gola, *Bogdanowi – z okazji promocji...*; Janusz Strojec, *Bogdan! Trzymaj się!!!*; Paulina Wysocka-Morawiec, *Limeryk dla Prezesa*; Ida Jadwiga Łubińska, *Bogdanie – Pisarzu, Twórcu, Prezesie!*; Jan Ciesielski, *Laurkowe słowa dla Bogdana Knopa*; Jerzy Kowalik, *Bogdanowi – Naród*; Andrzej Ostalowski, *Dla Prezesa*; Henryk Piech, *Mieć Prezesa za sąsiada*; Anna Jędryka, *Na Prezesa*; Barbara Strzelbicka, *Oda ku czci Prezesa*; Arkadiusz Frania, *Niech żyje Bogdan Knop!***POEZJA**Aleksander Wierny, *Szkło, Oliwka, Bóg* 29Wiesława Owczarek, *Reminiscencje* 30Janusz Strojec, *Ogród za domem* 32Anna Jędryka, *Jeszcze trochę wiosny* 34Andrzej Ostalowski, *Dogadany z życiem* 36Zdzisław Opałko, *Wierszowana impresja* 38Arkadiusz Frania, *Agatka mówi, że...* (fragmenty) 39**PROZA**Jakub Bartecki, *Oni* 47Paulina Wysocka-Morawiec, *Kozłowy sylwester* 54Karol Jerzy Kowalik, Jerzy Kowalik, *Szewska. W samo południe* 61**DRAMAT**Witold Jakubiak, Tadeusz Wrona, *Detal czy Ikar, czyli drgania swobodnie tłumione* 65

CZĘSTOCHOWA Publikacja dofinansowana ze środków budżetu Gminy Miasta Częstochowy w ramach otwartego konkursu ofert na realizację w 2025 roku zadań publicznych z zakresu kultury i sztuki, dziedzictwa narodowego oraz upowszechniania kultury.

SZKICE, ESEJE, RECENZJE

Barbara Strzelbicka, <i>Liryczny portret podwójny. O książce A. Frani „Agatka mówi, że... Powiadania filozoficzne”</i>	73
Janusz Strojec, <i>Antyfony literacka i eseistyczna, czyli o książce K. Ludwickiego „Chrystus w więzieniu”</i>	79
Krzysztof Seweryn Wroński, <i>Nie do wytłumienia</i>	82
Ida Jadwiga Łubińska, <i>„Zjednoczeni w Sztuce”</i>	83
Tomasz „Aztenty” Barański, <i>Jarosław Iwaszkiewicz i Sandomierz</i>	85

FELIETON

Jerzy Kowalik, <i>Piwo bezalkoholowe</i>	89
--	----

Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K

Małgorzata Nowakowska-Karczewska, <i>Mroki duszy</i>	90
--	----

HISTORIA W GALERII

Jarosław Kapsa, <i>Iść za marzeniem, barwnym motylem</i>	94
--	----

WIDZIANE Z GALERII. *Subiektywna kronika wypadków kulturalnych*

Barbara Strzelbicka, <i>Rzeka, kobiety i męski punkt widzenia</i>	101
Barbara Strzelbicka, <i>Tytułem uzupełnienia</i>	102
Ida Jadwiga Łubińska, <i>Strzałkowska kontra Gellner</i>	103
Barbara Strzelbicka, <i>„Galeria” malarska</i>	104
Barbara Strzelbicka, <i>Nieustająco inspirująca</i>	104
Barbara Strzelbicka, Bogdan Knop, <i>Spotkanie po sąsiedzku</i>	105
Barbara Strzelbicka, <i>Muzyczne dziesięciolecie</i>	106
Barbara Strzelbicka, <i>Na czworo rąk</i>	107
Barbara Strzelbicka, <i>Warsztatowo na ludowo</i>	108

NOTY O KSIĄŻKACH

Arkadiusz Frania, <i>Agatka mówi, że... Powiadania filozoficzne</i>	110
Tadeusz Wrona, <i>Ręce w górze</i>	110
Paulina Wysocka-Morawiec, <i>Miłość po sąsiedzku</i>	110
Konrad Ludwicki, <i>Chrystus w więzieniu. Ostatnie godziny życia ziemskiego</i> ..	111
Sylwia Góra, <i>W stronę Anny. Biografia Anny Iwaszkiewicz</i>	111
<i>Legends Jury II</i>	111

NA SZTALUGACH

Janusz Pacuda	112
---------------------	-----

ZAPISKI GALERJANA

Jan Ciesielski, <i>Zaczadzeni</i>	115
---	-----

NOTY O AUTORACH

Jacek Jerzy Kucharczyk	11
Aleksander Wierny	29
Karol Jerzy Kowalik	61
Jerzy Kowalik	64
Janusz Pacuda	113

ZNAKI NASKALNE

Następnego dnia po moim wieczorze autorskim zadzwonił do mnie Janusz Mielczarek z wierszem napisanym dla mnie, a nieprzeczytany przez niego w trakcie wieczoru: „Bo wiesz, nie chciałem się pchać, zresztą nieważne...” – i przeczytał mi swój wiersz o znakach zostawianych na skale. Byłem wzruszony i trochę zaskoczony, rozmowa nie trwała długo, zaś wiersz miałem otrzymać na naszym kolejnym spotkaniu. Ale na spotkaniu nie było już Janusza, odszedł w niedzielę w drodze dokądś, skąd już nie wrócił. Dedykowany mi wiersz (publikowany w tym numerze „Galerii”) mówi tyle o mnie, co o Nim. O znakach naskalnych, o tym, co pozostaje, o chmurach i szyfrach... Pozostaniesz wśród nas, Januszu, w naszej pamięci, w znakach naskalnych, w Twoich tekstach.

20 maja byliśmy z Olgą Wiewiórą na benefisie z okazji osiemdziesiątych urodzin Bohdana Zadury w Puławach, w tamtejszym imponującym Domu Kultury, którego nie powstydziliby się miasto o wiele większe. Słuchaliśmy Jubilata i wielu ciepłych słów o naszym przyjacielu po literaturze, wybitnym poecie, tłumaczu, redaktorze „Twórczości”, a wśród tych słów – słowo przewodniczącego Rady Powiatu Puławskiego Pawła Nakoniecznego, że do poezji przekonał go wiersz Haliny Poświatowskiej. Mały ten świat – na osiemdziesiątce Bohdana Zadury przypomniła się urodzona przed dziewięćdziesięciu laty Halina Poświatowska! Oto szyfry, znaki naskalne, oto chmury...

Drugi kwartał tego roku obfitował w ważne dla Galerii wydarzenia, związane z działalnością wydawniczą, publicystyczną oraz towarzyską (jesteśmy Towarzystwem, a przede wszystkim grupą przyjaciół). Najważniejszym z nich było odejście Janusza Mielczarka, którego na łamach „Galerii”

zegnamy słowami, w jakie udało się ująć nasze emocje.

Wcześniej swoją premierę miała książka Wołodymyra Jaworskiego-Woldmura *Zapiski mojego przyjaciela T. R.*, którą z języka ukraińskiego przełożył Bogdan Knop. Po niej promowaliśmy „Galerię” 73, a w niej unikatowy materiał o malarzu urodzonym w Częstochowie Jacku Mierzejewskim, co jest zasługą Tadeusza Wrony. Nasza koleżanka Paulina Wysocka-Morawiec wydała swoją czwartą powieść obyczajową, o czym opowiadała w Hali Sportowej w Konopiskach. Kolejnym wydarzeniem była promocja książki Bogdana Knopa *Jeszcze nie wiadomo*, czym zostało uczczone dwudziestolecie jego pracy pisarskiej. Była też promocja tomu poetyckiego Tadeusza Wrony *Ręce w górze*. W międzyczasie wydaliśmy książkę Arkadiusza Frania *Agatka mówi, że... Powiadania filozoficzne*. Taką kumulację zdarzeń będzie nam trudno powtórzyć. O wszystkim – i nie tylko o tym – piszemy w bieżącym numerze, a są tu teksty nowe, w tym napisane przez autorów dotąd nieobecnych na naszych łamach, z czego ogromnie się cieszymy. Radzi jesteście także, że nasz kwartalnik zdobną prace znakomitego grafika Janusza Pacudy.

Na chwilę przed oddaniem „Galerii” 74 do składu dotarła do nas wiadomość, że Arkadiusz Frania został odznaczony Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. Gratulujemy i ogromnie się cieszymy!

Za wszystko dziękujemy Autorom, a naszym Czytelnikom życzymy, aby „Galeria” spełniała Państwa oczekiwania. To nasze „znaki naskalne”, o których tak pięknie napisał Janusz Mielczarek.

BOGDAN KNOP, BARBARA STRZELBICKA

KALENDARIUM kwiecień – czerwiec 2025



KWIECIEŃ

- 3.04** – promocja książki Wołodymyra Jaworskiego-Woldmura *Zapiski mojego przyjaciela T. R.* w przekładzie Bogdana Knopa – Dom Poezji – Muzeum Haliny Piświatowskiej
- 4.04** – „Zbinkowi – przyjaciele” – spotkanie w 5. rocznicę śmierci Zbysława Janikowskiego – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 5.04** – wernisaż wystawy „Masuria 11. Ciąg Dalszy Ogólnopolskiego Pleneru Artystycznego” – Konduktorownia;
- 10.04** – wernisaż wystawy fotografii Magdaleny Kmiecik „Efemeryczność palety malarzkiej” – OPK „Gaude Mater”;
- 10.04** – zmarł Leo Beenhakker, piłkarz i trener;
- 11.04** – wernisaż wystawy malarstwa Łukasza Chmielewskiego „Lapidaria” – Muzeum Częstochowskie, Pawilon Wystawowy;
- 12.04** – zmarł o. Andrzej Kłoczowski, dominikanin, publicysta;
- 13.04** – spotkanie z wystawami Justyny Warwas i Darka Pali – Miejska Galeria Sztuki;
- 14.04** – zmarł Mario Vargas Llosa, pisarz;
- 21.04** – zmarł papież Franciszek;
- 22.04** – spotkanie z Martą Byczkowską-Nowak, autorką książki *Nieocalony*.

Tadeusz Borowski. Biografia – Biblioteka Publiczna, Filia nr 9;

- 22.04** – wieczór autorski Ewy Foley „Powrót bestsellerów” – Arche Hotel;
- 23.04** – premiera „Galerii” nr 73 i przywracanie pamięci o Jacku Mierzejewskim – Muzeum Monet i Medali św. Jana Pawła II;
- 24.04** – Turniej Jednego Wiersza – Resto&Pub Szafa Gra;
- 25.04** – wernisaż wystawy „Gwiazdy polskiego szkła po 1945 roku ze zbiorów Pałacu Schoena Muzeum w Sosnowcu – Muzeum Częstochowskie, Galeria Dobrej Sztuki;
- 26.04** – wernisaż wystawy poplenerowej „Z biegiem Warty” – Konduktorownia;
- 30.04** – zmarł Mirosław Szmerdt, „Pan Hieronim”.

MAJ

- 6.05** – otwarcie wystawy Izabeli Sowier-Kasprzyk „Polskie Artystki” – Miejska Galeria Sztuki;
- 7.05** – premiera książki Bogdana Knopa *Jeszcze nie wiadomo* – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 7-8.05** – Konklawe 2025;
- 8-23.05** – obchody 90. rocznicy urodzin Haliny Piświatowskiej – Muzeum Częstochowskie;
- 9.05** – wernisaż jubileuszowej wystawy fotografii Joanny Sidorowicz „Kobieta z aparatem fotograficznym” – OPK „Gaude Mater”;
- 9.05** – wernisaż wystawy malarstwa Piotra Dłubaka „W pacht na modłę oka” – Konduktorownia;
- 9.05** – finał konkursu „Cyberfoto 2025” – ROK;
- 11.05** – zmarł Janusz Mielczarek, pisarz, fotograf, dziennikarz;

- 11.05** – koncert symfoniczno-oratoryjny pamięci Jana, Edwarda i Józefiny Reszków – Kościół Ewangelicko-Augsburski;
- 14.05** – premiera książki Marcelego Antoniewicza *O początkach ośmiuset lat dziejów Częstochowy w najdawniejszych dokumentach zapisanych* – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 16.05** – spotkanie autorskie z Pauliną Wysocką-Morawiec i promocja książki *Miłość po sąsiedzku* – Gminna Hala Sportowa w Konopiskach;
- 16.05** – wernisaż wystawy rzeźby Pawła Patrzyka – OPK „Gaude Mater”;
- 17.05** – Noc Muzeów w Muzeum Częstochowskim;
- 18.05** – inauguracja pontyfikatu papieża Leona XIV;
- 18.05** – wybory prezydenckie – I tura;
- 20.05** – Dom Mody „Telimena” – co nosiły Polki? – spotkanie z Katarzyną Jasiołek – Biblioteka Publiczna, Filia nr 9;
- 22.05** – premiera spektaklu warsztatowego „Sielsko-anielsko” – Teatr im. A. Mickiewicza;
- 23.05** – „Kwadrans z poezją Haliny Poświatowskiej” – Miejski Dom Kultury;
- 27-30.05** – 7. Konkurs Wokalny im. Jana, Edwarda, Józefiny Reszków – Filharmonia Częstochowska;
- 28-30.05** – Festiwal „Częstochowski Przegląd Literatury” – OPK „Gaude Mater”;
- 30.05** – prapremiera spektaklu „Jeśli przecięto cię na pół” – Teatr im. A. Mickiewicza;
- 31.05** – wernisaż wystawy Justyny Rybak „Bazgroły” – OPK „Gaude Mater”;
- 31.05** – wernisaż wystawy „20 lat Zachęty” – Konduktorownia;
- 31.05** – „Impast” 10 lat na scenie – koncert jubileuszowy – Muzeum Monet i Medali.
- 6-8.06** – 20. Międzynarodowy Festiwal Jazzu Tradycyjnego Hot Jazz Spring;
- 7.06** – INDUSTRIADA 2025 – Muzeum Górnictwa Rud Żelaza;
- 7.06** – Salon Poezji z twórczością Bogdana Loebbla „Przyszedł do mnie blues” – Teatr im. A. Mickiewicza;
- 7.06** – finisaż wystawy „20 lat Zachęty w Częstochowie” – Konduktorownia;
- 8.06** – zmarła Ewa Dałkowska, aktorka;
- 9.06** – zmarł Frederick Forsyth, pisarz;
- 9-14.06** – Festiwal i wystawa „BIG SIZE” – Konduktorownia;
- 11.06** – walne zebranie Towarzystwa Galeria Literacka – Dom Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej;
- 12.06** – zmarł Józef Jarmuła, żużlowiec;
- 12.06** – spotkanie autorskie z Sylwią Górą, autorką książki *W stronę Anny* – Miejska Galeria Sztuki;
- 13-15.06** – Europejskie Dni Archeologii – Muzeum Częstochowskie;
- 17.06** – zmarł Alfred Brendel, pianista;
- 17.06** – promocja książki pokonkursowej *Legendy Jury II* – ROK;
- 18.06** – „W zdrowym ciele... czas na kulturę” – wystawa jubileuszowa. Muzeum Higieniczne 1905 – Muzeum Częstochowskie 2025” – Pawilon Wystawowy;
- 21.06** – zmarła Danuta Kobylińska-Walas, kapitan żeglugi wielkiej;
- 21.06** – zmarł Jarosław Klejnocki, pisarz, esaista, krytyk literacki;
- 24.06** – *Wściekłość* – wieczór autorski z Ludwikiem Lunarem – Arche Hotel;
- 25.06** – finisaż wystawy Justyny Rybak i promocja ilustracji do książki Tadeusza Wróny *Smoki, ptaki i robaki* – OPK „Gaude Mater”;
- 26-29.06** – IV Festiwal im. Piotra Machalicy;
- 27.06** – zmarł Adam Markowski, fotograf, grafik, nauczyciel, urzędnik;
- 29.06** – koncert inauguracyjny Letniego Jurajskiego Festiwalu Muzycznego 2025 – Kościół Ewangelicko-Augsburski.

BARBARA STRZELBICKA



ZMARŁ JANUSZ MIELCZAREK

[1936–2025]

UWAŻAŁ SIĘ ZA SZCZĘŚCIARZA, co podkreślał przy okazji świętowania Jubileuszu 80-lecia i wydania książki *Szczęściarz i inne przypadki* (Częstochowa 2016). Urodził się 16 czerwca 1936 r., był częstochowianinem, z wykształcenia ekonomistą, literatem, fotografikiem, dziennikarzem – człowiekiem niezwykle pogodnym i naszym nieocenionym Przyjacielem.

Duży wpływ na Jego późniejszą działalność artystyczną miał udział w studenckim ruchu teatralnym lat 60. XX w. i kontakty z jego czołowymi animatorami. Mając dwadzieścia lat, napisał pierwsze opowiadania, które Tadeusz Gierymski zrecenzował słowami: „Ja bym tu nic nie zmieniał”. Równolegle z próbami literackimi podejmował fotograficzne i nieśmiałe malarskie. W latach 1970–1975 pracował w „Gazecie Częstochowskiej” oraz ukończył Studium Dziennikarskie. Pierwszą znaczącą nagrodę literacką otrzymał w 1977 r. za opowiadanie *Inny* w konkursie Związku Literatów Polskich Oddział w Opolu. Jego debiutem książkowym był zbiór opowiadań *Zanim wyrzucą cię z samolotu*, uhonorowany trzecią nagrodą Wydawnictwa „Iskry” (1982), wydany przez Krajową Agencję Wydawniczą (Łódź 1986).

Lata 1994–2005 to wzmożona aktywność Janusza Mielczarka na polu fotografii: członkostwo Kapituły Fotoklubu RP i Związku Polskich Artystów Fotografików, znaczące wystawy (tu m.in. „Galernicy”, „Fotografie” – trzy edycje), główna nagroda Fotograficznych Mistrzostw Polski w Warszawie (1999), I nagroda w kategorii portretu na wystawie w Pardubicach (2003) oraz utworzenie w Częstochowie Jurajskiego Oddziału Fotoklubu RP i powołanie Międzynarodowego Salonu Martwej Natury w Fotografii. W roku 2011 zbiorem *Hrabalowisko i inne opowiadania* wrócił do pracy literackiej i do 2021 r. wydał dziewięć książek, w tym dwa zbiory opowiadań wznowionych i tomik poetycki *Szepty z podróży*. Niezwykle cenna jest książka *Być pomiędzy słowem a obrazem* (Częstochowa 2018), dokumentująca dorobek artystyczny Janusza Mielczarka.

Do najważniejszych nagród otrzymanych w tamtym okresie zaliczał I i II w konkursie im. Stanisława Grochowiaka (2010, 2014) oraz I nagrodę w konkursie Szaloma Ascha (2011). W „Twórczości” (1/2021) ukazało się Jego opowiadanie *Bóg da mi konie*. W 2010 roku został odznaczony medalem Zasłużony Kulturze „Gloria Artis”, a w 2013 otrzymał nagrodę Prezydenta Miasta Częstochowy.

Od 2012 r. był stałym współpracownikiem Towarzystwa Galeria Literacka, systematycznie publikował swoje teksty w Częstochowskim Magazynie Literackim „Galeria” – ostatnio sygnował je jako Janusz Jano Mielczarek. Współpracował też z wrocławskim „Formatem” i z „Formatem Literackim”. Do końca uczestniczył w spotkaniach Towarzystwa Galeria Literacka, ostatnio widzieliśmy się 7 maja, tuż przed Jego śmiercią.

Zmarł 11 maja 2025 r., nie ukończywszy 89 lat. Będzie nam Go bardzo brakowało.

Zarząd Towarzystwa Galeria Literacka
Zespół redakcyjny „Galerii”

JANUSZ MIELCZAREK – WSPOMNIENIA

Jarosław Kapsa

Wspomnienie o ulatujących słowach

– Wiesz – wyznał Janusz – przyśnił mi się Tadeusz Miśkiewicz. Był cały taki jak Tadeusz, ale ubrany w śmieszny kombinezon, przypominał ludzika z reklamy Michelin.

Siedzieliśmy przy piwie w zacnym gronie. Tadeusza z nami nie było, bo jego styl życia nie przewidywał długiego trwania na doczesnym świecie. Stanowił więc już tylko punkt odniesienia, fragment naszej pamięci o szaleństwach świata kulturalnego Częstochowy. A sen Janusza przepoczwarzył się w jedno z jego magicznych opowiadań.

Dociekliwi komparatyści, którzy wcześniej czy później wezmą na warsztat książki Mielczarka, będą musieli ustalić zasady cyklu produkcyjnego. Na początku był obraz, tysiące, a może miliony obrazów przesączonych do świadomości przez filtr emocji odbiorcy. Filtr budowany był przez wchłonięcie dobrej literatury; zatem to, jak daną chwilę rzeczywistości odbierała wrażliwość Janusza, doprawiane było próbą zrozumienia, jak by ten świat postrzegał Hrabal. Ciężkie zadanie dla komparatystów, bo Hrabal mieszał się z innymi mistrzami pióra, a na to nakładały się obrazy z filmów Felliniego i poezja ekspresyjnie wyśpiewana przez Ewę Demarczyk. Z wyliczanych nazwisk wyziera senioralny anachronizm; szkoły i uczelnie dawno już od tego uciekły, datując narodziny kultury z chwilą poczęcia Fejsbuka. Potem rodzą się problemy natury psychicznej; gdy młody człowiek, złośliwie odcięty od smartfonu, z musu przeczyta Januszową prozę, nie będzie w stanie wydukać, dlaczego słowa go zachwyciły. Zawodowi zaś krytycy docenią warsztat, ale powarczą, że świat Mielczarka nie pasuje do *young adult*, którym, na tym etapie postępu, powinniśmy się zachwycać.

Może jestem niesprawiedliwy, ale twoje dawne książki i ulubieni pisarze to historia tak odległa, jak ten pies, którego kiedyś na pewno miałaś, ale dziś już nie pamiętasz, czy przejechało go auto, czy zdechł ze starości (*Papierowy ptak* [w:] *Do widzenia, panie Fellini. Zmyślenia wieczorne*, s. 17).

Portret Miśkiewicza, tego sennego ludzika Michelin, wyprosiłem od Janusza po prezentacji w Miejskiej Galerii Sztuki. Był on bowiem dla mnie kolegą i symbolem; tym, który w lukrowanej kulturze gierkowskiego socjalizmu prezentował w warunkach półkonspiracyjnych buntownicze rytmy Zeppelinów, Deep Purple, Uriah Heep. Właściwie to przez Tadeusza podjąłem próby zrozumienia pokolenia, poprzedniego mojemu. Tych z Października 1956 r., uczestników rewolty zmieniającej surowy komunizm stalinowski, tworzący w oficjalnym systemie przestrzeń wolności; tej podstawowej w sferze kultury, w sferze wartości, w sferze ekspresji kulturalnej.

Janusz był tego uczestnikiem i świadkiem. Szedł z młodymi gniewnymi w październikowej manifestacji, brał udział w żywiołowych dyskusjach w kawiarni „Sielanka”, stał się częścią środowiska młodych poetów i dziennikarzy wierzących, że słowo może zmienić ludzi i system na lepszy. Ta październikowość nigdy z niego nie wyszła. Biografowie wyliczać będą jego udział w tworzeniu stowarzyszeń twórczych, analizować słowa przekazywane ze sceny kabaretowej, badać jego fascynację sztuką fotograficzną i odnoszone tu sukcesy. Długo był wolnym

duchem, żyjącym z organizacji klubów młodzieżowej kultury. Tę niezależność zachował także jako dziennikarz „Gazety Częstochowskiej”; trudno w starych rocznikach tego partyjnego organu znaleźć tekst autorstwa Mielczarka, pokryty po latach wstydem. A potem zrezygnował z twórczej wolności, został rzecznikiem prasowym Wojewody Częstochowskiego – od chwili powstania, przez dwadzieścia lat istnienia tego administracyjnego tworu.

I był jedynym rzecznikiem, być może jedynym w całej Polsce, któremu dziennikarze wolnej prasy, podzieleni walką konkurencyjną i sympatiami politycznymi, spontanicznie i jednomyślnie urządzili pożegnanie – po „wywaleniu” Janusza na emeryturę. Nie rozwijam tego... Ale każdy urzędnik, nie tylko rzecznik prasowy, powinien się uczyć, jak należy traktować ludzi, by zasłużyć na dobrą pamięć.

Janusz zawsze był młody, zawsze imponował młodzieńczą sylwetką, aktywnością fizyczną. Uprawiał sport automobilowy, więc nie odstręczały go od podróży ani odległość, ani złe drogi. Świat odkrywał spacerując, wędrując po zabytkowych miastach i przemierzając pasma górskie. Wysiłku fizycznego wymagało także uchwycenie dobrego obrazu fotograficznego. Pamiętam, gdy jako pokutę za otrzymany portret Miśkiewicza zgodziłem się pozować Januszowi. Wywiózł mnie na kamieniołomy w Rudnikach i tam przez godzinę, objuczony aparatami fotograficznymi, biegał, jakby dobre zdjęcie wymagało szalonego tańca.

„Wywalenie” na emeryturę odczuwał z goryczą, łącząc ją z żalem za zlikwidowanym wojevodztwem. Gorycz emeryta to przede wszystkim poczucie niepotrzebności. Gromadzi człowiek przez całe życie wiedzę i doświadczenie, czuje wewnętrznie, że z tym bagażem jest coraz bardziej przydatny ogółowi. A ogół woli wypłacać ZUS-owski zasiłek i wyrzucić tak cenny skarb na margines.

Janusz potrafił to sam sobie zrekompensować. Zainicjował i współtworzył Częstochowski Fotoklub, przekazując młodszym swoje doświadczenia. Gromadził wokół siebie kręgi miłośników dobrej książki, prowadząc po kawiarniach dyskusje nad prozą Isaaka Babla, Bohumila Hrabala i innych. Wreszcie przełamał się i wrócił do pióra, by swój artyzm fotograficzny wyrazić słowem.

Wrócił do pióra... bo od młodości nim umiejętnie władał, poezji uczył się w towarzystwie Tadeusza Gierymskiego, pod okiem Żmigrodzkiego, po sąsiedztwu z Poświętowską. W 1981 r., w okresie chwilowej wolności, wydał zbiór opowiadań *Zanim wyrzucą cię z samolotu*, który zyskał dobrą opinię znanych krytyków, a jednocześnie ściągnął na rzecznika prasowego niechęć partyjnych dogmatyków. Nie był to zatem w XXI w. spóźniony wybuch talentu znudzonego emeryta, ale proza dojrzała, starannie cyzelowana, operująca obrazem, dźwiękiem i rytmem. Po 2011 r. wydał w ciągu trzech lat trzy zbiory opowiadań. Każde z nich było perełką. I każda książka dopracowana do szczegółów w swej formie graficznej.

Noszę wielki plecak dobrych wspomnień; jestem ciągle niewypłacalnym dłużnikiem wobec Janusza za dobro, jakie zyskiwałem. Choćbym chciał, a taki jest wymóg obiektywizmu, nie znajdę w swoich relacjach z Januszem niczego, co pozwoliłoby na krytykę. Jednak każdy człowiek różny swój obraz odnajdzie w oczach społeczeństwa. Zarzucano mu, po cichu, egocentryzm, szukanie poklasku, chęć bycia panną młodą na każdym weselu. Może i coś w tym było. Ale który z twórców nie grzeszy egocentryzmem... Jest to cecha bezpośrednio związana z tworzeniem, budująca – bez względu na wszystko – przekonanie, że życie i to, co się w życiu robi, ma sens.

Tworząc, artysta chce oddać to, co uważa za najlepsze, ryzykuje obnażenie się przed odbiorcą, oddaje swoją intymność. I wciąż odczuwa niepewność, czy to, co ofiarował, zostanie

przeczytane, zrozumiane; czy obudzi uczucia u odbiorcy, czy spotka się z jego obojętnością... Nawet publiczne pochwały i nagrody nie osłabiają tej niepewności. Nieczytana książka, obrazująca kurzem w biblioteczce, jest nagrobkiem marzeń autora.

Z tej niepewności rodził się pewien cykl pracy Janusza. Obraz przemieniony w sennych widziadłach przenosił na rodzaj szkicu. Potem pracowicie ubierał w słowa, poprawiając wielokrotnie prawie każde zdanie. Gotową próbę rozsyłał znajomym, czujnie wsłuchiwał się w ich opinie, zgodnie z sugestiami wносił kolejne poprawki. Aż do premiery, gdy gotowa, pachnąca farbą drukarską książka, trafiała na stół wieczoru promocyjnego. Wieczoru też zaplanowanego w szczegółach, urozmaiconego muzyką... I w tej chwili oczekiwanie komplementu to nie egocentryzm, to nie „gwiazdorstwo”, ale rozwianie obaw, przezwyciężenie tej niepewności. Wyznał to słowami jednego z bohaterów swych opowiadań:

– W czasie tego ważnego dla pana spotkania, przyglądałem się osobom czekającym w kolejce po pański zawijas, a może nawet coś więcej, bo niektórzy czytelnicy mają takie życzenie. Moją uwagę zwróciła zamyślona, szczupła czterdziestolatka o czarnych włosach splecionych w warkocz. Kartkowała stronicę, oglądała ilustrację, a może nawet przeczytała zdanie lub dwa, a potem delikatnie głaskała ją po okładkach. Tak, słowo daję, ona ją dotykała z widoczną czułością. (...) I wtedy pozazdrościłem panu nie tego, że pan tę książkę napisał, ale czułości tej kobiety do papieru zadrukowanego wytworem pańskiej wyobraźni, zmyśleniami (*Do widzenia, panie Fellini, [w:] Do widzenia...*, s. 120).

Bo tak w ostatecznym bilansie twórca, oddając siebie, nie marzy o nagrodach, wynikach sprzedaży, pozytywnych recenzjach, ale o tej, nawet jednej, czytelniczce czy czytelniku, którzy z czułością głaskać będą papier zadrukowany wytworem wyobraźni.

Nie powiem słowa żegnaj, nie przyjmę do wiadomości, że odszedł. Janusz jest i długo jeszcze wymawiać będziemy jego imię. Wierzę, że nawet za kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt lat znajdą się czytelnicy, z czułością odbierający jego wytwory wyobraźni.

Jacek Jerzy Kucharczyk WSPOMNIENIE O JANUSZU

Pierwsza moja wystawa fotograficzna odbyła się w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie w drugiej połowie lat siedemdziesiątych XX wieku. Wtedy poznałem Janusza Mielczarka. On, doświadczony już dziennikarz, i ja, jeszcze fotoamator, zachłyśnięty możliwościami, jakie dawał aparat i ciemnia.

Janusz napisał recenzję, która znalazła się w katalogu wystawy. Była rzeczowa i krytyczna. Przyczyniła się do zmiany mojego spojrzenia na fotografię. Niedługo potem skupiłem się na fotoreportażu, rezygnując z uwieczniania wszystkiego, co mi przyszło do głowy i było ładne.

Z czasem staliśmy się kolegami. Janusz był w Warszawie, gdzie mieszkam. Widywaliśmy się albo na giełdzie fotograficznej w „Stodole”, albo u mnie w domu, czasem w szerszym gronie kolegów fotografów z Częstochowy.

Pamiętam, jak przygotowywał portrety do swojego albumu o znanych częstochowianach. Zaproponował, abym i ja tam wystąpił. Sesję zrobiliśmy u mnie w studiu. Najpierw pytał o moje techniki fotografowania. Posługiwałem się wtedy aparatem wielkoformatowym Sinar

do architektury i wnętrz. Sportretował mnie, odwracając rolę aparatu: ja za aparatem, a z obiektywu tryska światło. Nie robił wielu prób. Skupił się na realizacji pomysłu.

W ostatnich latach nie widywaliśmy się. Koledzy z Januszem przestali przyjeżdżać na giełdy fotograficzne. One były coraz mniej ciekawe. Cała ta działalność przeniosła się do Internetu.

Wiadomość o śmierci Janusza całkowicie mnie zaskoczyła. Czuję wielki niedosyt spotkań i rozmów, wymiany zdań i doświadczeń.

R.I.P. Januszu, do zobaczenia w lepszym świecie.

Jacek Jerzy Kucharczyk – ur. w 1957 r. w Częstochowie, absolwent Politechniki Częstochowskiej, nagrodzony Laurem Czerwonej Róży Dziennikarskiej dla najlepszego fotoreportera studenckiego w Polsce, fotoreporter tygodnika „Razem” Od 1990 r. działa jako freelancer, współpracując z periodykami, agencjami fotograficznymi i reklamowymi oraz z firmami. Fotografuje głównie architekturę, wnętrza i aranżacje typu *still life*. W swojej pracy stara się odnaleźć urodę oraz klimat fotografowanych miejsc i przedmiotów. Członek Związku Polskich Artystów Fotografików.

Małgorzata Nowakowska-Karczewska

PAMIĘĆ

Janusza zapamiętałam jako Człowieka obdarzonego niezwykle życzliwością dla innych, poczuciem humoru i doskonałą pamięcią, a poza tym jako znawcę i sympatyka niekonwencjonalnych metod leczenia – akupresury choćby, który chętnie dzielił się tą wiedzą. I jeszcze taki sympatyczny epizod z czasu jednego ze spotkań naszego Towarzystwa Galeria Literacka. Zastanawiając się wówczas, jak nazwać moje teksty pomieszczone w „Galerii”, użyłam słowa: głupotki, a Janusz z uśmiechem dodał: pyszne! Mam nadzieję, że danym mi będzie takim dwuznacznym nieco tytułem opatrzyć zbiór owych tekstów, który ma się ukazać.

Żegnaj, Januszu!

Jerzy Kowalik

EPITAFIUM

między ludźmi
nie potrafiłeś
pozostać przechodniem

naturę martwą
ubrałeś w dźwięk
szerokości dzwonu

zgarbiłeś
czarno-białe twarze w
wyjętą z chemicznej ciemni
cichą orkiestrę

za ciasne okładki
wszelkie
by domknąć Twój album

przechodniem przekroczyłeś
próg zwykły
za którym
wspomnienia nie kielkują

jak tam trafię
w pobliże
zadzwońię do Ciebie

Andrzej Ostałowski

Człowiek

Pamięci Janusza Mielczarka

jak dymiący knot wypalanej świecy
z wartości odarty ogryzek
czas mozołem wytatuował plecy
ozdobiony
piętno wszystkim obrzydłe latami nosi
jest jak chwast
urok łąki szpeci jak parzydło
jest jak strach w stary łąch odziany
nikt się go nie boi
kapelusz ma przez ptactwo zafajdany
ale dumnie stoi
człowiek

do krawędzi czasu
został mu skrawek nieba
umęczone myśli kołysankę nucą
rozbrojone usta żują okruch chleba
zagłodzone drzewa resztę liści zrzucą
staniemy do naga z marzeń odarci nielotni
jak w boju na tarczy samotni
przez ten skrawek nieba
westchnieniem ostatnim
wymkniemy się w przestrzeń bez końca
spadniemy w ramiona bratnie
wieczystego słońca

jeszcze noc nas zauracza
szyje ściegiem przeszłości
jutrenką zachwytu
matczyną dłonią pieści nasze włosy
siedząc okrakiem na krawędzi nieba
ból topi w jeziorze zapomnienia
odradza rozkosz istnienia
brzask świtu paletą czerwieni
zakwita jak barwne motyle
kruszy draperię błogości
tańczące nocy cienie
zostawia wspomnienie

skrzydłami jaskółek
marzenia sięgają nieba
w czelusć zwątpienia
spadają wodospadem
kroplami żalu
na kamieniu siadają
wsiąkają w jego milczenie
kamień cierpliwie czeka
na człowieka

Artur Gielezy Pan Janusz

Pamięci Janusza Mielczarka

Pan Janusz idzie teraz
ścieżką dla nas niewidoczną.
Zostawił wiele wspomnień
i swoją twórczość,
która nie trafi na śmietnik.

Pan Janusz
zostawił po sobie wspomnienia,
fotografie i literaturę,
opuścił nas, gdy przyszło innym pisać maturę.
Choć miał jeszcze marzenia,
to minął jego czas
i musiał nas opuścić.
Będziemy pamiętali
tego wspaniałego człowieka.

Małgorzata Franc

Z cyklu: FOTOGRAFIE

Fotografie

Na fotografiach
jeszcze świeżych
bo zdaje się zrobionych
wczoraj jasny się promień
tli na twarzy daleko
jeszcze do wieczora.

I w uśmiechniętych
oczach błyszczy
zaczarowana życia treść
marzeń które los szybko
ziścił i tych co
odleciały gdzieś.

Daleko jeszcze
do wieczora
pan Hrabal jeszcze się
nie wyśnił w natłoku
zdarzeń i zwykłych myśli
nie zakończony jeszcze bieg.

Na fotografii nie...

Zamilkło wszystko

Zamilkło wszystko
i ucichło jakby się wtedy
skończył świat zatrzymał się
wesoły chłopiec i w dłoniach
jego polny kwiat.

I przechodzący obok
sąsiad co w ręku trzymał
wędkę lub bat wszystko
ucichło i zastygło i łobuz
ten wiosenny wiatr

Lekkie płasanie pobliskiej
rzeki i słońce co nie liczy
dat ucichło wszystko
i zastygło jakby się wtedy
skończył świat.

W dobrych słowach

W dobrych słowach
szukamy ukojenia
choć ukradkiem
ocieramy łzę z twarzy.

Gdy czujemy że czas
teraz nic nie zmieni
i dziś już nic dobrego się
nie zdarzy.

Tak daleko od ciepła
i spojrzenia co w nas
trwało i trwało
jak na straży.

W dobrych słowach
szukamy ukojenia
nawet jeśli nic dobrego
się nie zdarzy.

Przyjdzie dzień gdy
smutek gdzieś przemienie
niespiesznie żal odejdzie
w swoją stronę.

A fotografie wtedy
będą jak obrazy dni
w których nie wszystko
jest skończone.

20 MAJA 2025 R.

Jan Ciesielski

Januszowi M. – Janek z Galer

Wielkie nam zostawiłeś smutki
tym odejściem swoim,
byłeś encyklopedią miasta, archiwistą regionu,
grafikiem słów i ulotnych chwil
ujętych obiektywem.

A teraz – czego nie można wykluczyć wcale –
spotkasz się z pokrewną Ci duszą – z Hrabalem.

PS I nie musiałeś w ten sposób
uciekać, literacki Kolego,
by w najbliższych wyborach nie głosować
na kandydata obywatelskiego.

Janusz Strojec

Matka Boska Okaleczona

Pamięci Janusza Mielczarka

to nie Ty ją znalazłeś
to ona znalazła Ciebie
widziałeś Jej blizny i kruchość
bolejącą odrzuconą w zakłopotaniu
potłuczoną o zmienny czas
w akordach gasnących nadziei
czas utknął gdzieś pomiędzy
ostatnim odbiciem światła
a popiołami ogarniającymi ziemię
a Ona podnosiła i chroniła
poranionych głodnych i odrzuconych
czy pełnych podstępów i wzdargy

w Twoim pokoju
w centralnym jego miejscu
dotykała Cię wzrokiem
jak matka syna
czułeś Jej bliskość
rozmawiałeś z Nią jak umiałeś
sklejałeś wiersze w rytm prozy
teraz dzień przeszedł w senność nocy

a dzwon stracił brzmienie
w ostatnim tchnieniu
nadal patrzysz Jej
prosto w oczy
i mówisz Matko Pana Naszego
już jestem

Elżbieta Jolanta Gola

Drogi Jano,

pozostawiasz po sobie wielką pustkę, bo wielorakość Twoich pasji i Twoja twórcza dusza złożyły się na tak nietuzinkową, zaskakującą i fascynującą Osobowość.

Dziękuję Ci, Jano, bo dzięki Tobie poznałam tylu wspaniałych ludzi kultury. Fotografów, literatów, muzyków, malarzy, właścicieli galerii i mogę się cieszyć ich przyjaźnią.

Dziękuję wszystkim przyjaciołom i członkom rodziny, którzy wspierali Cię przy wystawach fotograficznych oraz w realizacji wydawnictw. Twój dorobek to: osiem zbiorów opowiadań i jeden tomik poetycki. Wiele opowiadań nagrodzono w konkursach literackich o ogólnopolskim zasięgu. Zainicjowałeś i prowadziłeś międzynarodowy konkurs „Martwa natura w fotografii”, którego kilkanaście edycji było prezentowanych w Miejskiej Galerii Sztuki w naszym mieście. Pozostawiłeś setki portretów, na których upamiętniłeś nie tylko najznakomitszych, ale i zwyczajnych mieszkańców miast i miasteczek. Cykliczne spotkania pod hasłem „Mała proza mistrzów i siedem fotografii” gromadziły liczne grono sympatyków literatury i fotografii. Pozostawiłeś wiele albumów, do których będziemy powracać.

Twoja dziesiąta książka jest już prawie gotowa w moim komputerze i sądzę, że zbiorowym wysiłkiem uda nam się ją wydać. To w imieniu własnym i przyjaciół Ci przyrzekam.

Jestem pewna, że Ocalona spod śmietnika Madonna, której zadedykowany tekst znajduje się w planowanym wydawnictwie, zaopiekuje się teraz Tobą z równą czułością i pamięcią, jak Ty to uczyniłeś z Jej wizerunkiem.

Mieliśmy wiele wspólnego: miłość do literatury, wspólne czytanie, umiejętność dostrzegania piękna w małych rzeczach i tolerancję dla inności drugiego człowieka.

Dobrze mieć coś wspólnego
młodzieńczą lekkość bytu
rzemyki wrażliwości napięte do trzasku
i s ł o w a
zapadające w wiosny zieloność
nieprzemijającą

Kochany Jano – już pora odpocząć.

CZĘSTOCHOWA, 15 MAJA 2025 R.

Janusz Jano Mielczarek

ZAPISKI OSOBISTE – C.D.

Niełatwe Święto

Łukaszowi M.

Tego święta nie obchodzono długo w wielu polskich domach i rodzinach, a w innych nadal jest lekceważone, trzeciorzędne i są miejsca, gdzie bywa czasem przeznaczonym na mycie okien i porządki w piwnicy

– O co chodzi? – skarcił mnie głos nienawykły do drżenia. – Nie czepiaj się, gościu, przecież nie żyjemy za drutami!

Dzisiaj ty, Łukasz, zajrzałeś świątecznie do nabrzmiałej historii człowieka o ksywce „Pan Janek” – prawie stulatka i musiałeś Mu powiedzieć, że Jego ślad na Murze Bólu jest tak samo wyraźny jak innych.

Ale było ci mało, więc przywiozłeś pod Jego krakowski dom swoich wnuków, żeby poczuły zapach leśnego munduru i miały honor linijka po linijce pod Jego oknami odśpiewać Janowi Lohmanowi – żołnierzowi i poecie – pieśń, przy której nie żuje się gumy.

11 LISTOPADA 2023 R.

Błękit

Zdarza się taki błękit,
który trwa na niebie chwilę,
minutę dwie
i w którym chciałbyś zobaczyć

swoje życie

jak stół
nakryty kiedyś przez Mamę
do śniadania.

Zdarza się taki błękit,
w którym wydaje się,
że niebo unosi do góry wszystko
co najważniejsze,
żeby pokazać to ludziom!

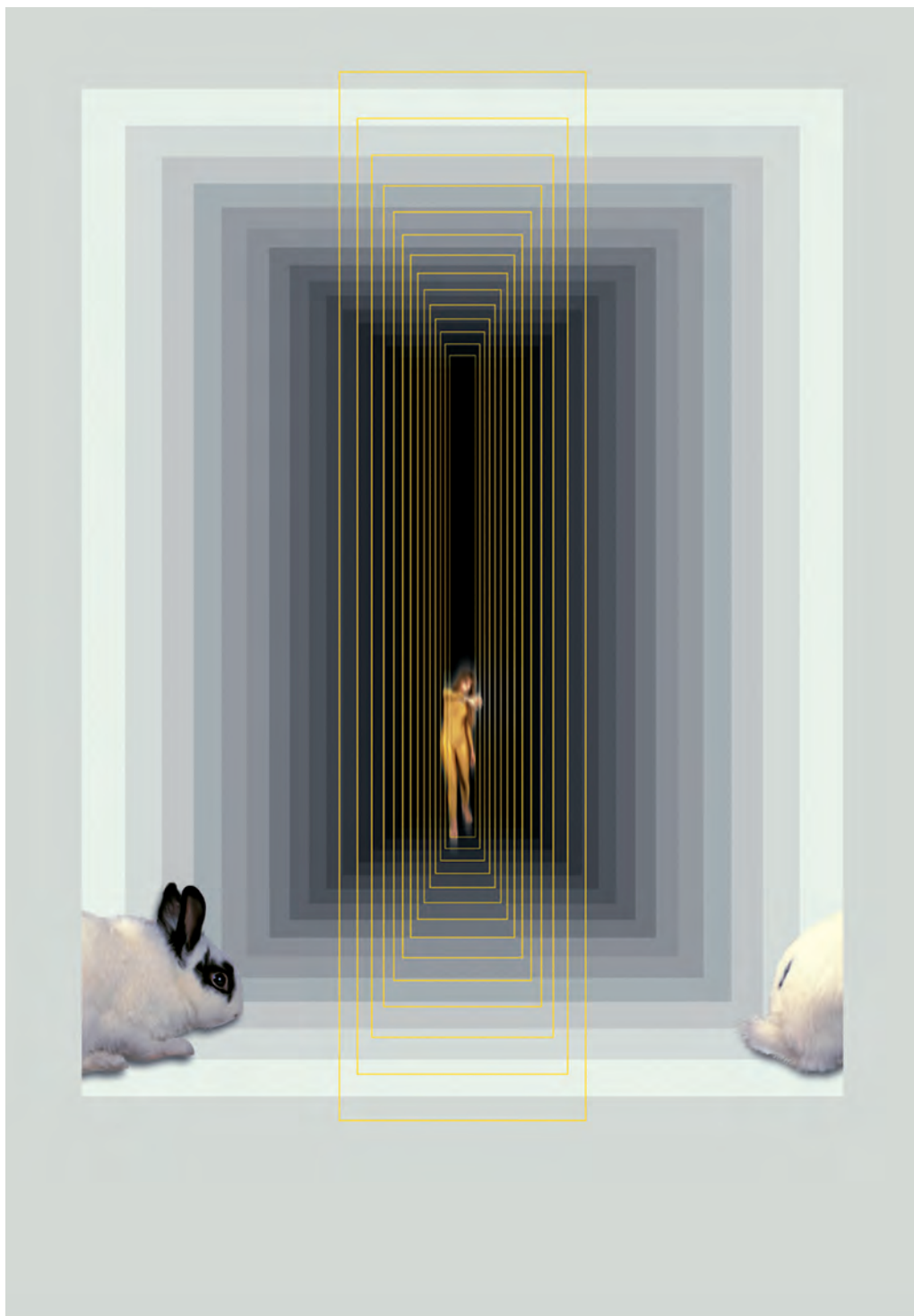
Bowiem zdarzyło się kiedyś,
że Michał Anioł
stworzył taki błękit dla ciebie,
a Jan Sebastian zagrał go w sonacie,

pragnąc,

abyś był

bliżej Boga.

22 lutego 2025 r.



Człowiek końca wieku. Kalendarz na rok 2000, strona z kalendarza,
projekt: J. Pacuda, E. Siwik, wydawca – Bank Częstochowa, 1999

Barbara Strzelbicka

BENEFIS NIEZAMIERZONY

SPOTKANIE MAJĄCE PROMOWAĆ KSIĄŻKĘ BOGDANA KNOPA *Jeszcze nie wiadomo* stało się w istocie benefisem autora. Ale też była po temu okazja, bowiem upłynęło w tym roku 20 lat od jego debiutu książkowego – był to zbiór opowiadań zatytułowany *Trzy podróże, cztery sny i jeden dzień* (2005 r.). Najnowsza książka, trzecia z kolei, stanowi zbiór różnych form: są w niej opowiadania, wiersze oraz ich przekłady, recenzje i eseje. Szatę graficzną, w tym okładkę – z wykorzystaniem fotografii Piotra Dłubaka – przygotował Jacek M. Krasucki. Kompozycję książki można by określić jako eklektyczną, co najlepiej widać w spisie treści: igranie z tradycją, z pamięcią, z historią i z krytyką oraz *appendixy* do każdego rozdziału, a w końcu do całości. Autor podczas rozmowy został zapytany o to, jak również o tytuł – tu okazało się, że wymyślił go Piotr Dłubak podczas sesji zdjęciowej z Prezesem, kompozycja zaś wynika z dystansu do własnej twórczości. Spośród wszystkich gatunków Prezes najbardziej ceni sobie poezję (cudzą), choć bliskie są mu także opowiadania. Cechą, którą sobie najbardziej ceni w opowiadaniach i recenzjach, jest ich zwięzłość. Na pytanie kluczowe: do czego pisarzowi potrzebna jest matematyka, odparł zwięźle: do niczego. Goście spotkania jednak, co wyraził Ryszard Wytrych, uważają, że w pisarstwie B. Knopa matematyczna precyzja i konsekwencja są czytelne.

Muzycznym podarunkiem dla beneficjenta, a przy okazji także dla gości, był występ znanej wokalistki jazzowej Justyny Królak, która wykonała osiem utworów, okraszając je komentarzem i życzeniami. Fragmenty tekstów z promowanej książki usłyszeliśmy w interpretacji Olgi A. Wiewióry.

Miało być krótko – jak chciał Prezes – ale się przeciągnęło, bowiem w drugiej części spotkania wystąpiliśmy my, Galernicy, z naszymi tekstami ku jego czci. Wszystkie były szczere i prosto z serca płynące, większość w wykonaniu obecnych na spotkaniu autorów, ale nie tylko. Zamieszczamy teksty w kolejności faktycznej, a więc wystąpili: Tadeusz Luterek, Elżbieta Jolanta Gola, Janusz Strojec, Zdzisław Sierpiński (jego wiersz był drukowany wcześniej, więc go tutaj nie ma), Paulina Wysocka-Morawiec, Ida Jadwiga Łubińska, Jerzy Kowalik, Jan Ciesielski. Potem czytałam ja i były to teksty: Henryka Piecha, Anny Jędryki, mój i Arkadiusza Frani, do którego włączona została publiczność, powtarzająca: Niech żyje Bogdan Knop!

Przewidzieliśmy czas dla gości spotkania, kiedy to głos zabrał pisarz białoruski Jazep Januskiewicz, który pochwalił współpracę z nami, ale też zwrócił uwagę na sytuację w jego kraju. Były dyplomata Mariusz Maszkiewicz podkreślił, że nie spodziewał się znaleźć w Częstochowie takiego środowiska, jak Towarzystwo Galeria Literacka, co było dla nas miłe. Obydwaj nasi goście ucieszyli się ze spotkania, znając się z dawnych czasów. Na spotkaniu obecna była, wraz ze swoim pięknym uśmiechem, Franziska Zwerg, która dla nas tłumaczyła na niemiecki wiersze Haliny Poświatowskiej. Skomponowany naprędce dwuwiersz wygłosił Jacek Gierasinski, a po spotkaniu dołączył swój tekst Andrzej Ostałowski. Janusz Mielczarek, nasz nieodżałowanej pamięci Kolega, był obecny na benefisie, ale z powodu złego samopoczucia swój tekst przeczytał Prezesowi po spotkaniu przez telefon. Wiersz publikujemy.

Na zakończenie tego nad wyraz miłego spotkania było podpisywanie książki oraz toasty przy stole wernisażowym.

Dodajmy, że książka została dofinansowana ze środków Miasta Częstochowy przewidzianych na 2024 r. Miło nam było gościć na benefisie Aleksandra Wiernego, poetę i prozaika, a służbowo Naczelnika Wydziału Informacji i Komunikacji Urzędu Miasta Częstochowy wraz z Agnieszką Lipińską z Wydziału Kultury. Dziękujemy w imieniu Prezesa i Galerii!

Powinszowania

Janusz Jano Mielczarek Drogi Bogdanie

Zdarzenia rozliczają nas
w pośpiechu
na rozkołysanych lotniach czasu
i tylko nielicznym udaje się
pokonferować na nich z obłokami

Ale bywają i tacy
którzy potrafią nimi sterować
zanurzać
w podziemnych potokach zatracenia
szyfrować niewiadome

Ty do nich należysz

A skarbem jest
że zapraszasz nas
aby w Galerii
dla tych co przyjdą
zostawić ślady NASKALNE

Tadeusz Luterek Wierszyk taki niefrasobliwy

U „Haliny” się zbierają
i galerię wypełniają,

nie tylko, by wspólnie płynąć,
ale żeby nie przeminać,

literatury tematy
chętnie biorą na warsztaty,

tu słowa ciosają drzewo,
czasem oddają się śpiewom,

zwierają kanonu szyki
jak pilni uczniowie Wyki,

wysoki, średni czy mały,
piękne muzy, co by chciały

pieśń skrzydlatą unieść w górę,
unieśmiertelnić naturę.

Elżbieta Jolanta Gola

Bogdanowi –

z okazji promocji najnowszego dzieła – reminiscencje odnoszące się do „Literatury prywatnej”¹

Bywa, że „Reminiscencje” przywołują „Moje miasto”, a w nim są przecież Twoje ulubione „Kamyki”, „Spadek” w „Szafie”, a nad wszystkim powiewa baner z napisem „Przestroga”.

Lubię, gdy „Reinterpretujesz” teksty Wołodymyra lub Wojciecha P., ale „Umowa” to umowa, a wszystko owiane „Legendą”.

Najważniejsze w życiu są „Relacje”, nawet w „Nierzeczywistości”, nie mówiąc o rodzinie i gronie przyjaciół w „Mojej Ojczyźnie”.

Niektórzy bardzo lubią się z Tobą targować, podkreślając: to „Moje targi” i „Moje bale”. Ale co tam...

Trochę jednak żałujesz, że nie powstał Teatr Literacki PIP, ale przecież:

„nie sprzedałeś duszy nawet w czas dojrzałych żalów i mądrości...”,

„bo zdarzenia wciąż rozchodzą się jak kręgi na niepewnych wodach zapomnienia”.

Janusz Strojec

Bogdan! Trzymaj się!!!

Z gratulacjami dla Pana

Prezesa Knopa Bogdana

Bogdan, Bogdan, trzymaj się!
Na zegarek nie patrz, oj nie...
Czas nie zając, nie ucieknij w dal, oj nie!

Porzuć troski, smutki swe,
nalej wina, nalej dzban,
wnet rozruszasz damski klan.
Żonie kup bukiet róż, jak ze snu
do niej czułe słówka mów,
potem na imprezkę idź,
Basię, Idę, Jolę, Gosię w tany
z półobrotu ostro weź
i Olę, Paulinę, Wiesię też.
Przestań patrzeć na zegarek –
Bogdan, Bogdan, trzymaj się!
Jakiś tam kuplecik zrób,
o pamflecik zahacz też i sonet...
na gitarę, piano, weź i flet.
Porzuć prozę, oddech weź,
zamać w głowach, politykę rzuć w ką
oddech weź, wysoki ton,

nie myśl, komu bije dzwon.
Czas zabawy zacząć już i tyle,
znów motyle, znowu śnieg,
po co Ci ten ciągły bieg?

Bogdan, Bogdan, trzymaj się!
czas to pojąć, wiedząc, że...
wszystko minie jak we mgle.
Przyjaciół masz, to wielka rzecz – i tyle!
Beczką prochu jest ten świat,
więc nie marnuj swoich lat!
Wszystkim bliski bądź jak brat,
szkoda życia, szkoda lat,
Bogdan, Bogdan, trzymaj się wśród nas!!!

¹ B. Knop, *Literatura prywatna i inna*, Wydawnictwo Literackie „Li-TWA”, Częstochowa 2010.

Paulina Wysocka-Morawiec

Limeryk dla Prezesa

Kto napisze o tym, co się w życiu liczy?
Kto przetłumaczy tekst z cyrylicy?
Bogdan Knop – prezes Galerii,
biegły w literackiej materii.
Niech się kryją inni kierownicy!

Ida Jadwiga Łubińska

Bogdanie – Pisarzu, Twórco, Prezesie!

W świecie słów, gdzie marzeń cień,
W krainie myśli, gdzie idee żyją,
Twój talent – gwiazdą, co jasno świeci.
Słowa rzeźbią, a myśli budują
Kolorowe światy, cięte riposty,
Refleksję i zadumę...
Więc twórz, kompiluj, rozwijaj
Świat prawd, wyobraźni, przemyśleń.

Powodzenia na krętej, lecz pięknej twórczej drodze!

Jan Ciesielski

Laurkowe słowa dla Bogdana Knopa

Literacka „Galeria” to Twoja robota,
Jako redaktor naczelny tego kwartalnika
Sprawiasz, że Częstochowa
Z map kultury nie znika.

I nie zrobi nikt stwierdzeniem
Tu żadnego faux pas:
Miasto byłoby biedniejsze
Bez Bogdana Knopa.

A współczesna recenzja
Hasła Bogdan Knop:
Człowiek bardzo wporzo,
Czyli równy chłop!

Jerzy Kowalik
Bogdanowi –
Naród

jak z Bogdanem
nad ranem?

kiedy zdrowy
to Zoszczenki i Bułhakowy

gdy w głowie gotowe
panienki i dźwięki
to Bułhakowy i Zoszczenki

może on Nabokowa
w spodniach chowa?

pod kapeluszem
tuszę że
i duszę
zdusi by skusić?

od Rusi tak
musi

przetłumaczyć Bogdana
w innej mowie?
może Korowiow
coś podpowie

Andrzej Ostałowski
Dla Prezesa

zbyt krótko znam
by długie wiersze pisać
potrzebę taką mam
więc spróbować muszę

bo ze zdziwienia
szczęka opada
ile mądrości można
pomieścić pod kapeluszem

języki w supeł splątane
przędzą obcej kądzieli
na talerzu podane
by zrozumieli

sam pisać potrafi
choć skromnie mówi
jak kumpel z parafii
że poezji zakłopotać nie lubi

gdy pióro bierze do ręki
to papier się uśmiecha
dla Niego twórcze udręki
dla nas uciecha

wszyscy klaszczą z ochotą
a ich prośba niesie
proste przesłanie:
tak trzymaj, Prezesie!

Henryk Piech

Mieć Prezesa za sąsiada

Bogdan wygląda bardziej na Bogdana,
niżli obyciem prezesa przypomina,
skromny i do rzeczy się wypowiada,
o dawnych twórcach nie zapomina.

Żadna to zasługa być prezesa sąsiadem,
spotkałem go ot tak, na jednym piętrze,
zupełnie przypadkiem się to wydarzyło,
vis a vis jego – mojego lokum wewnątrz.

A było to dawno, lat prawie trzydzieści,
jako sąsiedzi rzadkośmy się odwiedzali,
bieda wtedy była, lecz ciekawe treści
do przekazania sobie żeśmy posiadali.

Prezesi dzisiaj dumni, pewni siebie,
obsypani nagrodami i wyróżnieniami,
tego o Bogdanie nikt teraz nie powie,
ale to się jeszcze wkrótce może zmieni...

Anna Jędryka Na Prezesa

Kiedy Prezes się zjawia,
każdy ucho nadstawia.
Milkną szept, rozmowy,
każdy słuchać gotowy.
Pierwsze słowa należą do Niego.

On nowiny przynosi,
które chętnie ogłosi.
Patrząc prosto nam w oczy,
nagle czymś nas zaskoczy.
Czy to będzie coś dla nas miłego?

Jakiś temat narzuci –
rozweseli, zasmuci.
Podziwiamy Go szczerze:
skąd On mądrość tę bierze?
Musiał w szkole być dobry z polskiego!

Później robi się wrzawa
i rozmowa ciekawa.
Nieraz Prezes przerywa,
gdy dyskusja zbyt żywa:
„Trochę ciszej rozmawiaj, kolego”.

Prezes wnosi powagę
i przyciąga uwagę.
Zawsze bardzo się stara
sprawy załatwić na raz,
a pomaga Mu dzielnie Barbara.

Każdy przecież to powie –
Prezes oczkiem jest w głowie!
Gdy się czasem nie zjawia,
jakąś pustkę zostawia
i jest smutno, gdy nie ma Prezesa!

Choćbyś przeszedł świat cały –
który przecież nie mały –
to nie znajdziesz drugiego
podobnego do Niego,
więc kochajmy naszego Prezesa!

Barbara Strzelbicka

Oda ku czci Prezesa

O Prezesie, Prezesie! Twoja sława się niesie
aż za góry, za lasy, za morza,
wiele granic przekracza Twa natura tułacza,
zagarniając dla Ciebie przestworza.

Bo talentów masz tyle, że ja czoło też chylę
przed tym wszystkim, co robisz i umiesz,
wiersze piszesz i śpiewasz, nas do pracy zagrzewasz,
byle czego nie wydam – tak mówisz.

Tłumacz z Ciebie nie lada, nawet mucha nie siada
na przekłady Twe prozy i wierszy,
i nagrody Ci dali Ukraińcy wspaniali
oraz władcy kultury tutejsi –

wprawdzie za coś innego, bo też działasz Ty tego,
by kultura zbłądziła pod strzechy,
a więc książki wydajesz i „Galerię” rozdajesz,
dostarczając ludowi uciechy.

Do pisania zachęcasz i w projekty nas wkręcasz,
które mogą dać garść soczewicy,
przysparzając nam chwały i roboty niemałej,
ale co tam – wszak my galernicy.

Choć żeś swojski, jurajski, słońcem jesteś Ty jasnym,
co w ciemnościach rozświećla nam drogę,
niczym ten Prometeusz, pod skoczowski kapelusz
chowasz ogień, by dać go ubogim.

Ty nas, Wodzu, uratuj, nad poziomy wylatuj,
sięgaj tam, gdzie Galeria nie zdoła,
wkręć nas w projekt kosmiczny, apetyczny, liryczny,
byś mógł z Muskiem na Marsie panować!

PS To mówiłam ja, Wacława Jarząbek

Arkadiusz Frania

Niech żyje Bogdan Knop!

Telegram wysłał Stoch:
„Niech żyje Bogdan Knop”.

Strzela słowami Glock:
„Niech żyje Bogdan Knop”.

Pieśń wieje z miast i wioch:
„Niech żyje Bogdan Knop”.

Księżniczce nuci smok:
„Niech żyje Bogdan Knop”.

Na baczność stanął Błok:
„Niech żyje Bogdan Knop”.

Przez sen zaśpiewał śpioch:
„Niech żyje Bogdan Knop”.

Bulgocze wino, grog:
„Niech żyje Bogdan Knop”.

Do narty mówi stok:
„Niech żyje Bogdan Knop”.

Uderza mniszka w gong:
„Niech żyje Bogdan Knop”.

Na koniec Mietek Fogg:
„Niech żyje Bogdan Knop”.



Janusz Pacuda, *100-lecie Szkolnictwa Muzycznego w Częstochowie*, plakat, 2004

Aleksander Wierny

SZKŁO

W muzeum Yad Vashem przewodnik tłumaczy,
że przezroczysta tafla wmontowana w podłogę,
pod którą wrzucono buty z Oświęcimia,
wytrzyma ciężar każdego człowieka,
ale nikt po niej nie chodzi.

Bo (o tym przewodnik milczy)
jeśli grube szkło jednak pod kimś pęknie,
stopy trafią w idealnie dopasowane buty.

OLIWKA

W Wieczerniku, obok rzeźby oliwki,
z której pnia wyrastają trzy gałęzie
symbolizujące judaizm, chrześcijaństwo i islam,
co, jak wyjaśnia przewodnik,
pokazuje wspólny początek i późniejszy podział,
siedzi czarno-rudawy kot i liże sierść na brzuchu.

Będzie jednakowo miękka i miła dla każdego,
kto go pogłaszcze.

BÓG

Ortodoksyjni Żydzi, a jest ich najwięcej
na pokładzie samolotu, mają małe,
delikatne dłonie, nawykłe tylko do kartkowania,
więc pewnie nigdy nie musieli
trzymać na tyle mocno, żeby się nie wyrwało.

Wiedzą, że Bóg jest blisko,
mniej więcej dziesięć kilometrów niżej,
że nie będzie się czego chwycić,
jeśli już zdecydował.

Aleksander Wierny – poeta, prozaik. Urodził się, mieszka i pracuje w Częstochowie. Autor pięciu książek prozatorskich i czterech tomów poezji. Każda jego książka poetycka była nominowana do Nagrody Poetyckiej im. K.I. Gałczyńskiego za najlepszy tom roku „Orfeusz”, a przedostatnia, *małe nowe ciała*, znalazła się finałowej piątce tej nagrody. Jest także laureatem Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Kazimierza Ratonia oraz finalistą Konkursu Poetyckiego Fundacji Duży Format. W 2023 r. otrzymał Nagrodę Miasta Częstochowy w dziedzinie literatury.

Wiesława Owczarek REMINISCENCJE

DO EMILY DICKINSON

Z pokoju na piętrze Twe słowa
w dalekim mnie kraju dopadły
i z brzękiem muchy natrętnej
na blankach mej twierdzy przysiadły

Ja wiem, wybiera towarzystwo
dusza niezwykła jak Twoja.
Bez trwogi – kilka słów skreślę,
choć szczelna niechęci Twa zbroja

Świat nigdy nie pisał do Ciebie,
w pokoju na piętrze brak wieści,
a cały ogromny Kosmos
kuferek drewniany pomieścił

W Pałacu Możliwości przecież
nie takie cuda się działy,
zrozumieć w nim można wszystko,
co my zaledwie – przeczuwamy

Nadzieja pierzastym stworzeniem
wrywa się lasom, co w cieniu
i śląc Ci ostatnie spojrzenie
przysiadła na moim ramieniu

POSĄG ANIOŁA

Anielska dłoń otarła mą łzę,
maleńką kroplę struktury cierpienia.
Spojrzałam na niego. Spoglądał zza rzęs
i głośno biło serce z kamienia.

Umarli spali pod tkanką ziemi,
nikt nie przeszkadzał wiecznym snom.
Ruszyłam przed siebie aż po horyzont,
a za mną anioł z moją łzą.

SŁUCHAJĄC BEETHOVENA

słuchaj muzyki, aż ukaże się obraz.
wejdź w jego ramy śmiało. znika
znajoma ulica, pokój z kanapą i
sąsiad za ścianą. brama do ogrodu
tuż pod ręką, wystarczy przekręcić
klucz. prowadzą nas szpalery drzew,
wąziutkie ścieżki, rozległe polany
w mroku lub w rozkwitłym słońcu.
architektura muzyki wypiętrza się
białymi kolumnami, ażurowe arkady
dziergają koronki na tle zielonych
wzgórz. ponad tajemne przejścia,
perliste pasáže, ciemne podwórka
wyszczelają gmach z niebotycznymi
gzymsami. na jednym z nich niebieski
gołąb właśnie gubi piórko

CHÓR MĘSKI ŚPIEWAJĄCY W KATEDRZE

W cichości szarej znaczonej świecami
pełzającymi po murach katedry
spłynęły głosem puszyste gepardy
i warowały między kolumnami

by się co chwilę sprężyć do skoku
albo też łasić przymilnie do świętych
i tam podążać, gdzie Niepojęty
zakryty bywa od naszego wzroku

miękkie aksamit słał się pod stopami
i rosnąc stale dosięgał sklepienia
puszystym kotom mrok ślepią ocieniał
śpiewna modlitwa wstrząsała murami

OBRAZ

więc patrzę na katedrę?

dyskretny podpis uzmysławia mi
sens linii
powłóczystych smug
nieoczekiwanych cieni
nagły wybuch światła

widzę niewyraźny zarys
witrażowych okien
a tam, na wprost
ostre łuki
nad podwojem ociążałych drzwi
niedookreślenie rzeźb

całość wzbija się ku górze
i wszystko razem
jakby pędzel nie mógł znieść
osobności
posuwistym ruchem zagarniał
w całość
plątaninę linii, barw
i rozdzielał przy tym też
uwydatniał detal

i oto jest. wyłoniła się katedra.
smukła. prosta. czysta myśl

ŁADNY CHŁOPIEC, KTÓRY ŚPIEWAŁ

ładny chłopiec, który śpiewał tak sobie
tak sobie śpiewał bardziej niż nam
poprzez nuty niedbałe jak wymarłe miasta
w twarz nam rzucał garściami swój strach

wirowały i skręcały się smyki ogniste
skóra bębnów cierpiała od ran
białe dłonie nabrzmiały brawami
i przepadły w ciszy śpiących ścian

KSIĘŻYC I LAS

*Wiersz inspirowany obrazem
Romana Pluty „Księżyc w lesie”*

Najbardziej boli moja nieobecność
w tym pejzażu, który jest jak sen,
jak wiedza tajemna. Zmruż oczy,
ale mnie tam nie ma. Choć księżyc
przyzywa rozjaśnioną tarczą,
ja mogę przysiąc, że mnie unika.
Drzewa wzięły na ramiona
cały blask, więc sowy odleciały
w krainy bardziej szczęśliwe,
ich cień właśnie przemknął po dnie
parowu. Usnęły leśne zwierzęta,
śnież las zatopiony w księżycu.
Chcę tam wejść, podziwiać
z bliska kolorowe plamy pastelii,
znaleźć tę, która rodzi srebrne światło.
Już nie ma dnia i nocy nie ma.
Księżyc patrzy razem ze mną
na las, na rozkwitłe dołem trawy.

PASJANS

Pasjans stawiany o późnej godzinie
wachlarzem karty gorączkowo chłodził
i słał wiadomość, że nigdy nie zginie
miłość. Zachodem słońca rozgorzał pokój,

gdy chwiejnym krokiem skradała się z boku
niepewność, a za oknami marudził dzień.
Walety skąpały się w ciepłym winie,
królowej korona zsunęła się z loków.

I tak powoli dochodził, dopływał
cały w tajemnym znaczeniu swej mowy
orszak postaci, a zachód nalewał
w puchary wino. Jego smak korzenny

rozbawił, rozśmieszył ten korowód senny
i śmiały się, śmiały papierowe głowy,
aż ręka niczym sprawna gilotyna
strąciła karty w niebyt pusty, ciemny.

Janusz Strojec

OGRÓD ZA DOMEM

*Wiersze inspirowane wystawą malarstwa Darka Pali
w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie, marzec 2025*

I.

mój świat wymagał solidnego oparcia
w zawieszeniu między niebem a ziemią
w tempie mojego oddechu
wskrzeszam ten ogród nieplewiony
procesu blaknięcia i zakwaszenia
po próbie czasu w przerzutach
w całym moim ciele
odnajduję ojca z jego wiarą we mnie
w stalkujących mnie pokrzywach
chwastach i wodorostach pamięci
wierzę w spotkanie w jego drugie
życie siadające na krawędzi
przestrzeni i patrzącego na
mnie pogodnie

II.

zazwyczaj o tej porze
porządkuję ogród na nowo
mróz zakrywa resztki jesieni
z dziką różą obok rajskej jabłoni
spowitej liściem łopucha
w koszykach traw
w kolorach ziemi obiecanej
z katedrą dyftongów i cykadą świerszczy
łączę literę z literą
słowo ze słowem
jak kamień na kamieniu
między życiem a śmiercią
w konturze portret matki
jej stały cień
panuje w ogrodzie

III.

mój świat się rozplątał
prześladuje mnie napor z korzenia pietruszki
w sadzie jabłonie wzięły się za ręce
w sadzie grusze myślały o swej udręce
okopcone trawy próbowały ukryć
spierzchnięte wargi wiśni
w strumieniu bez strumienia
w gonitwie po schodach księżycy
w kolejnych przebraniach
porażony piorunem
co wszystko zmienia
w paradzie myszołowów
wciąż otwartej bramie
czasu

IV.

głowę miałem nabitą ideami
z wątpliwościami wchodziłem w kolejne
dekady
odlany w kolejne struktury czasu
próbowałem rozróżnienia
patrzyłem na Ogrody Tuileries
pełne rzeźb fontann pałaców
kładące cieniem walezyjskich
burbońskich królów i napoleońskich
czasów
po moim ogrodzie leciało stado
trzmieli
we śnie przyszedł do mnie Bóg
drżałem z obawy czy to już
na parapecie siadło słońce
w zakolach historii

V.

jak młode narzeczone
 tańczą kolory na lekkim wietrze
 zawieszone na krawędzi dnia i nocy
 kołysz się w trójbarwii
 by odsłonić i zagrać muzyką
 od bieli do czerni
 rozpruwają liście korzenie chwasty
 i wodorosty w symfonii chwili
 dotykają księżycy chmury i gradu
 skrzypią polnym skrzypkiem
 w paradzie z kasztanami i żółędziem
 z otwartymi snami
 mijają miejsca przestrzenie
 koszmary i deszczogrania
 uniesień w ekstazie
 zatrzymuję chwilę
 w deszczkowaniu pamięci

VI.

na próżno szukałem
 odbicia nimfy Aretuzy
 i ścigającego ją Alfejosa
 w tajemniczym źródle wspomnień
 gdzie przemijanie łączy się z trwaniem
 słucham Szymanowskiego w rytm języka
 bogów gdzie wschodnie rzeki znajdują
 początek w antycznych
 a żyły i tętnice z pełnym światłem
 tłoczą krew życiodajną
 z równomierną przenikliwością i młodzieńczą
 siłą
 tworzę świat imaginacyjny
 próbuję uporządkować ogród

VII.

podobno jestem waszym odbiciem
 na wasz wzór w każdym DNA
 czasami też tak cierpię
 i boli mnie ciało i wyję z bólu
 do księżycy
 co osłania ogrody złotodajne
 i wszystko takie obce
 i wszystko takie ludzkie
 i te maliny w ogrodzie dzieciństwa
 i jabłka które tak kochały robaki

VIII.

w melodramacie codzienności
 z gorączką syreniej eufonii przedświt
 zamiast nowych geometrii linii prostych
 nowych myśli
 nowych obsesji
 w pośpiechu i obłąkaniu
 próbuję ułożyć siedlisko
 z koszmarnych wezgłowi
 próbuję nowych klonów
 drążę słowa
 zawracam nurt rzeki
 w niemocy w niezrozumieniu
 w poszukiwaniu
 a wszystko powinno być proste
 jak w dzieciństwie

IX.

w posierpniowej obfitości
 w splotach winorośli
 w jesieni granatowych i czerwonych
 kaskad
 we wzgórzach melancholii
 bólu krzyku niemocy
 w zapamiętanym pejzażu lata
 w goście Eurypidesowym
 w słowach Ajschylosowych
 bezlitosnej kompozycji
 w tęsknotach
 w kolejnych próbach
 budowania domu
 próbuję kolejnych dotknąć czasu
 dotykam smaku

X.

adaptuję każdą nową przestrzeń
 w przyspieszonej akcji serca
 chwytam nowe zacumowanie
 próbuję złapać oddech
 wędrujące miejsca wyciskam spod palców
 trwam w soczewce lęku
 przynależę do nowych granic
 dręczą mnie nowe słowa
 nowe dźwięki
 nowy fenotyp
 stalkują nowe przynależności
 na gruzach nostalgii
 buduję dom

Anna Jędryka

JESZCZE TROCHĘ WIOSNY

WITAJ, WIOSNO

Jeszcze w lesie jest szaro, jeszcze pusto w ogrodach,
Lecz powoli do życia już się budzi przyroda.

Gdzieś w konarach wysoko ptasie śpiewy się niosą,
Chociaż ranki zamglone straszą mrozem i rosą.

Powróciły bociany po zimowej rozłące
I klekoczą radośnie, brodząc po mokrej łące.

Pierwsze kwiatki swe główki pokazują z ochotą,
Chociaż muszą wciąż walczyć z nocnym zimnem i słotą.

Drzewa pąki puszczają, wnet pokażą się liście,
Wkrótce na bzu gałązkach zjawia się białe kiście.

Dzień się znacznie wydłużył, słońce mocniej już grzeje,
Wiosna biegnie do ludzi, niosąc z sobą nadzieję.

28 MARCA 2025 R.

WIOSNO UKOCHANA

Wiosno ukochana, liśćmi malowana,
podaruj nam słońce od samego rana.

Uciesz nas kwiatami, ptasimi trelami
i kluczem żurawi lecących nad nami.

Spraw, by wiatr wiejący, od słońca gorący,
przyniósł zapach liści zielonych i drżących.

A zaś deszcz wiosenny – spokojny, przyjemny,
niech zrosi las cały, by nie był zbyt senny.

Wiosno ukochana, świeżością ubrana,
przyjdź do nas już jutro od samego rana.

I pozostań z nami, czaruj kolorami,
a drzemiące drzewa pomaluj kwiatami.

26 LUTEGO 2025 R.

ZA CZYMŚ TĘSKNIĘ

Za czymś tęsknię ogromnie.
Skąd tęsknota ta u mnie?
Pragnę poznać jej powód, przyczynę.
Czy brakuje mi Ciebie,
czy też słońca na niebie,
czy już wpadłam w tęsknoty rutynę?

Niby wszystko w porządku
od soboty do piątku,
lecz coś sercu doskwiera, coś boli.
Jakaś zadra się wkradła
i na sercu usiadła,
i zadrećza mnie wbrew mojej woli.

Jaka na to jest rada,
kiedy smutek dopada
i gdy trudno jest znaleźć przyczynę?
Może spacer pomoże,
by nie poczuć się gorzej,
by spokoju choć znaleźć godzinę.

Młode liście na drzewach,
w ich konarach ptak śpiewa –
znak, że wiosna na świecie już gości.
Może po ciemnej nocy
warto otworzyć oczy –
wpuścić w serce okruszek miłości...

22 KWIETNIA 2025 R.

WYSTARCZYŁO TROCHĘ SŁOŃCA

Wystarczyło trochę słońca,
aby znów zajaśniał świat.
Gęsty deszcz padał bez końca.
W sercach naszych tańczył wiatr.

Jakaś burza się skończyła,
jakiś smutek, letarg, mgła.
Znów nadzieja w nas ożyła
i niech jak najdłużej trwa.

Już nie szumią mokre drzewa,
już nie ronią zimnych łez.
Tak niewiele nam potrzeba,
by znów poczuć życia dreszcz.

W parkach kwitną już kasztany
i wciąż pachną kiście bzu.
Maj zielenią malowany
ożył z głębokiego snu.

Wystarczyło trochę słońca,
by się rozpromienił świat,
bo deszcz, co padał bez końca,
wciąż promienie słońca kradł.

19 MAJA 2025 R.

CZEREŚNIE

Czereśnie z mojego dzieciństwa były słodkie.
Zawsze dojrzewały w uśmiechu słońca.
Czas oczekiwania na nie bardzo się dłużył.
Zdawało się, jakby płynął bez końca...

Czereśnie z mojego sadu były rumiane.
Ozdabiały drzewko niczym korale.
Nęciły, kusiły oczy swoim widokiem.
Dziś takich czereśni nie ma już wcale.

Czereśnie z tamtych lat były duże i miękkie.
Podczas rozgryzania tryskały sokiem.
Błyszczały w słońcu i wabiły stada szpaków,
i nie mogły skryć się przed ptasim wzrokiem.

Ptaki obsiadały drzewko, dziobiąc czereśnie,
które spadały na ziemię jak śmieci.
Nieraz zawieszony strach, poruszany wiatrem,
odpędzał spragnione ptaki i dzieci.

05 CZERWCA 2024 R.

Andrzej Ostałowski DOGADANY Z ŻYCIEM

Kulawy

rynek świata
miasta iluzja
kulawy kataryniarz
korbą kręci
papuga na ramieniu wrzeszczy
kulawy
kulawy

próchniejące pudło śpiewa
do nieba płaczącego deszczem
cienie ludzkich sumień
przechodzą
słuchają
bez zrozumienia

wszystko osnute
ciszą wyobraźni
tylko papuga
z ironią zakłóca ją wrzaskiem
kulawy
kulawy
bez imienia

Łatwopalność

ocalały z pożogi
teraźniejszości
wyłania się
łatwopalny

darowany świt
oświećla drogę
ofiarowuje dokładkę
trwania cienia

w oceanie bezładu
siebie odszuka
rozłupie skorupę
niemocy

przez szczelinę nieba
dojrzy
perłę spełnienia

Skaza

gdy two stopy
w drogę ruszają
musisz tupać
by wiedzieli że idziesz

nie lękaj się skazy
która cię wyróżnia
westchnieniem
uchwyc się nadziei

żaglem
wypełnionym spełnieniem
przekraczasz horyzont
oceanu marzeń

zacumujesz na wyspie
bezludnej doskonałości
ona takich jak ty
przywita doceni ugości

Kosmos

jesteśmy cząsteczką
bezkresu kosmosu
bieguny skrajności
jak chwila do wieczności

ona w nas wybucha
własny kosmos tworzy
otulinę losu
kosmos kosmosu

jego tajemnicę odkrywamy
sami ją tworzymy
chwytny się poznania
dalej błądzimy

chwila jest wiecznością
wieczność chwilą
ocena dwuznaczna
tajemniczość smaczna

Cień mroku

cień zobaczyć w ciemności
poznać co robi
trzeba go światłem porazić

czy nie kroczy szlakami
zagiętej rzeczywistości
czy duszy przyprawia rogi

w pokerze życia
trefne fanty stawia
trzeba mieć na oku

by perłami światła
rachunków nie płacić
które on zaciągnie w mroku

Urok życia

na parapecie życia
łokciami podparty
patrzy przez okno
oszronionym wzrokiem

świat uśmiechnięty błękitem
odziany w ocean zieleni
pędzi wehikułem czasu
rytmem dnia i nocy

szyba deszczem płacze
stoi się w róże
malowane mrozem

stara wierzba wiosną
zielone zaplata warkocze
zimną nagość ciała
w białym puchu ukrywa

zegar trwania
sekundy ściga
serce rytmicznie terkocze –
jakie to urocze

Zdzisław Opałko**Wierszowana impresja**

A ten motyl
podobnie jak inne motyle
nektarem się syci oczy zachwyci
przyleci odleci i tyle

A ten kwiat
pozornie się niczym nie trudzi
potrafi przyciągać zniewolić
owady ptaki i ludzi

A ten owoc gdy się zjawi
jakże cicho dojrzewają owoce
może wydłużyć lub skrócić życie
takie ma moce

A te drzewa
podobnie jak inne rośliny
nie mogą wyrazić zgody
na życie bez światła i wody

A te konie wśród traw
z nimi się brata wiatr
nie są im braćmi siostrami
ostrogę chomąto i bat

A ten pies
co nim nie był a jest
w bytu zew wkradł się kicz
łańcuch się zmienił w smycz

A te blaski i ten świt
nadmiar łask czy tani chwyt
jak to jest nie wie nikt
cieniom przyjrzyć się muszę

A ten świat
czy w nim chaos czy ład
mam się bawić w retusze?
chyba ramionami wzruszę

I ten człowiek sam jeden
pośród tego wszystkiego
kto mu bratem kto katem
kto w tym lepszy od niego

Arkadiusz Frania

„AGATKA MÓWI, ŻE...

POWIADANIA FILOZOFICZNE” (FRAGMENTY)

Agatka mówi, że niedługo będzie koniec świata, bo jest grudzień, a temperatura od tygodnia nie spada poniżej pięciu stopni na plusie. Termometr się gniewa, wiatr krzywi, drzewa podejrzliwie przyglądają się liściom, które spadły, ale umknęły zębom grabi i sobie leżą, czekając nie wiadomo na co. To z tej nieswojej pogody te wszystkie katary, smarkania, kichania, głów-bolenia, te wszystkie złogi, spiecia, niecierpliwość i cierpiące ręce oraz to, co kwalifikuje się na stertę z napisem: „żeby się nie powtarzało zbyt często”. Staram się wytłumaczyć – bardziej sobie niż Agatce – że tak się zdarza i nie ma w tym niczego nadzwyczajnego, że to zwyczajne, choć nie codzienne, nie zwykłe. Sięgnąwszy do ogólnej wiedzy z geografii Polski, chciałem przypomnieć, iż w naszej ojczyźnie obowiązuje klimat umiarkowany, taki ni w pięć, ni w dziewięć, czyli średnio w siedem. Agatka tylko z politowaniem kiwa głową i krzywi piękne usteczka. A poza tym jeszcze trzeba ubrać choinkę i odejść od dyskusji nad porządkiem świata.

Płynie słowo i słóweczko,
dzień się kładzie jak pijany.
Powiedz prawdę mi, owieczko,
czy pić trzeba wodę z kranu?

Agatka mówi, żebym przestał wspominać, bo wspominał w najgorszy dla natlenienia krwi sposób, czyli do środka, do siebie, ale nie dla siebie, bez pożytku. Jakbym wciągnął do płuc całe powietrze znad Szanghaju i Zatoki Meksykańskiej i nie wypuszczał. Zaraz zacznę się krztusić i taka ze mną robota. Ale tym razem nie jestem w stanie nic zmienić, gdyż wspomnienie poszło w ruch, w obieg, nie po kolei, czyli według ustalonego z góry nieplanu. Na styku kartki i powietrza: „Z pokoju wychodzi się do kuchni, do drugiego pokoju i na korytarz z czworogiem drzwi. W sercu gmatwanina, ale dziwnie uporządkowana. Pierwsze i drugie – do pokoi gościnnych, trzecie – do wyjścia na podwórko, za czwartymi są schody na strych pachnący suszającym się ziarnem. Na poddaszu panuje lato lipcowe bądź sierpniowe. Na korytarzu chłód. Przez okna w skośnym dachu płynie słońce. W złocistych snopkach światła łagodnie dryfuje kurz; dawno-dziwny kurz, który nie uczula, nie roznosi wirusów. Z takiego kurzu, jak z maki, najlepsze chleby”.

Rana, plaster i usterka.
Dokąd zmierza moje życie?
Na gałęzi ptaszek ćwierka,
były barwy, będzie gnicie.

Agatka mówi, że zna kogoś, komu z wtorku na piątek śnił się ogród wypełniony kosmosem. Myślę sobie „ciekawe”, a myślenie tego przymiotnika przybiera trzy fazy: najpierw ze znakiem zapytania, potem bez pytańnika, następnie z cichym wykrzyknikiem, mało słyszalnym. Wracając do zdania otwierającego, to nie podejrzewałem Agatki o tak pikantny surrealizm, na który

składa się ściśnięcie czasu, motyw florystyczny i galaktyka. Poza tym w mówieniu pojawił się nieznajomy, to znaczy Agatka mówi, że go zna, więc dla niej nie jest nieznajomym, dla mnie już tak, ale to nie szkodzi, więc przechodzę do kolejnych rozważań o życiu. Tak, „dzisiaj” jest dla mnie czasem po katastrofie, po kataklizmie, po trzęsieniu słów i znaczeń. Słowa odpadły od znaczeń, znaczenia nie kleją się do słów jak w przedszkolu. Apokaliptyczna zabawa. Cienie i głosy. Korytarze i drzwi. Przejścia, tunele, przełazy, przesmyki, przełęcze. Ten wpis miał być radosny, ale się nie udało, bo Agatka mówi, że zna kogoś, komu kiedyś śniło się coś.

Trzeba zmyślać po dobroci,
nie nastrojać się na troski,
coraz więcej jeść łakoci,
raz w tygodniu przemyć włoski.

Agatka mówi, że powinienem się wreszcie i nareszcie, i dzisiaj jednoznacznie określić, czyli jakoś nazwać, a nie szwendać się ontologicznie czy jakoś tam egzystencjalnie jak dotychczas, jednego dnia udawać siebie „o, taki!”, za chwilę „o, owaki!”, że zgłupnąć można. Zaczynam zatem. Kim jestem? Kto lub co we mnie siedzi, kuli się, by wyjść, ujrzeć i być ujrzanym, świecić wprost w źrenicę i połykać promienie? Od rana z każdym fragmentem jestem coraz bliżej. Rozchodzę się we wszystkie strony, we wszystkie światy nagle. Wszystkie światy, wszystkie strony schodzą się we mnie, śmieją się ze mnie. Czuję ściśnięcie i rozluźnienie, jestem równocześnie równoległy i prostopadły, najprawdziwszy i do szpiku kości skłamanym, niezbędny i śmieć, czarny i biały, porzucony w rowie i ukołyszany ciepłymi dłońmi do snu, wspinający się na wierzchołek i pogruchotany o kamieniste dno, dźwigający tornister pierwszoklasisty i wbijający zakrwawione paznokcie w drzwi trumny, w kontakcie z mgłą i pulsujący od liczb, jestem i nie jestem, byłem i nie byłem, będę i nie będę. Uff, jak gorąco!

Po co zdrabniać i umniejszać?
Po co w tańcu szukać sensu?
Po co bigos łyżką mieszać?
Po co wchodzić do kredensu?

Agatka mówi, że na nerwy najlepsza jest rymowanka. Z-wymyślam z głębi duszy, z mroków światła i słońca ciemności:

idzie ranek,
śpiewa wianek,
a od wianka
nici z ranka.

A potem cięcie gordyjskiej liny nerwów, przekraczanie linii wstrętów i odmętów. A potem wolność i swoboda. Twarz odbija się od lustra jak piłka i uderza mnie w tę pierwszą twarz. Maską pokrywa maskę, obie maski zrastają się. Robię się większy i tym bardziej pusty. Taki rozświetlający stan nie trwa jednak długo. Czuję się jak Adaś Niezgódka – bohater *Akademii Pana Kleksa* – mówiący o sobie: „chłopiec zupełnie do niczego”, nieszczęśliwy posiadacz „glinianych rąk”, niedojda, niezdara, takie nie-wiadomo-co, nie-wiadomo-kto, nie-wiadomo-po-co.

Pachnie bez i inny kwiatek,
za szybami już po burzy.
Naszyj na dziurawiec łatę,
aż cię ta robota znuży.

Agatka mówi od progę, że ziąb jak jasna cholera. Z miasta wróciła jak z wyprawy po chłód. Chciała przynieść nadzieję na skok temperatury tak mniej więcej o dwa żeberka kaloryfera, ale tym razem fiasko i piasek zmieszany z kryształkami lodu. Między szparami w drewnianych oknach powiało krochmalonym wiatrem, kałuże ścięte jak białko. Ptaki nie poznają krajobrazu i rozczerwanie zagryzają ciszę. Wokół, we wnętrzu, po bokach świata jedyny i niepowtarzalny zamrożony smutek, od „s” do „k” cały marmurowy, wykuty w bryle, nieruchomy. Nie pomaga kakao i bułka z żółtym sercem, i dokument o erupcji wulkanu uspiętego od trzech tysięcy lat. W dalszym ciągu zimno. Mamy nieustannie, zachłannie złodowaciłe ręce, nogi i rzęsy. Agatka ubrała ciało w gruby czarny sweter nieprzepuszczający powietrza (istny termos) i chodzi między komputerem, książkami do oligofrenopedagogiki a kolejnymi papierosami. W dużym pokoju zatrzymuje Agatkę pod żyrandolem jak po jemiołę i chce włożyć dłonie pod jej ubranie.

Na parapet włązi gołąb,
pokój mi się myli z kuchnią.
Wody nalej, obiad odtrąb,
niech nam brzuchy z żarcia puchną.

Agatka mówi przez śnienie, że ziemia się roztrzaskała o podłogę. Tragedia. Nie ma ziemi. Samotne skorupy. Wykluły się kurczaki i wyjadają wapno z kamienia. Kiedy już myślę, że wszystko się ułożyło, nagle dzieje się coś i wiem, że nic się nie ułożyło. Pustkowie wypełniają kwarki ze skwarków, atomy z motyla, monady z lemoniad. Małe to i niewidoczne, robi jednak tyle chaosu i hałasu. Potem opływam ciszą. Nerwy na bok. Plaster mięty na serce. Rozdygotanie, rozczapierzenie okiełznałem w sposób własny, niewymyślny. Trzeba to przyznać: gdybym teraz umarł, nie mógłbym o tym wszystkim pogwarzyć, nie zagrałbym głównej roli w swoim życiu. Śmierć to nie sklep samoobsługowy. Topnieją kamienie. Wyczerpuje się zimno, zima. Jeszcze proszą pestki gradu. Za mankietami spodni, w ustach. Agatka zjadła trzy kawałki ptasiego mleczka i się cieszy z poziomu cukru we krwi. Machają skrzydełka z niebieskiego kartonika po pustych słodyczach firmy „E. Wedel”.

Pan w koszulce białej w grochy
czai się, bo skrycie pali.
Pani ma pod nosem fochy,
bo jest coraz grubsza w talii.

Agatka mówi, że raz na jakiś czas należy dla zdrowia psychicznego poudawać wariata. A ja w tym (między)czasie myślę pod prąd, w jedną odwrotną stronę, w gasnącym tempie jednostajnie cichym. Wszyscy gadają o wolności i wszyscy zwalniają. Potem gadają o miłości i każde uczucie obierają do ości. Następnie gadają o równości i noszą do rowów w zwolnionym

tempie kości uczuć. Agatka musiała usłyszeć moje idące gęsiego idee, bo nawiązała się rozmowa, bo związała się mowa bez zaglądania do słowników i kompendiów wiedzy o wszystkim. Korzystaliśmy z bazy uczuć podręcznych, z tych małych zasobów na każdą okazję i bez okazji. „Co dzisiaj brałeś?” „Czemu pytasz?” „Przecież coś musiałeś brać. Ćpałeś? Nikt przy trzeźwych zmysłach nie kombinowałby z językiem tak jak ty”. „Agatko, nie umiem zbawić świata, nie mam żyłki rewolucjonisty, bakcyła społecznika, przewrotowca-wywrotowca. Mój «dewizjon» jest taki: nie potrafisz zmienić rzeczywistości działaniem, dobierz się do niej słowami”. „To dobre na okładkę książki”.

Naraz, nagle, wnet i jejku,
coś się dzieje, choć nie działo.
Mleko znów zostało w lejku,
kożuch grzeje mi kakao.

Agatka mówi, że na odprężenie poleca czytać. Przypomniałem sobie, że niegdyś, gdy nie kochałem, chciałem napisać książkę o miłości, z miłosną fabułą, z miłosnymi postaciami, z pościelą, poranną kawą do łóżka, wspólną kąpielą pod prysznicem, z miłosnym happy endem, z miłosnym zakończeniem otwartym na następną miłosną książkę, ale gdy przeczytałem kilka nagryzmołonych rzadkim pismem stron, okazało się, że nie tworzę rzeczy o miłości, tylko o mdłości. Potem, kiedy utłukłem z tuzin much i drugie tyle pajaków, pomyślałem, by napisać książkę o nienawiści, z krwią, łamaniem charakterów, zbrodnią, z kryminalnym tłem, lecz wyszedł początek powieści o miłości, czyli i o mdłości. Zresztą nie lubię książek z napastliwymi morałami, a miłość i nienawiść to morał nad morałami i ambona. Przecież ta powieść sama się nie napisze. Muszę poświęcić jej minimalną uwagę, muszę dać jej trochę zżycia, z życia, z siebie. Nic z tego nie wyjdzie i tak. Jestem zbyt niecierpliwy, z wiekiem krótsze są momenty skupienia, zwykle po 10-15 minutach odechciewa mi się czegokolwiek, czego-siebie.

W poniedziałek plan na tydzień:
zdobyć, zanieść i odebrać,
a we wtorek wszystko minie,
czas z terminem jak konserwa.

Agatka mówi, co ją trapi, że szlag ją zaraz jaśnisty trafi. Może warto byłoby całość wyjustować, wyrównać, przyczesać. Żeby po bożemu było, od lewa do prawa, jak w ringu. Cztery słupy ograniczają? Te słupy są pod napięciem, nie powinienem wkraczać na obszar zastrzeżony. Ale czuję chęć, rośnie potrzeba, żeby się rzucić, żeby się zrzucić z siebie samego, który mnie pęta jak pęta. Niech się zetrze sterany staruch, który siedzi we mnie, jak tasiemiec chłonie moją energię, jak kukułka podrzuca cudzość, budzi conocnie i siada okrakiem ma mojej duszy, gwałcąc do przytomności, do ocucenia z onuc nocy. Tylko co zrobić, jeśli wmawiają, że starszych trzeba szanować, lecz również zmuszają do szanowania zieleni, trawnika, puszczy, jezior, kraju, kontynentu, globu. Ekosystem? Jaki ekosystem? Jediną szansą na przeżycie tego życia jest egosystem. „Nie jestem ptakiem, jestem księciem” – odezwał się we mnie szpak Mateusz, nim zaczął opowiadać Adasiowi Niezgódce swoją historię z wilkami i czapką bez guzika.

Łapać w locie, wszystko wiedzieć,
dopytywać się do kłopot.

Kura palcem w ziemi grzebie.
W lewo sobie mieszam kompot.

Agatka mówi, że nie ma co przesadzać z tym wszystkim. Wszystko staje się bardziej fikcyjne niż nic. Z nic można jeszcze coś zrobić, wypchać gazetami jak wiosenno-letnie buty, gdy zbliża się zima i lodowce topnieją do rozmiarów zdjęcia na widokówce. Z nic da się pogadać, nie na temat co prawda, ale nawet od serca. Nic przyjmuje wszystko, więc wszystko służy jak nic. Obcinałem paznokcie u palców stóp, więc teraz dłonie pachną mi nogami. Patrzę w lustro jak w korytarz, na końcu którego jestem sobą, chociaż tam, w głębi mnie, wszystko odwrócone stronami. Myślałem, że znajduję się pod ziemią, a z ziemi łatwiej dostrzec niebo. Oczekiwałem na ziemię, a tu się niebo opuszcilo, zszedłszy z gór. Pozdrawiam ich wszystkich. I tych, i tamtych. Mimo iż nie znam nikogo, kogo mógłbym znać. Potem spacer na odświeżenie organizmu. Japonia w witrynie sklepowej, włoska restauracja, turecki kebab, wystawa fotografii dzikiej przyrody z Afryki, majonez z Belgii, pocałunek francuski. Podróż wzdłuż światła ulic.

Karaiby i onuca.
Połączenie, aż się boję.
Wąż pod ławką skórę zrzuca.
Teatr czyści latem stroje.

Agatka mówi, że zrobił na niej wrażenie film o dziewczynie, której w płucach wyrosły lilie. Francuskie kino posiada specyficzny smak niezależności, podany w przystępnej formie, a dziewczyna z lilią jeszcze dzisiaj wywołuje dreszcz niepokoju, choć obraz jest kolorowy, plastyczny, by szybko stać się surrealistycznym, płynnym, bezlogicznym. Nielogika, aby została odczytana, musi być oparta na logice, na zdarzeniach prawdopodobnych, lecz umieszczonych w „niewłaściwych” kontekstach. Odzywa się szuranie świadomości samej lub tej z przedrostkiem „pod-”. Na trzeźwo, bez pastylek. Bieganie, biegi od wschodu słońca, od wzvodu księżycą do zbiegu ulic. Ze skrzyżowań, przecięć, napięć, naprężeń, podpięć tworzy się dzień. Mężczyzna w zielonym uniformie wypakowuje z półciężarówki zapachy. Pieczywo. Palone smaki. Prawdopodobnie nie musimy się znać na wszystkim, bo przeciążenie mózgu powoduje wybicie bezpieczników. A gdzie one są umiejscowione? W potylicy. Nigdy nie sądziłem, że tam. Nie tam, gdzie myślisz. Rozpuść powiązania znaczeniowe i jeszcze raz wyzbądź się sztamp i automatyzmów.

Bardzo ładne mam rękawki.
Bardzo ładne mam trzewiczki.
Wkładam nabój do pukawki.
Tak otworzę wszystkie drzwiczki.

Agatka mówi, że jak nie mogę, to przez nogę i już mogę. Ostatnio mój czas składa się z samych poranków i wieczorów. Jakby godziny słońca poznikały w dziurze, która zawłaszcza ważne rzeczy. Większość z nich pojawi/objawi się, gdy zostaną zapomniane, gdy zagarną nas inne ważne rzeczy. Wtedy te pierwsze ważne rzeczy będą mniej ważne, odnotujemy je wstchnieniem i tym razem z własnej woli wpiszemy w kolumnie „więc jednak się znalazło”.

Chciałem napisać coś o kolorach, ale jest mi tak szaro, beztęczowo, tak zgubnie i trochę bezglukozy, że tylko przyglądam się sobie dłońmi. Nie po omacku. Ze świadomością. Sprawdzam, czy w miarę dokładnie się ogoliłem, troszkę chropowato pod samą grdyką, te miejsca powinienem omijać, gdyż kojarzą mi się z podrzynaniem gardła. Podpieram policzek pięścią, myślę i nie myślę, zatrzymuję się i ruszam powoli. Z kwiatowych wzorów na firance nie wywróżę nic jaskrawego. Po chwili już czuję pod lewym okiem wgłębienie, które wypełniają umykające chwile.

Uczmy się stolic zawczasu
afrykańskich oraz z Azji.
Do wody nalejmy kwasu.
Wróćmy szybko do Abchazji.

Agatka mówi, że nie bardzo jest jak to zmieścić, bo tyle tego, że więcej chyba nie można. Tydzień ma się ku wyczerpaniu. Ja dzień, ty dzień. My. Zmyleni, zamydleni. Niecierpliwie rozbijam się na kawałki zwykłych czynności. Zatracam się i tracę. Nie odbijam się w tych kawałkach jak w lustrach, jestem nimi, one mną. W-istoczenie. Tak mnie wybawia Bóg przed głupimi myślami, gdyż powszechnie wiadomo, że każda myśl z czasem staje się najgłupsza. Dłuższe myślenie wciąż o tym samym szkodzi, wycieńcza i osłabia. Jak byłoby mi pięknie, gdybym mógł obcinać paznokcie do końca życia. Zajmować się tylko tym, niczym mniej. Mówią, że po śmierci paznokcie i włosy rosną, a to nieprawda. To człowiek schnie, wysycha, kurczy się, a wyrosty są tej samej długości, czyli jawią się jako większa część całości w nowej pozgonnej perspektywie. Ach, te złudzenia optyczne. Czy ze względu na wodny skład ciała ludzkiego nie powinniśmy zaliczać się do organizmów płynnych? Agatka prosi, żebym przyniósł jej dwa ptasie mleczka, dlatego zapisek urywam. Pewnie będę latał kilka razy, takie to już jedzenie na raty, że niby mało jem.

Z czego składa się bóbr zwykły?
Z czego sweter i Pinokio?
Kto zasłużył na pomniki?
Kto otwiera zimą okno?

Agatka mówi, że nie ma powodu się tak śpieszyć, no bo dokąd, no bo po co. Stoję, ale nie zamieniłem się w słup soli, w bryłę niedoli, chociaż czuję się jak rozwiercony ząb bez zabezpieczenia. Nerwy na wierzchu, prowizoryczna lepianka pomaga tylko psychologicznie. Żyjemy przede wszystkim w pozorach, w niezmiennym oszukiwaniu siebie i bliźnich. Wystarczy przecież podnieść kołnierz marynarki i już robi się cieplej, mimo że temperatura ustannie spada. Nasz mózg, źródło siły albo upadku. Ciągła interpretacja i nowe iluzoryczne fakty. Stoję i jednocześnie ruszam się, to znaczy w obrotach są ludzie i słowa. Słowa i ludzie ocierają się o mnie, dotykają, wprawiają w mikroprzesunięcia. Nie podejmując żadnych działań kinetycznych, nie podnosząc nóg ani nie trzepocząc rękami, znajduję się trzy kroki dalej, trzy kroki bliżej, gdyż w jednej chwili spoglądam z tej i z przeciwnej strony. Agatka milczy, bowiem nie powiedziała jeszcze wszystkiego. Ja milczę, bowiem nie mam nic starego do powiedzenia, a nowe mnie uraża jak zaraza.

Minut bieg, że nie dopędzisz.
Sąd nad sadem i kra krewka.
Gdy cię pod kolanem swędzi,
czytaj bajki o Dratewkach.

Agatka mówi, że chwila przerwy i zaraz światło, aż poparzy oczy. Przeglądam kartki, karteluski, papiery, papierki, słowa, słówka, litery, literki. Nie ułożę tego we właściwej kolejności. Nie ma właściwej kolejności. Właściwa kolejność to kolejny wymysł umysłu, który tak bardzo chce układać. Zakładam, że się boisz. Boisz się? Boję się, bo co mam lepszego do roboty – nie bać się oraz siedzieć i zamartwiać się o to, co już jutro się zdarzyło? A co cię uspokaja, co cię kaja? Nic, nic nie umie wygasić ognia zżerającego mnie od kości. No to nie jest najlepiej. Nie jest, ale było, więc może będzie. Agatka zabrała się za prasowanie. Żelazko syczy, zapach pary przywraca mi zmysły. Patrzę na biurko, bibeloty i przedmioty. Słonie – jeden porcelanowy z niebieskimi liniami, drugi bardziej rzeźbiony – mają trąby do góry, czyli będzie szczęście. Na całe szczęście muszę pocierpieć. Radość może być radością jedynie w sytuacji, gdy przychodzi po smutku, w przeciwnym razie nie wiedziałbym, że stan się odmienił – i chce się brnąć dalej z podniesioną trąbą.

Raz na zawsze, no i koniec.
Bez początku można wszystko.
Ducha ćwiczę w rannym skłonie.
Ściągam sobie spodnie myślą.

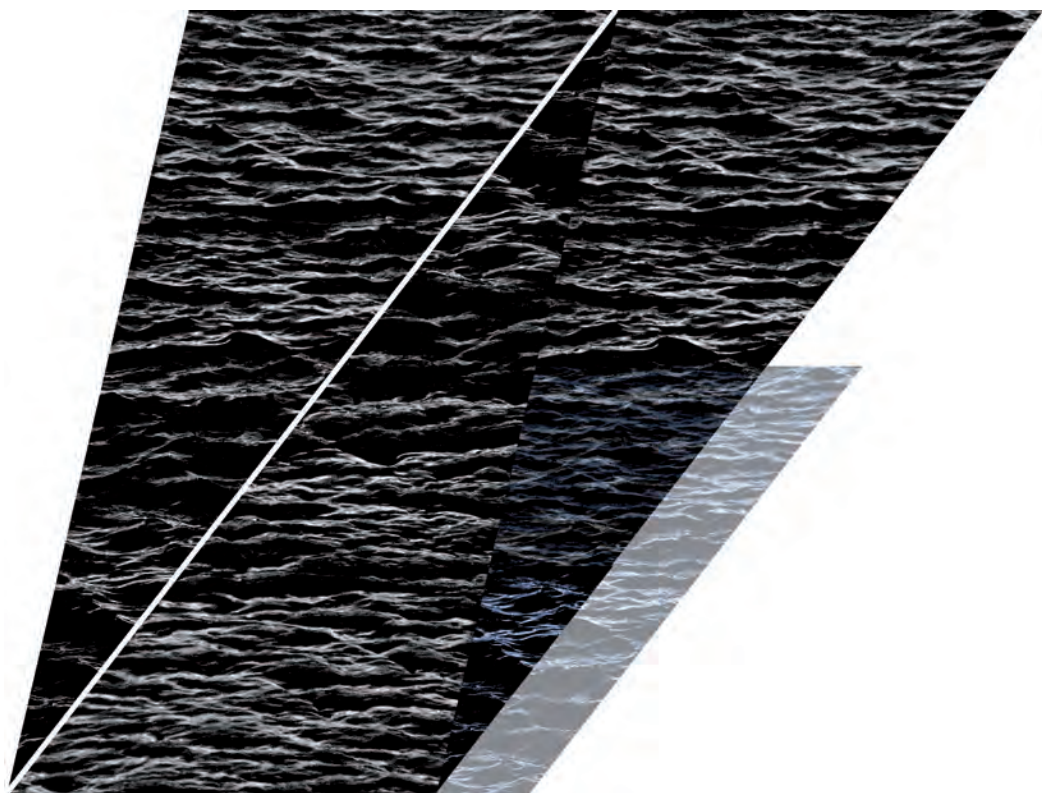
Agatka mówi, że w artykule o szczęściu zbyt wiele gaworzeń o szukaniu szczęścia w nieszczęściu. Po szesnastej jest już ciemniejaco, dzień jednak dłuższy od najkrótszego o 18 minut. Czemu nie podają, że dzień jest krótszy od najdłuższego np. o 12 godzin i 15 minut. Wiadomo dlaczego. Chodzi o budzenie optymizmu, bo łatwiej przełknąć liczby progresywne, wtedy niby coś się dobrego dzieje, idzie do przodu, choćby pomału, lecz idzie. A stanie/zo-stanie w miejscu to największe nieszczęście i plaga życiowa. Mówią: „jak stoisz w miejscu, to się cofasz”. A panowie spod znaku zielonej trawki mają własną filozofię; siedzą w oceanie czasu, moczą w tej wodzie i wódzie nóżki i rączki, i ruszają się tylko po kolejne piwka lub winka, ale ile w ich umysłach i słowach przestrzeni, wypraw galaktycznych, spotkań z własną i obcą cywilizacją, zwłaszcza obcą/pozaziemską, więcej niż we wszystkich odcinkach serialu *Star Trek. Następne pokolenie*.

Stukot kół o gęsty beton.
To od lasu jedzie książkę.
Spod mundurka sterczy welon.
Język się od bimbru płacze.

Agatka mówi, że jutro postanowi jeszcze odmienić przez przypadki wyraz „przypadek”. Nie ma przypadku, wszystko jest poukładane, zmontowane, zestawione, wyznaczone, ustalone, umówione, rozdzielone. Jaka jest zatem rola człowieka? Czy życie ma jeszcze jakiś sens?

Zadaniem człowieka jest poznanie, zrozumienie i przyjęcie swojego przeznaczenia. To nie jest łatwe, lecz jak długo można udawać, że znamy tylko tyle, ile znamy, ani więcej, ani mniej? To konieczność osobistych dziejów, że najbardziej romantyczne są dworce małych stacji w lipcu o czwartej, piątej nad ranem. Niewyspany nie mrużę oczu. Pięć godzin od domu, pięć godzin do wakacji. Gdy stoimy w stojącym pociągu, otwieram okno i wbrew ostrzeżeniu wychylam się. Mały mężczyzna z białymi włosami idzie wzdłuż wagonów. Ziewa, ma na sobie kurtkę, dżwigę skórzaną torbę. Nie spieszy się. Za nieznajomym zamykają się drzwi poczekalni dworcowej. Wtedy słyszę gwizdek kierownika pociągu i skład rusza, ale nie odrywa się od torów. Pociąg bowiem pędzi w znane.

Ładnie to tak kończyć w piątek?
Sto dwadzieścia fraz o niczym.
Dobrze, że się stracił wątek.
Dobrze, że się dało zliczyć.



Janusz Pacuda, *Wydarzenie echa*, z cyklu *Trójkąt Bermudzki*, druk cyfrowy, 2011

Jakub Bartecki

ONI

ZAŁOŻ KASZKIET, BO WIECZORY SĄ JESZCZE CHŁODNE.

Wiem, co mam założyć.

Bierzesz telefon? Po co ci?

Oni śledzą takich jak my. A jeśli ktoś będzie chciał mi zrobić krzywdę?

Poradziś sobie. Nie potrzebujesz ich pomocy; nie potrzebujesz ich o nic prosić. Wszystko wzięłeś?

Przesunąłem ręką po wypchanych kieszeniach. Stare płaszcze są takie pojemne. Nie to, co ten dzisiejszy bubel. Do noszenia tych sztucznych chińskich szmat też nas w końcu zmuszą. Już nas zmusili. W sklepie nie da się kupić nic porządnego. Tylko te plastikowe koszule, bluzy, kurtki, plastikowe džinsy, które rozlatują się w rękach... Kiedyś trzeba było cały boży dzień szorować džinsy pumeksem, żeby zrobić w nich dziurę, a teraz sprzedają podziurawione kawałki szmat, gdzie materiału tyle, co kot napłakał. Niech się potem nie dziwią, że na starość będą cierpieć na bóle stawów i kości.

Spojrzałem na termometr zawieszony tuż za oknem. Musiałem sobie podświetlić latarką, bo nawet światło z lamp też jest słabsze niż kiedyś. Minus trzy stopnie. Spojrzałem na zegarek, od lat zawieszony w kuchni. Jeszcze Ewa kazała mi go tam zawiesić... Dwudziesta pierwsza dwadzieścia cztery. Czas wychodzić.

Zamknąłem drzwi na dolny i górny zamek. Szczególnie ufam górnemu zamkowi, bo to jednak Gerda. Choć, prawdę mówiąc, oni mają takie możliwości, że jak będą chcieli, to po prostu wysadzą w powietrze te drzwi i wejdą do środka. Ale w środku też coś dla nich zostawiłem...

Nie zapaliłem światła na klatce schodowej i to był błąd, bo gdy byłem już na pierwszym piętrze, to nagle straciłem pewność, czy zamknąłem drzwi do mieszkania. Niby na pewno zamknąłem, ale już raz mi się zdarzyło wrócić i drzwi były otwarte... Lepiej nie kusić losu, póki jeszcze nie wyszedłem na zewnątrz. Wracam na górę, po omacku. Drzwi są zamknięte na oba zamki. Mogę ufać tylko sobie, ale i sobie samemu czasami nie warto ufać. Tak jak mówiłem, czasami nasza pamięć nas oszukuje.

Na dworze przyjemny suchy mróz. Ulica w niektórych fragmentach pobieliała. Na wyasfaltowanym chodniku część wystających kamieni błyszczy jak rozrzucone przez szaleńca diamenty. Widzę ulicę Jesienną. Jestem na pętli autobusowej. Schodzę w dół. Zza przystanku tramwajowego w oddali słychać miarowy stuk przejeżdżającego pociągu towarowego. Przechodzę na drugą stronę ulicy Jesiennej i jestem na przystanku. Tramwaj powinien podjechać za dwie minuty.

Oprócz mnie nikogo tu nie ma. Patrzę na garaże za torowiskiem: na jednym wymalowane „RKS RAKÓW CZĘSTOCHOWA”, na drugim dwie kubistyczne szare twarze, które patrzą prosto na mnie. Nieprzyjemny wzrok. Gdzieś za sobą usłyszałem kroki. Są za daleko, nie widzę dokładnie. Chyba jakiś mężczyzna. Wyszedł z psem na spacer. Skręcili przy budce piekarni Musiorskiego.

Huk nadjeżdżającego tramwaju. Tramwaj „Medalik” również w barwach Rakowa Częstochowa. Opuszczam głowę i wsiałam do środka. Od razu zajmuję siedzenie przy drzwiach. W tramwaju zauważyłem tylko dwie osoby siedzące z przodu. Drzwi zamknęły się z irytującym pikaniem.

Nie patrz się w oko kamery. Oni rozpoznają twarze. Oni chcą wiedzieć, gdzie jedziesz. Wiem.

Nasunąłem kaszkiet na czoło.

To tylko jeden przystanek. Bez nerwowych ruchów. Oni czują zdenerwowanie i strach. Oni, nie ja.

Tramwaj ruszył, szumiąco tocząc się po torowisku. Z głośników kobiecy głos oznajmił: „Następny przystanek: Sportowa”. Po nabraniu prędkości szum zamienił się w huk. Zjechaaliśmy w dół Jesiennej. Nie minęliśmy ani jednego samochodu po drodze. Hamulce tramwaju dziwnym elektronicznym dźwiękiem oznajmiły swoją pracę. Tuż przed przystankiem w trakcie skrętu w Aleję 11 listopada z głośników poleciała krótka melodyjka, a kobiecy głos powiedział: „Sportowa”.

Wysiadłem i poczekałem, aż tramwaj odjedzie. Nie chciałem, żeby jego kamery zarejestrowały, gdzie pójde.

Tramwaj odjechał.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy 11 listopada, a potem wzdłuż drzew w kierunku przemyku prowadzącego do ulicy Sportowej, do pierwszej klatki moich ptaszków, moich cudownych ptaszków, o które nikt oprócz mnie nie dba, którymi nikt oprócz mnie się nie interesuje; które wszyscy kopią i przeganiają; które zdychają z głodu i mrozu. I tylko ja jeden o nich pamiętam, tylko ja jeden spośród tysięcy parszywych mieszkańców tej i wszystkich innych dzielnic miasta, każdego miasta.

Tylko ty o tych biedakach pamiętasz.

Wiem.

W dzisiejszych czasach humanistyczna troska o zwierzęta została zastąpiona medialną ustawką dla kamer i tych obrzydliwych gwiazd z dupami na wierzchu. Na cyckach wytatuowane psy i koty, na penisach imiona kotów i psów; zaaranżowane zdjęcia w schroniskach i jeszcze tylko brakuje programu w telewizji, w którym jakaś celebrytka przez dwadzieścia cztery godziny prosto ze swojej...

Nie sarkaj!

Przepraszam... Moje ptaszki, moje ptaszki... Wszystkie paskudne szkodniki już dawno śpią, nikt już wam nie ukradnie jedzenia...

Wsadziłem rękę do kieszeni, zgarnąłem garstkę mieszanki ziarna i rzuciłem przy wiacie na śmieci.

Jedźcie, moje kochane gołąbki, moje sroczki, moje wronki i gawronki, moje kawki, moje wróbelki Elemelki, jedźcie. Beze mnie nie przeżyjecie tej zimy, jestem waszym przyjacielem, waszym tatusiem... Chodźcie, moje dzieci...

Coś mnie zaniepokoiło. Obejrzałem się. Obok torowiska przejechał samochód. Szelest. Jakiś stuk? Stuk obcasów? Rozejrzałem się, ale nikogo nie zauważyłem. Musiało mi się wydawać.

Wieczorem zawsze masz bardziej wyostrzone zmysły, pamiętaj. Słyszysz nawet te dźwięki, których nie ma.

Nie ma dźwięków, których nie ma. Nie ma niczego, czego nie ma.

Czyli Ani też już nie ma?

To akurat coś innego...

Poszedłem wzdłuż bloku, ale ulicą, nie chodnikiem. Żółte światła lamp; matowe kolory rzeczy. Ulica zakręcała w prawą stronę, blok zresztą też.

Znowu coś usłyszałem. Obejrzałem się. Czy przy wiacie, przy której przed chwilą byłem, ktoś stoi? Nie widzę, za daleko. Przystanąłem, żeby się lepiej przyjrzeć. Zmrużyłem oczy, ale nic nie zauważyłem.

Tam może ktoś stać.

Kolory się zlewają w różne kształty. Przez moment widzę ludzką sylwetkę, ale tylko przez moment.

Wrócić się?

Albo uciekać!

Robię kilka kroków w kierunku tej wiaty. Ale sylwetka się rozmywa i widzę już tylko krzaki i drzewo, a pod nim kontenery na śmieci segregowane.

Ktoś się schował?

Nie, na pewno nie.

Idę dalej wzdłuż bloku, który skręcił w prawą stronę; ulica zresztą też.

Przy budce transformatorowej zazwyczaj się nie zatrzymuję, ale tym razem też rzuciłem obok niej małą garstkę mieszanek. Dlaczego nie? Systematyka i przewidywalność tylko pomaga naszym wrogom. A jeśli ptaszki nie znajdują tutaj pożywienia, to może tutaj zatrzymają się inne zwierzęta, przez co moje ptaszki będą miały więcej w swoich klatkach?

Nie zbiedniejesz od tej jednej garstki.

Nie zbiednięję.

Przy budce ukradkiem spojrzałem za siebie, ale nikogo nie zauważyłem. Idę dalej. Tyle tych samochodów. Ani jednego wolnego miejsca. Kto by to kiedyś przewidział?

Druga klatka moich ptaszków. Rzucam większą garstkę mieszanek pod wiatę. Tutaj na pewno jakieś ptaszki się stołują. Widzę wasze kupki, wasze odchody, dziesiątki, setki płam, rozlane jak czarno-biała farba na obrazach Jasona Pollocka. Przypadkowa celowość.

Spoglądam na chodnik wzdłuż bloku po prawej stronie: mroczna alejka w zieleni. Gdzie jesteście, drogie dzieci? Przyniosłem wam kolację! Tatusz przyniósł wam jedzonko. Gdzie moi kochani, moi najbliżsi?

Najbliżsi?

Pytasz o to codziennie...

Staram się zrozumieć.

To postaraj się wreszcie.

Nie słyszysz tego?

Słyszę.

Rozmawiają ze sobą, choć nikt się nie słucha.

Czy oni w ogóle mogą się usłyszeć nawzajem?

Oni tylko pragną być zrozumiani. Oni tylko potrzebują się ze wszystkiego wytłumaczyć. Oni mówią w języku, który poznamy dopiero tam.

Dla mnie to brzmi jak przesłuchanie.

Wiem, że wśród nich są dobrzy i zli, tylko nie wiem, kto kogo przesłuchuje.

Na pewno nie wiesz?

Najgorzej mają ci, którzy się śmieją. To odwrócony płacz. Dla tych już na pewno nie ma ratunku...

Znasz ich?

Znam wielu z nich. Z tego hałasu można wyłuskać znajome głosy. Dlatego mówię: najbliżsi, dzieci.

Dlatego ich karmisz?

W oczekiwaniu na wieczność człowiek może zgłodnieć, nawet jeśli nie ma już swojego ciała.

A ona?

Ewa?

Tak.

Słyszałem ją tylko raz. Chciałbym ją jeszcze choć raz usłyszeć...

Gdzieś z oddali zamajaczył dźwięk karetki. Mijam żółte wyspy pod latarniami. Czarny cień załamuje kształty wszystkiego. Celowa przypadkowość. Ani jednego wolnego miejsca. Kto by o tym kiedyś pomyślał? Wchodzę na chodnik. Klatka za klatką. Nie tylko ptaki mieszkają w klatkach.

Za tobą, teraz!

Oglądam się za siebie. Nikogo nie ma, ale ktoś może tam iść. Jest za daleko, nie widzę. Ale wyraźnie słyszę kroki. Kroki więcej niż jednej pary nóg.

Zza delikatnego zakrętu, zza samochodów wyłania się nastolatka ze swoim psem. Rozmawia z kimś przez telefon. Przechodzimy obok siebie. Blok, wzdłuż którego idę, się kończy. Skręcam w lewo. Przechodzę na drugą stronę ulicy. Wchodzę na chodnik z betonowych kwadratów. Wyłażą z niego kępy trawy i chwastów. Wyłażą. Po prawej stronie równo przycięte krzaki. Za nimi drzewa iglaste. Młode. Przechodzę obok bocznej ściany kolejnego bloku; na bloku wymazane sprejem „Tylko Raków”, „Jebać psy” oraz kilka nieczytelnych zakrętasów. Tym gnojom powinni poucinać ręce za niszczenie elewacji...

Przechodzę na drugą stronę uliczki. Trzecia klatka jak trzecia stacja drogi krzyżowej... Upadłeś i powstałeś. Rzucam garść mieszanki tuż obok drzwi wiaty śmietnikowej, między ścianą wiaty a wystawionym na zewnątrz kontenerem. Obok kontenera trzepak na dywany i ławeczka. Przez moment pomyślałem, żeby usiąść i odpocząć chwilę, ale szkoda czasu. Zaczynam odczuwać mroźną aurę, ale tylko w stopach i uszach. Nie jestem tak wytrwały, jak kiedyś.

Dobrze, że włożyłeś ten kaszkiet.

Dobrze. Idę dalej, moje dzieci.

Kolejne światła w mieszkaniach gasną. O tej godzinie jest najprzyjemniej, nawet w taką pogodę. Mróz można wytrzymać. Nikogo nie muszę oglądać. Wzdłuż bloku – klatki schodowe. Tuż przy zakręcie w lewą stronę rzucam garstkę mieszanki przy następnej budce transformatorowej. To dla wszystkich tych, którzy pogardzają moimi ptaszkami. Obyście się zatruli, szkodniki cholerne...

Po lewej stronie nieoświetlony plac zabaw, odgrodzony od reszty osiedla zasiekami jak więzienie dla dzieci. Enklawa. Zjeżdżalnia, piaskownica i drabinki rzucają swoje cienie na już zacienioną trawę i żwir. Ciemna strona cienia. Gra w kapsle z kumplami. Wyścig Pokoju. Babki z piasku i wspinanie się. Gra w kurnik i w klasy. Pisk dziewczyn, których piknikowy koc oblażyły czerwone mrówki. Ewa. Usłyszeć ją jeszcze jeden raz. Nakarmić ją jeszcze jeden raz. A wraz z nią wszystkich innych. Nakarmić ją tak, jak ją karmiłem na samym początku i na samym końcu, jak dziecko.

Zakręt w prawo. Wnęka bloku i pawilon sklepowy „Społem”. Zawsze chcieliśmy wejść na dach tych pawilonów. Wszędzie, gdzie blokowe pudełka zakręcają, w powstałej szczelinie postawiono mały lokal. Z jednej i z drugiej strony ciągi pudełek, które tworzą ogromne litery C.

Wchodzę na kolejny parking, przechodzę go na wskroś. Labirynt aut. Ulica Sportowa. Sportowa?

Niegdyś nie było tu niczego ludzkiego. Tylko pole wrzosów, bujne, niezadeptane. Natura. Później kilka ludzkich domów jak przyczółki intruza na nieswoim terenie. Dosłownie i w przenośni. Ruch oporu, Szwaby, niepodległość, konspiracja. Tyle głosów, ilu ludzi. Śmierć. Powojnie, cisza i równość, proletariats. Robotnicze miasto; czerwona Częstochowa. A ucisk? A komunizm? Pamiętam dom wujka Stefana i ciotki Ani, i nic więcej. A później? A później człowiek żył dalej swoim życiem i pojawiały się tylko nowe budynki i coraz to nowsze znajomości. Trudno zauważyć coś, czego się nie zna. Trudno dostrzec słowo, które trzeba sobie wymyślić. W latach 80. wielka budowa z wielkiej płyty. Wszystko jest tak do siebie podobne w tych upadłych miastach... Rodzice dostali mieszkanie. Niektóre domy pozostały, przytłoczone blokowiskiem.

Kilka z nich przecież minęliśmy. W jednym z nich mieszkała Ewa. Aż dziwne, że jej tu wcześniej nigdy nie spotkałem. Tyle razy odwiedzaliśmy wujka Stefana. Bawiłem się przecież z innymi dziećmi. Może się sprowadziła później.

A może w ogóle tu nie mieszkała?

To też jest możliwe.

Nie wygłupiaj się, tylko idź.

Skręcam w lewo. Kolejna wiata. Tuż obok kontenerów na długim przecie domek dla ptaków. Rzucam mieszkankę pod wiatą, żeby nie mieli wątpliwości, kto ich karmi.

Tylko ty ich karmisz.

One to wiedzą.

Oni też to wiedzą.

Oni wiedzą wszystko.

Nagle przesywający pisk w uszach. Zagłuszanie sygnału. Wciąż ten sam męski głos, który już wcześniej będzie tłumaczył swoją historię. Znowu śmiech. Dźwięki pojawiają się w sekwencji. Muszę tylko wyluskać te przykryte innymi. Muszę usłyszeć jeden głos. Brzmią jak świetna zabawa, jak spotkanie towarzyskie. Kościelny dzwon? Która jest godzina? Rozglądam się dookoła. Dalej wieczór i mróz. Urywki zdań, płochliwe wynurzanie się z niebytu. Kręgi rozchodzące się po jeziorze. Gdzie jesteście, moje ptaszki? Gdzie jesteś, mój ptaszku?

Wchodzę w wawóz wielkiej płyty. Po lewej stronie zielony szyld „Żabki”. Kapitalizm. Na szczęście nikogo nie ma pod sklepem. Nikogo nie ma, ale jest kamera.

Już i tak w tramwaju...

Wszystko muszą widzieć te skurwysyny...

Kolory bloków wieczorem są jeszcze bardziej wyblakłe niż w dzień. Na jednym z balkonów po prawej stronie ktoś pali papierosa. Widzę żarzący się punkcik, ale człowieka nie widzę. Papieros wisi w powietrzu.

Nie patrz się.

Nie patrzę się.

Trzepak i więzienny plac zabaw. Wysoka tuja po lewej stronie, a pomiędzy następnymi trzema klatkami na załamaniu bloku dwa świerki. Ulica się kończy, wchodzę na trotuar. Mroczny zaułek. Przechodzę między blokami. Słyszę z oddali przejeżdżający samochód, ale pewnie jedzie po Jesiennej.

Podchodzę do budki transformatorowej i rzucam garstkę mieszkanki. Nie zostało mi jej zbyt wiele.

Byłeś zbyt rozrzutny.

Muszę skrócić trasę. Przecież nie pójde dalej z pustymi rękami. Muszę tu wrócić jutro. Beze mnie moje ptaszki umrą z głodu. Jutro wezmę jeszcze więcej.

Wczoraj mówiłeś to samo.

Jutro wezmę inną kurtkę.

Wczoraj było to samo.

Jutro wezmę reklamówkę.

Będziesz się rzucał w oczy.

Trudno.

Skoro chcesz...

Chcę.

Idę dalej. Może z dwadzieścia metrów. Po przejściu ulicy przy ogrodzeniu jakiegoś salonu samochodowego następna wiata, a przed nią kilka kontenerów na kółkach. Skoro są na zewnątrz, to po co ta wiata? Rzucam przedostatnią garstkę z kieszeni, tuż przy wiacie. Ostatnia garść

będzie malutka. Jeśli dorwą się do niej te pasożyty, te szkodniki, to moim ptaszkom nic nie zostanie. Moje biedne, zawiodłem was dzisiaj.

Wczoraj mówiłeś dokładnie to samo.

Usłyszałem gruchanie. Czy to możliwe, że zamiast głosu...? Kto nie śpi? Kto z was?

Przechodzę obok kontenera PCK, który znajduje się tuż przy wiacie. Skrzyżowanie chodników jak pęknięcie trawnika. Mijam akacje i brzozy. Po drugiej stronie ulicy wzdłuż trotuaru małe betonowe doniczki na kwiaty. Wchodzę w nieoświetloną uliczkę: po prawej stronie blok, po lewej ogrodzenie żłobka.auta ustawione w szeregu przy ogrodzeniu. Ani jednego wolnego miejsca. Wszędzie tak?

A może zostawiłbyś te twoje głosy Bogu, skoro już o tym mowa?

Zostawiłem.

To dlaczego je karmisz, życia jej nie wrócisz, a ptaki to nie ludzie. Wrzosowiak to nie przedśonek knajpy, w której odbędzie się sąd ostateczny.

Bóg sam wie najlepiej, co zrobić. Może nawet mną kieruje. Czuję, że czasami bardziej mnie nie ma, niż jestem. Czasami włączę cudzymi nogami; zginam nie moje ręce. Czasami mówię w języku, którego nie znam.

Będzie z ciebie wspaniały lokator u czubków, mówię ci.

Nie jestem czubkiem.

Tak, wiem. Kochasz ją, ale jej już nie ma.

Jest.

Gdzie?

Mówiłem już: raz ją słyszałem.

Tutaj?

Tak.

I myślisz, że ona jest w...

Tak, na pewno. Słowa to nie tylko symbole. Słowa to prawda. Słowa to imiona i nazwiska. Słowa to życie. Słowa żyją po śmierci.

Poderwał się lekki wiatr. Echo? Dlaczego te głosy zawsze mówią z tyłu głowy?

A co, jeśli ci powiem, że ich tu nigdy nie było? Że jej też nigdy nie...

Włożyłem złe buty. Prawie nie czuję już stóp. Jest coraz zimniej. Chociaż teraz to nie zimy. Kiedyś były zimy.

Mogłeś mnie posłuchać. Zawsze wychodzisz nieprzygotowany. Na pewno nie zamknąłeś drzwi od mieszkania. Oni już tam byli. Teraz już pewnie wychodzą.

Zamknąłem drzwi.

Jesteś pewny?

Nie.

Jestem już prawie przy końcu bloku.

A tego pana, który za tobą idzie, znasz?

Kogo?

Odwracam się. Nie widzę. Może i mający jakiś cień na początku bloku przy tych doniczkach, ale jest zbyt ciemno. To zbyt daleko. Nikogo tam nie ma.

A jeśli jest?

Nie ma.

Kończy się ogrodzenie żłobka. Za nim skwerek. Trzepak i ławka. Górka. Stół do tenisa stołowego i ławka obok. Samochody zaparkowane do samego końca. Nikogo nie ma. Oglądam się za siebie – nikogo nie ma.

Podchodzę do ostatniej wiaty dzisiaj. Wersalka jest oparta o jedną ze ścian. Kto wyrzuca w zimę meble? Żółte światło lampy miejskiej. Rzucam ostatnią garstkę, garsteczkę mieszanki, tuż przy drzwiach wiaty. Dzisiaj was zawiodłem. Ale gdyby nie ja, to pozdychałybyście i tak. Żyjecie tak, jakbyście już umarli. Umarłyście tak, jakbyście jeszcze żyły. Dwa kontenery CPK, pewnie puste. Czy jeszcze ktokolwiek z nich korzysta w taki sposób, w jaki się powinno? Stoją wszędzie. Żadnych głosów. Nikogo nie ma. Słyszę tylko jakieś ciche kroki w oddali. Nie wiem, skąd je słyszę. Teraz tylko przejść w tej żółtej ciemności wzdłuż szkoły. Łyse drzewa. Wszędzie zaparkowane te cholerne samochody. Nie da się pomyśleć, nie da się nawet kawałka duszy wsadzić... Oświetlona wieża kościoła. Czarne boisko do gry w piłkę. Podwójne, wysokie ogrodzenie szkoły. Szkoda, że wypuszczają gnoi z tych szkół.

Teraz to już naprawdę ktoś za tobą idzie.

Usłyszałem dźwięk kroków stawianych w pośpiechu, jakby ktoś co prawda jeszcze szedł, ale też już jakby podbiegał. Zdążyłem odwrócić się, gdy podskoczył do mnie jakiś człowiek ubrany na czarno – w kominiarce? w kapturze? – i złapał mnie brutalnym chwytem za szyję. Był młodszy i silniejszy niż ja, a gdy już mnie dusił, spojrzał mi głęboko w oczy i powiedział:

– Słuchaj, kurwa, dziadziuś, ty, kurwa, ormowcu pierdolony, jeśli jeszcze raz cię tu zobaczę, jak dokarmiasz szczury po nocy, to najpierw cię połamię, a dopiero potem zadzwonię na psy. Będziesz płacił za deratyzację całej dzielnicy, pojebie jeden. Idę za tobą już od dawna i wszystko widziałem.

Pisnąłem coś w odpowiedzi, ale jego chwyt był tak mocny, że powoli traciłem przytomność. Kiedy poczuł, że zaczynam wiotczeć, puścił mnie. Zacząłem się krztusić, łapać powietrze jak ryba na brzegu. Facet złapał mnie jeszcze raz otwartą dłonią za brodę i skierował moją głowę w kierunku swojej. Tym razem spojrzeliśmy na siebie dokładnie. Jego twarzy w ogóle nie umiałem dostrzec. Może jej nie miał? Była schowana w cieniu kaptura, jakby ją ktoś wygumkował. Natomiast wyraźnie widziałem jego oczy – głębokie czarne oczodoły, a w nich pustka.

– Jeszcze raz niech cię tu, kurwa, dziadziuś, zobaczę – wycharczał z nienawiścią.

Po czym odwrócił się i szybkim krokiem odszedł w stronę ulicy Sportowej.

Patrzyłem w jego kierunku, aż zniknął mi z oczu. Instynktownie masowałem szyję.

Byłeś zbyt nieuważny. Oni wiedzą o tobie wszystko.

Ale ten pan się pomylił. Ja nigdy nie byłem w ORMO.

Oni się nigdy nie mylą.

KWIECIEŃ–GRUDZIEŃ 2024, HALEMBA.



Paulina Wysocka-Morawiec

KOZŁOWY SYLWESTER

KAZIMIERZ KOZIOŁ WSZEDŁ DO DOMU POGWIZDUJĄC. Zimno zaczerwieniło mu nos i policzki, dłonie miał zgrzbiałe. Nie zwracał uwagi na żadną z tych rzeczy. Nadchodzący wieczór rekompensował mu każdą niedogodność.

– No, jesteś wreszcie! Już myślałam, że cię śnieg zasypał – zawołała z kuchni jego szanowna małżonka.

– Gdzie zasypał – prychnął. Delikatnie odłożył torbę z zakupami na podłogę i zdjął czapkę. – Ledwie z pięć centymetrów napadało. Przecież to jeszcze odśnieżyć się nawet nie da.

– To się ciesz, że z łopatą nie musisz po podwórzu latać.

– Za to ty z miotłą to byś mogła – zamruczał pod nosem.

– Co ty tam mamroczesz?!

– Że przecież nie narzekam – dodał głośniejszym głosem. – Co ja, dziecko jestem, żebym się na śnieg cieszył? Chociaż jak by spojrzeć, to nawet ładnie tak białe. Nastrojowo.

Ściągnął buty i odwiesił kurtkę.

– A tam, nastrojowo. Nastrojowo to mogło na święta być, a nie teraz, jak się rok zmienia. Zawsze to samo. Boże Narodzenie jak Wielkanoc, a śnieg jak już dopisuje, to później.

– Bo ocieplenie jest. – Wszedł do kuchni z drogocenną torbą pełną zakupów. – A ty pamiętasz, jakie kiedyś zimy były? Żeby z chałupy wyjść, to człowiek musiał tunel sobie wykopać i w tych, no... w rakietach się chodziło, bo inaczej po pas się wpadało.

Krysia pokręciła głową pełną kolorowych papilotów. Wytarła ręce w fartuch i cichutko westchnęła.

– Wzięło cię na wspominki, Kazik. Sam przyznaj, że teraz lepiej. Ile byś się namachać musiał, żeby ten swój tunel do sklepu wykopać?

– Ano trochę. Rację masz, Krysia, ale wspomnienia są, nie?

– Są, są. Kupiłeś tą śmietanę?

Kazik znieruchomiał. Krysi wystarczyło ledwie zerknięcie na minę męża.

– Mówiłam: listę ci napiszę. To nie. „Zapamiętam, Kryśka, przecież jeszcze demencji nie mam” – przedrzeźniała go.

– A bo mnie Siwkowa zagadała – bąknął niezadowolony. – Ale szampana mam! – Wyciągnął z torby butelkę i dumnie nią zamachał. – I petardy!

Krysia skrzyżowała ramiona.

– Zapomniałeś, że my Hektora dostajemy na przetrzymanie?

– A co on ma do tego? To pies jest. Przecież mu bąbelków dawać nie będę.

– Nie to – machnęła ręką niecierpliwie. – Bać się huku będzie. Jeszcze gdzie przy okazji zawału dostanie i będziesz się synowi tłumaczyć.

Kazik spojrzał niepewnie w stronę racy, którą trzymał w drugiej dłoni.

– Myślisz?

– Tak myślę – powiedziała stanowczo. – To co? Drugi raz pewnie ci się nie chce iść?

Kazik zrobił błagalną minę, a Krysia w rozdrażnieniu dmuchnęła na opadający na oczy kosmyk włosów.

– Jak sama nie zrobię, to nigdy dobrze nie będzie. Siadaj, zupy ci naleję. I iść nie musisz, śledzie olejem zaleję. Też dobre będą.

- O! To żeś dobrze wymyśliła.
- Krysia odwróciła się i przewróciła oczami.
- Kazik, z tobą to trzy światy mam.
- Oj, Krysia, od przybytku głowa nie boli.
- Kozłowa prychnęła pod nosem. Na jej ustach zagościł delikatny uśmiech.

– Pawełek! Jak to dobrze, że wcześniej jesteście, ogórkowej wam naleję, żebyście na głodnego nie szli.

– Mamo, daj spokój, przecież tam będzie jedzenie – zaśmiał się mężczyzna, gdy udało mu się wydostać z mocnego uścisku matki.

– A tam, jedzenie – fuknęła Krysia. – Jak tylko pierwsza wódka przejdzie, jakieś barachło wam dadzą i nawet się nie zorientujecie. Rozbieraj się, rozbieraj i wchodź dalej, bo ciasno. O, Gosieńko, pięknie wyglądasz!

– Jak jakaś gwiazda z telewizji! – zawtórował jej Kazik, który próbował przepchnąć się do młodych, choć z marnym skutkiem. Jego małżonka skutecznie tarasowała przejście. – A gdzie Hektor?

Owczarek niemiecki zaskomlał w progu na dźwięk swojego imienia i przemknął między nogami swoich państwa. Paweł próbował złapać go za grubą obrozę, ale szczeniak umknął z gracją kota i wpadł prosto na Kazika. Kozioł zachwiał się pod ciężarem całkiem już sporego cielska. Grube łapy sięgały mu do klatki piersiowej. W zasadzie wystarczyły, by zachwiać całą jego osobą i pchnąć na najbliższą ścianę. Szorstki jęzor wysunął się z uzębionej paszczy i zaczął chleptać po szyi i brodzie.

– O, ty bestio! Zostaw. Waruj. Odsuń się! – bronił się Kazik.

Próbował zepchnąć z siebie nadpobudliwego szczeniaka, ale niewiele mu z tego przyszło. Dopiero Paweł dał radę odsunąć go od ojca i jakoś usadzić na czterech łapach.

– Spokój, Hektor. Popatrz, tato, że też tak cię polubił!

– Jakbym się prosił... – sapnął Kazik.

Otarł twarz chusteczką i otrzepał koszulę. Na jasnym materiale zostały delikatne odciski łap.

– Byście go mogli jakoś wychować. Jak dzieci też tak będziecie rozpuszczać, to aż strach pomyśleć, co to z nich wyrośnie.

– Cicho, Kazik, ty to czasami jak coś powiesz... – Krysia pokręciła głową. – Twoja wina. Nauczyłeś go, że z tobą wszystko może i masz za swoje. Teraz na głowę ci wchodzi.

– Już dobrze, nie kłóćcie się – wtrąciła się Gosia. – To może zjemy tej ogórkowej, a potem na szybko mamie z włosami pomogę? Ułożymy jakiś fajny koczek, co?

– I to pomysł jest! Stasia pewnie wyfiokowana przyjedzie, a ja przez to szykowanie jak zawsze przy niej będę szarą mysz przypominać – skarżyła się Krysia. – No to, dzieciaki, siadajcie, ja nalewam.

Z każdą minutą śniegu przybywało coraz więcej. Grube płaty spadały z nieba, by osiąść na dowolnej powierzchni, która się napatoczyła. Kazik odsłaniał miejsca parkingowe dla szwagra i szwagierki. Hektor biegał po podwórku, jakby ktoś go nakręcił. Stawał się przy tym coraz bielszy i bielszy, bo do długiej sierści przyklejały się kolejne warstwy wilgotnego śniegu.

– O, kolego, jak cię Krysia zobaczy, to dopiero będziesz miał zabawę. Ty się lepiej od razu pod stół w kuchni skryj i tam obeschnij, bo z ciebie samo futro zostanie.

Pies zupełnie nie zwracał uwagi na gderającego człowieka, który wymachiwał łopatą. Robił to jakby od niechcenia, przeciągając czynność w nieskończoność. O tak, z pewnością robił to z premedytacją. Miał bowiem do wyboru odsnieżanie albo wysłuchiwanie żony, której nie dość, że nie pomagał, to jeszcze płatał się bez sensu pod nogami. Jak tak, to wołał się nie płatać i zdezerterować z domu przynajmniej do momentu, aż nie nadciągnie odsiecz w postaci ulubionej części Krysinej rodziny.

Krystyna Koziół wywodziła się z domu Pietruszyńskich. Jej świętej pamięci tatuś był fizykiem, ale jednocześnie bardzo równym gościem, z którym dało się dogadać, a nawet wypić czasami. Chyłkiem, bo chyłkiem, ale jednak. Można było z nim konie kraść, chyba że w pobliżu znalazła się Apolonia, żona Pietruszyńskiego, matka Krysi i kara Kazika za grzechy już popełnione i te jeszcze nie do końca. Teściowa była bowiem okrutna, przerażająca i bezwzględna. Egocentryczka w każdym calu. Szanowała tylko tych, którzy dzielili jej miłość do nauk ścisłych. Była raczej niska, a i tak mroziła samym spojrzeniem każdego, kogo miała ochotę zgnać, a trzeba zauważyć, że gnębienie było jej ulubionym zajęciem, a już zwłaszcza gdy w okolicy był Kazik, zakała rodziny, nierób, pijak i bęcwiał ostatni, co to zmarnował życie Krysi, jej najmłodszej córce.

Krysia posiadała dwoje rodzeństwa. Starszy brat, Zenek, był wykładowcą na wyższej uczelni i ostatnim pantoflarzem. Problem w tym, że pantofel, pod którym siedział, nie należał do jego słodkiej i delikatnej małżonki, a do własnej matki. Para mieszkała w największym koszmarze Kazika, czyli ciasnym mieszkanku, drzwi w drzwi z Apolonią, która, o zgrozo, miała klucze do ich mieszkania i więcej czasu spędzała u synusia, niż u siebie. Kazik głęboko współczuł Zenkowi, a mimo to jakoś specjalnie się nie dogadywali. Obaj mieli odmienne priorytety i przekonania.

Najnormalniejsza z całej rodziny (oczywiście zaraz po Krysi) była Stasia. Średnia z rodzeństwa, zdobyła dyplom szkoły wyższej, nawet została nauczycielką jak jej matka, choć ta wiecznie niezadowolona kobieta nie potrafiła wybaczyć córce miłości do humanizmu. Stanisława uczyła dzieci polskiego i robiła to od lat z pełnym zaangażowaniem i miłością dla tych małych ludzi, których próbowała choć leciutko ukształtować. Robiła to delikatnie, z wyczuciem. Nie jak jej matka, która gniotła wolną wolę niczym imadło. Stasia nie gromiła spojrzeniem, nie siała postrachu. Ona przemawiała łagodnością i dobrocią. Ot, wzbudzała sympatię, a to działało dużo skuteczniej niż ubeckie metody Apolonii.

Kazik lubił Stasię, choć uważał, że pośród jej wielu zalet największą stanowił jej mąż. Franek był stuprocentowym Ślązakiem i choć Koziół nie zawsze rozumiał, co on mówił, dogadywali się świetnie. Tak, zdecydowanie na szwagra narzekać nie mógł. Dlatego odrzucił łopatę na bok, gdy tylko usłyszał klakson samochodu. Pognał pod bramę i otworzył ją, jednocześnie musztrując rozszczękanego Hektora, żeby ani myślał wybiegać z podwórka, bo mu już nigdy nie da salcesonu pod stołem.

Nie najmłodszy już fiat wjechał na podwórze. Kazik czym prędzej zamknął wrota i pobiegł witać gości.

– Stasia! Franek! Dobrze, że już jesteście. Jak droga? – mówił pomiędzy jednym a drugim uściskiem.

– Wypodek jaki był na autobanie, ale żeśmy minyli, bo mie ta nowo nawigacja uprzedziła, co mi ją Natalka w telfonie zatentegowała. Zmyślno dziółcha, no, udoła nom się.

– Pewnie że tak!

– Potrzymaj, Kazik – Stasia wepchnęła w ręce Kozła wielkie naczynie żaroodporne i pojemnik z ciastem.

– Po co to? Przecież Krysia tyle jedzenia naszykowała, że nawet jak połowę do domu zabierzecie, to z tydzień to męczyć będziemy. I śledzie, i sałatkę, i mięso jakieś, i bogracz...

– Zjecie, zjecie. Wy to zawsze najbardziej narzekacie, a popijecie trochę i aż wam się uszy trzęsą. A tam zapiekanekę zrobiłam z mięsem mielonym, tą, co ci ostatnio tak smakowała, i sernik upiekłam.

– A jo żym ino wino wzion dla kobit, bo lepszego trunku niż u ciebie, Kazik, to jo nigdzie bych nie znalazł. Ni gniewosz się, ja?

– Gdzie bym się gniewać miał, Franek. Ty już głupot nie gadaj, tylko te torby bierz i do domu chodźcie, bo nas zaraz tu zasypie i Nowy Rok witać będziemy jak bałwany jakieś.

– Ale żeś maszketów naszykowała, Kryśka – powiedział Franek. Sięgnął po butelkę Kozłowego bimbru i polał do kieliszków. – A ty, Kazik, som siebie przechodzisz. Roczek w roczek gorzółka lepiej łonaczysz.

– Ło..., co?

– Łonaczysz, przeca godom.

– W tym przypadku chodzi o „robisz” – przetłumaczyła Stasia.

– Aha. To by się kupy trzymało – bąknął Kazik pod nosem, po czym dodał już głośniej: – Franiu, ty zobaczysz na przyszły, umyśliłem sobie nową mieszanekę zrobić. Już czuję, że to będzie samo dobre.

– Jo ci wierza. I na degustację to pierwszy w kolejka stowom.

Kryśka pogrzebała widelcem w sałatce, którą miała na talerzu.

– Kazik, normalni ludzie to jakieś porządne postanowienia noworoczne mają, a ty co? Nową odmianę bimbru będziesz pędził? Też mi coś! – parsknęła z pogardą.

– Lepsze takie niż żadne. A ty jakie masz, co? – bronił się Kozioł.

– A bo to gdzieś napisane jest, że mieć muszę? Nie ma przykazu!

– Ale rozwijać to byś się od czasu do czasu mogła...

– No wiesz!

– Pokój, pokój. Dyc sylwester jest, nie trza się wadzić, ino se przajać.

– Prza..., co? Ja to za mało wypilem jeszcze, żeby cię rozumieć – poskarżył się Kazik i wskazał na kieliszki.

– Kochać. Przać to znaczy kochać. Jo ci przajam, czyli ja cię kocham – wytłumaczyła Stasia, kolejny raz usługana w kwestii przekładania gwary na polski.

– Ty byś mogła, siostra, słownik temu mojemu napisać. Może chociaż po taką książkę by sięgnął – odezwała się Kryśka.

– O, ho, ho! Jakaś się zgryźliwa zrobiła – huknął Kazik – ale z tym słownikiem to może i racja. Staśka, ty jakieś postanowienie noworoczne masz?

Szwagierka pokręciła głową, a Kozioł klasnął w dłonie. Zrobił to tak głośno, że obudził drzemiącego Hektora, który poderwał łeb z podłogi i szczechnął z pretensją.

– Co robisz, Kozioł?! – krzyknęła Kryśka wcale nie ciszej.

– Co? Przecież to nie dziecko jest. Stasia, to ja ci powiem, że ty już masz postanowienie na ten nowy rok. Słownik mi napiszesz. Choćby podstawowy taki.

– Jak se poczytosz, to łód razu inno godka nos czeko.

– Phi, ja cię, Kazik, w życiu z książką nie widziałam. To jakiś cud będzie, jak do rąk chwycisz. Kozioł posłał żonie bure spojrzenie.

– Bo to porządna książka będzie, a nie jakieś mdłe romansidło, co to tylko sieczkę z mózgu robi – wyburczał.

– Oż ty... – zaczęła Kryśka, ale zaraz Stasia weszła jej w słowo.

– Każda książka jest dobra, nawet taka dla przyjemności.

- Właśnie! Lepiej czytać romanse niż nic.
- Ho, ho, ho, się specjalistka znalazła.
- Stasia to specjalistka, a ona tak samo myśli. Polonistka w końcu.
- O! – huknął Franciszek, żeby odwrócić uwagę od kłótni gospodarzy. – Jo to, na tyn przykład, na harmonii groć się naucza.
- Akordeon? – szepnęła Stasia, niemało zdziwiona.
- Ja, bo jo, gołombyczku, od bajtla zech marzył, żeby grać. Ino nie złożyło się jakoś. Za rok wom przywioza i zagrom. Ja!
- To, Kryśka, jeszcze ty nam zostałas – zauważył Kazik.
- Wszystkie spojrzenia skupiły się na Kozłowej. Ta poczerwieniała lekko.
- A na co mi jakieś postanowienia? – prychnęła. – Ludzie sobie wymyślają nie wiadomo po co, a potem i tak po kilku dniach rezygnują.
- Kryśka! Tyć inni to na chama, ile wlezie, wszystko by chcieli na opak od razu, wszystko zmienić, a nom ino o jedno idzie. To do zrobinia jest. Jo ci to godom. A jakby ci się odechciewać zaczęło, to zawsze nos mosz. Wzajemnie się bydziemy no... motywować.
- Kozłowa nabrała powietrza i wypuściła je powoli. Ostatecznie rozłożyła ramiona w bezradnym geście.
- Ale ja nie wiem...
- Pomyśl, Krysiu, czego byś chciała na przyszły rok? – zapytał Kazik.
- Ja wiem... – zastanowiła się. – Wnuka pobawić albo Mireczkę przy oltarzu zobaczyć chociaż... – westchnęła tęsknie.
- To żeś wymyśliła! – Kazik aż stęknął. – Do wnuków to najrychlej Pawełek z Małgosią, ale jak ich popędzisz? Pod łóżkiem kibicować im będziesz? Czy tej, no, antykoncepcji zabronisz?
- Franek parsknął pod nosem, ale szybko uciszył go łokieć małżonki, boleśnie wbity w bok.
- Tutaj rzeczywiście pole ograniczone masz, ale może chociaż z Mirką coś by się udało zdziałać? – podsunęła usłużnie Stasia. – Ma ona kogoś w ogóle?
- Kazik wzruszył ramionami, za to Krysia wyprostowała się na krześle, a jej oczy zabłyszczały niebezpieczne. Koziół, nauczony przez długie lata małżeństwa czuł, że coś wymyśliła. Nie zwyczajnie – ona już powzięła postanowienie, a jeśli tak, to zrobi wszystko, by dopiąć swego i nie trzeba będzie przypominania ani otuchy od nikogo. Nagle pożałował ukochanej córki, a żal ten osiadł mu na ramionach i aż przygarbił sylwetkę.
- Stasiu – szepnęła Krysia niby w amoku. – Stasiu zza rzeki! – dodała już głośnie.
- Co za czort? – zapytał Franek.
- Krysia cmoknęła z dezaprobatą.
- Żaden czort, tylko świadek z Pawełkowego ślubu.
- Aha. To ni, to całkiem gryfny chopok! Ino czy on do Mireczki woszyj cosik tyn tego?
- Krysia prychnęła i zamachała ręką.
- I to jak! Odkąd pamiętam, to oczami za nią wodzi.
- A ona? – dociekała zaintrygowana Stasia.
- Ona też... – uznała Kozłowa.
- Tylko jeszcze o tym nie wie – dopowiedział Kazik z westchnieniem.
- Ale się dowie! Oj, dowie! I już moja w tym głowa.
- Kazik spojrzał błagalnie na szwagierkę. Miał nadzieję, że jako wykształcona dojrzała kobieta przetłumaczy jego małżonce, że jakiegokolwiek wtrącanie się w życie prywatne ich starszej córki może mieć opłakane skutki. Ta jednak tylko zatarła ręce i uśmiechnęła się szeroko.
- Jaka szkoda, że mnie tu nie będzie. Ty mnie, Krysia, informuj na bieżąco o postępach! Ja coś czuję, że to będzie lepsze niż „Moda na sukces”!
- Była sie tyle nie ciągnęło, bo nas pochowię, zanim końca doczekomy.

– Nie gadaj głupot – ofukała go żona.
– To ustalone. Polej, Franiu, polej. Trzeba za powodzenie misji wypić – zarządziła Krysia.
Jej mąż o mało nie spadł z krzesła, pod takim był wrażeniem, że jego ślubna pierwsza do wódki namawia. Oj, było gorzej, niż myślał...

Krysia siedziała przy stole obok Stasi i obie z drobną rezerwą przyglądały się, jak ich mężowie tańczą na środku salonu. A to kręcili się pod rękę, a to wywijali biodrami, kręcąc się w kółko. Wszystko to do skocznych przebojów granych i śpiewanych na żywo gdzieś w Zakopanem.

Na początku bawiły się razem z nimi, ale z każdym kolejnym utworem mężczyźni wydawali się potrzebować ich jakby mniej, aż stali się całkowicie samowystarczalni.

– Ja ci powiem, Stasia, że drugich takich dwóch to byśmy nie znalazły nigdzie.

Siostra przytaknęła i napełniła im kieliszki.

– Co ty robisz? Nie lej! Przecież ich pilnować trzeba. Jeszcze trochę się rozkręcą przy tym Sławomirze do północy chałupę rozniosą.

– A tam, Krysia, nic nie rozniosą. Napij się ze mną, bo ja trzeźwieję, a na trzeźwo to tego nie zniosę. Uczę dzieciaki w szkole, a to niełatwy kawałek chleba. Ty wiesz, co taki jeden z drugim w wypracowaniu potrafią wymyślić? Ale oni... – wskazała palcem ze złołą miną na podrygujących mężów – oni mnie przerastają.

Krysia westchnęła. Nie mogła zostawić siostry w potrzebie. Chwyciła za kieliszek i przechyliły.

Franek zaczął tańczyć krakowiaka, a że trzeźwy nie był, choć po prawdzie nawet bez procentów we krwi trudno byłoby mu utrzymać równowagę, szybko ją stracił. Poleciał w tył. Próbował co prawda złapać się Kazika, ale ten stał zbyt daleko. Całym swoim wielkim ciężarem górnika runął więc na choinkę, która, choćby nie wiadomo jak się zapierała, ugięła się pod nim, a później legła na ziemi zaraz obok oszołomionego mężczyzny.

– Matko Boska! – pisała Stasia, a Hektor poderwał się z legowiska i wybudzony hałasem zaczął ujadać.

Obie z Krysią podbiegły do poszkodowanego, by sprawdzić obrażenia, ewentualnie ocenić straty w bombkach.

– Franek, ty żyjesz?

Pochyliły się nad mężczyzną, który zajęczał, starając się podnieść. Złapały go za ramiona i spróbowały mu pomóc. Szło im opornie. Tymczasem Kazik stał z boku i chichotał, ile wlezie.

– A ty z czego rżysz, Kozioł? – zapytała uprzejmie jego żona, cała już czerwona od wrażeń i wysiłku.

– Bo się cieszę, że to nie ja ci drzewko rozwaliłem. Mnie byś chyba ubiła, a jego to co najwyżej po ramieniu poklepiesz i plasterek dasz.

– Się nie wygłupiaj, stary capie, tylko pomóż!

Franek okazał się mniej potłuczony od choinki.

– Dobrze, żeś pijany, to szkody mniejsze – ocenił Kazik, kiedy już podniósł świąteczne drzewko, a kobiety sprawdziły obrażenia szwagra.

– Dyc choinka... – zajęczał Franek.

– Drzewkiem się nie przejmuj. Ledwie lekko się skrzywiła. Sztuczne takie, to się naprostuje. O, nawet bombka żadna nie poszła, bo teraz cwaniaki plastikowe robią. I dobrze, bo szkło to by cię jeszcze poharatało. Napij się lepiej, zaraz ci lepiej będzie.

– Ta, jakbyście mało już wypili...

– Nie marudź, Krysia. Poobijał się, to mu znieczulenie większe potrzebne. Przecież po alkoholu tabletek brać nie będzie.

– Coś rozsądnie mówisz dzisiaj – orzekła Stasia.

– Ja często rozsądnie mówię, tylko wtedy nikt mnie nie słucha.

Krysia prychnęła pod nosem.

– O, o! Odliczaj! Daj, Krysia, szampana!

Kazik Kozioł przejął butelkę z rąk żony i rozpoczął odliczanie do wtóru z prowadzącym program w telewizji. Hektor wsparł go swoim szczekaniem.

– Trzy, dwa, jeden!

Korek wystrzelił, stłuczona żarówka nad ich głowami zgasła, a przestraszony owczarek zaczął wyć do wtóru huczących za oknem sztucznych ogni.

O piątej rano w przedpokoju rozległy się wesołe chichoty.

– Ciii... Paweł, bo ich obudzimy.

– Daj spokój, pewnie śpią jak susły.

Mężczyzna pochylił się nad żoną, by skraść jej całusa. Pozwoliła mu na to, a później oparła się o jego ramię, żeby zdjąć buty.

– Myślisz, że bawili się tak dobrze jak my?

– Gdzie tam! – Paweł z trudem powstrzymał śmiech. – W tym wieku?

– Nie mów! Ja w tym wieku to bym chciała mieć tyle werwy, co oni.

– Na razie nie masz na co narzekać – wymruczał, objął ją ramionami i przyciągnął do siebie. Już prawie uległa, gdy nagle natchnęła ją pewna myśl.

– Ale czekaj! Hektor nas nie wita? Powinien nas usłyszeć – zaniepokoiła się.

Zajrzała najpierw do kuchni, później do salonu. Paweł grzecznie dreptał za nią. Wpadł na plecy Gosi, gdy ta gwałtownie się zatrzymała.

– Co? – szepnęła i zlustrowała pomieszczenie.

Pokój oświetlała tylko mocno sfatygowana choinka. Na kanapie nieopodal uprzątniętego stołu spał Kazik z Frankiem. Byli przytuleni do siebie pod kraciastym kocem, lekko się ślinili i głośno chrapali. Pod ich nogami leżał Hektor. Wyciągnięty jak długi i... również pochrapywał.

– Hektor – zaszeptał Paweł, ale pies ani drgnął.

Podszedł do niego, nachylił się i mocno skrzywił. Przez smrodek spoconych skarpet i psiej sierści przebijał się odór alkoholu. Mężczyzna potrząsnął ciałem owczarka, a ten tylko warknął przez sen.

Paweł ze zboląłą miną odwrócił się do żony.

– Wyobrażasz sobie? Psa nam upili!

Gosia ze świstem wciągnęła powietrze.

– Żeby mu tylko nie zaszkodziło.

– Nie bardziej niż im.

Kobieta zamrugła niepewnie, a później zachichotała. Pociągnęła Pawła za rękę w górę i pieszczotliwie pogłaskała go po policzku.

– Chodź spać. Teraz mu i tak nie pomożemy. Z tego, co pamiętam, najpierw musi odespać, a później dostać dużą miskę wody.

Mężczyzna przytulił ją mocno do siebie.

– Cieszę się, że jesteś taka wyrozumiała.

– A ja, że dzięki tobie i twojej rodzinie nic a nic się nie nudzę.

– To na pewno. Wiesz co?

– Co?

– Jak już będziemy mieć dzieci, to ja ich nigdy z nimi nie zostawię. Nie ma mowy.

Gosia zduśiła wesoły chichot w klapie jego marynarki.

SZEWSKA. W SAMO POŁUDNIE

(50.062231, 19.935746)

Karol Jerzy Kowalik

Zbliżeniowo

ULICA SZEWSKA W KRAKOWIE, obowiązuje ruch pieszy dwukierunkowy. Zamaszystymi krokami manewruję przez leniwy latynoski tłum turystów. Wyprzedzam, przeskakuję, szukam luki. Brakuje osobnego pasa z minimalną prędkością poruszania się.

Włączam lewy kierunkowskaz i już mam przyspieszyć na krótkiej prostej, gdy niespodziewanie od flanki haltuje mnie obszczymur. Zwalista ściana jakby znikąd.

Spinam mięśnie i daję ostro po hamulcach.

Robię syczący wydech ulgi. Wystarczyłoby pół długości buta, a huknąłbym nosem w jego eteryczność.

Podnoszę wzrok. Obserwuje mnie serdecznymi oczami. Spomiędzy wulkanicznych porów o szarości chropowatego tynku.

– Poratuj pan... – wyciąga pustą dłoń i uśmiecha się, jakby to on mnie ratował.

Tamuję środek drogi. Ktoś z tyłu trąca mój łokieć i pędzi dalej. Uliczny nurt zaczyna mnie omijać z prawej i z lewej. Kątem oka patrzę za siebie. Szukam miejsca. Jest zbyt ciasno, nie zdążę włączyć się do ruchu.

Muszę pertraktować. Odwzajemniam serdeczność:

– *I don't speak Polish* – udaję, zadowolony z siebie.

– *That is absolutely no problem...* – obszczymur odpowiada lekko, jakby chciał mnie uspokoić. Z naturalnym oksfordzkim akcentem.

Stoję rozbrojony bez ruchu i pomysłu. On łagodnie mruga i daje mi czas.

Nagle spływa na mnie myśl ratunkowa.

– Nie mam gotówki. Wszędzie płacę kartą.

Jego twarz zaczyna promienieć czułym miłosierdziem dla bliźniego w trudnej sytuacji.

Rytualnie rozszerza uszy wygniecionej reklamówki, masywna ręka nurkuje do środka. Głęboko, aż po łokieć.

Wyciąga jakiś przedmiot i prezentuje gestem wyszukanej uprzejmości.

Przenośny terminal płatniczy.

– Jeśli pan hojniejszy, to pin i zielony...

Potem już, powłócząc nogami, zorientowałem się, że nawet nie zapytał, czy chcę paragon.

Drań nie ma siedziby, to nie odprowadza podatków.

Karol Jerzy Kowalik, rocznik 1985, z wykształcenia prawnik, rzeźbi i maluje. Mieszka i pracuje w Krakowie.

Jerzy Kowalik

Cholerny barszczyk. Rewers

A PARTAMENT POD WYNAJEM nader krótkoterminowy był jak zwykle po stosownym spotkaniu. Pogadałem z parą młodą w wieku on pięćdziesiąt, ona trzydzieści. Załatwiłem zapłatę terminalem. Wyszli.

Tak zaczął się kłopot. Obiecałem szwagrowi przywrócić kubaturę do użytecznej estetyki. On tym lokalem rządzi. Ale jak uczynić zadość?

Z zawodu bywam architektem. W sprzątanii brak mi wiekopomnych doświadczeń. Poza jedną próbą zmiany poszwy na dużej kołdrze. Wówczas po kwadransie reanimowali mnie skrzepowanego solidnie i podduszonego. I teraz jakoś nagle odwagi mi zabrakło. Pechowo, bo moja sprzątaczką na wczasach.

Zadzwoniłem do Kazia.

– Masz kogoś?

– Mąż tej mojej zjechał z wyspy brytyjskiej, to ma dzisiaj ćwiczenia, niestety. Ale wdepnę, coś wymyślimy.

Od tego ma się przyjaciół.

Przyniósł napoczętego jasia walkera

– To dobre na kreatywność.

Minęło z ćwierć walkera. Wymyślił.

– Do mojego sąsiada przychodzi taka jedna służbowo. Zapytam.

Sąsiad przywiózł trzy wina i kucharkę.

– Tylko ją właśnie miałem. Gotowała mi barszczyk. Czerwony. Zabrałem, bo na głodnego lepiej nie podejmować inicjatywy.

Kucharka z wyglądu jakby miłą była i gościnną. Miłą w dotyku i gościnną... – każdy domyśli, gdzie. A barszczyk był też konkretny. Cały słoik czerwonej, pożywnej zawartości.

Potem wpadł Duduś. Grzebał za mną po mieście z okazji kolorystyki opraw na wystawę militariów. W końcu dodzwonił, zlokalizował, zajął.

– Znam takie dwie, co posprzątają...

Wyszedł, przyszedł z nimi i litrem samogonu, zaiste zacnego autoramentu. Dziewięćdziesiąt stopni tenże miał poniekąd.

I wtedy coś mnie podkusiło, by ruszyć ten cholerny barszczyk. Cholera wie, po co. Zbędny był, nikt za nim nie tęsknił. A może przyjemność chciałem kucharce zadać? Nie jestem pewien, czy naprawdę akurat w ten sposób...

Zaparłem się za zakrętkę słoja, przyłożyłem całą, w dyspozycji posiadaną wówczas, potencję i... jak nie chlupnie!

Tempo odtwarzania obrazu zwolniło. Dotąd widzę, jak wypryśnięty słoik uzyskał radosną swobodę ruchów i wirował wolno na wysokości mojej twarzy. Równocześnie czerwona Niagara osiadała kolejno na kurtce, koszuli, spodniach i jasnych zamszowych butach. Osiadała na bogato, z ułańską niemal amarantową szarzą.

Po pierwszych owacjach zapadło milczenie.

– Przecież ty masz na sobie kleksa! – zdumiony zagaił Kazio. – I jak? Da się z tym żyć?

– Spierze się, zdejmuj – kazała jedna z tych od Dudusia.

Zwykle słucham się kobiet. Zwłaszcza gdy akurat przeszkadzają im spodnie na facecie. Zabrała moje opakowanie i wyszła do łazienki.

– Za dużo płynu barwiącego przyjął na siebie. Dać mu coś na odwodnienie, to odparuje – podsunął sąsiad Kazia.

Dla towarzystwa, chcąc wykazać solidarność, wszyscy przyjęli po pokaznym haczyku. Przyduśiła mnie ta dziewięćdziesiątka, po czym otrzęsła. Paroksyzm po całej połaci cielesnej.

– Zimno mu, trzeba by suchą odzież – to Kazio konkludował. Bacznie, acz z wyraźną ciekawością obserwując objawy samoistnych drgań mojego organizmu.

– Mam tu jednego pojebańca, co mi ryngrafy za piwo szlifuje, dwie kamienice dalej w oficynie sypia. Coś wyjściowego ci użyczy. Potem się rozliczymy... – Duduś zaświecił inicjatywą.

Niestety, nie zwróciłem uwagi na użyty przez niego cudzysłów „w oficynie”. Ów powinien zagrmieć mi jak wykrzyknik!

– Jeszcze po haczyku? – tę kwestię zapamiętałem jako ostatnią.

Obudziłem się na czyściutkim łóżku w eleganckim apartamencie na krótkoterminowy wynajem. Wiem, bo czaszkę, a tym samym wzrok, miałem skierowane bokiem. Ulga, udało się. Któraś uprzątnęła. Umysł nie miał zamiaru dochodzić, która. Powoli odwróciłem ciało na plecy i wtedy to ujrzałem.

Jakieś śmierzące, popękane, znoszone lata temu buciory. Czemu na moich stopach? Wyżej, to znaczy niżej spuchniętych oczodołów, tkwiły spodnie od dresu. Bezbarwne na tyle, na ile bezbarwne mogą być brudne tkaniny. Bezbarwność brudu to zbyt filozoficzne zagadnienie jak na tę chwilę, by je podnieść do rangi rozważenia. Na to odwagi mi zabrakło.

Obronnie podniosło mi się tylko ramię, by z wrodzonej obrzydliwości oszczędzić oczom moim wrażego obrazu. I objawił się rękaw swetra zrobionego ze wszystkich tworzyw sztucznych tego świata ze wskazaniem wschodniej Azji.

Poranny palimpsest zaczął się filcować. Zza jego postrzępionych brzegów prześwitywało wczorajsze.

– Szwagrze! Matka nogę złamała i mam szlaban na dwa dni pod Krakowem, nim ogarnę jakąś obsługę. A dzisiaj klientów trzeba odebrać i rozliczyć. Tu masz w siateczce terminal, gdyby gotówki im niedosyt. Zapłacą, daj znać, bo całą kwotę muszę od razu przełać na pralnię. Po powrocie z Meksyku nieco im zalegam. Studenctwa do sprzątania nie będzie. Dla nich jakieś kolokwium dzisiaj urządzają. Zatem gdybyś mógł...

Szwagier to nie rodzina, a instytucja. Szwagrowi się nie odmawia. Zatem wykonałem z należytym zaangażowaniem. Klienci rozliczeni. Przestrzeń wyklarowana.

Niestety. Zostałem na ulicy i bez grosza. Jak porzucona panienka w literaturze fin de siècle’u. Zero w koncie szwagra, moja karta suszy się w ciuchach wiszących gdzieś u Kazia. Telefon pewnie też w tamtejszej kieszeni. Tkwię na Szewskiej z czasowym niedowładem w członkach ruchomych. Maksymalna prędkość to jeden krok na trzy oddechy. Najchętniej zostałbym teraz pomnikiem szacownym. Od takiego spacerów raczej nie oczekują...

Na Grzegórzki, na moje Bulwary, piechotą przy tej kondycji ciała to jakieś pół dnia. Tam wanna, szafa bogata w czyste oraz lodówka zasobna we wszelakie suplementy diety

o wysokiej akcyzie. Tu i teraz – buciory za luźne, sweter swędzi, spodnie cisną w jaja. Jak żyć, szwagrze?

Choćby parę złotych celem nabycia biletu uprawniającego do skorzystania z komunikacji miejscowej... Cholera, jak niewielkim kosztem można uszczęśliwić człowieka o wyrafinowanych gustach!

Wytoczyłem ciało na trotuar. Stonka turystów na starówce omijała mnie nie tyle z uwagi na wygląd, tak mniemałem, ale na smród okrutny, powalający nawet palącego z gwarancją na dwa metry. Sprzątaczkę jednak nie domyły do końca... A może to nie mój smród, tylko tego ciecia od ryngrafów? Zaiste, ludzkość obchodzi łukiem pokaznym nie mnie, ale coś, co nie moje? Poczulem się dowartościowany. Na chwilę tylko, na dwa oddechy.

Wówczas krzyknęła kreatywność.

Skoro nie mam jakoś ochoty na maszerowanie, to maszerował nie będę. Zostanę takim chodnikowym nieruchawcem, co sparaliżował się pod sprejem i za figurę znamienitą przedstawia na Rynku starożytnym Krakowa. Taki sprej też fajny, zwłaszcza dla mojej aktualnej odzieży. Że niby hipster jestem z wyglądu. Ale skąd tu wziąć sprej o dziesiątej nad ranem?

Przyjąłem prostsze rozwiązanie. Młody facet jakoś nieporadnie poruszał się w tym rozedrganym tłumie. Gubił wątek topograficzny. Namierzyłem, zebrałem siły wszelakie w sobie i... stop. Blokuję go klata w klatę. Jak na boisku.

– Wspomóż, kolego, paru drobnymi...

Zaczął coś mówić, unikając oddychania. Po angielsku, ale z jakimś niekontynentalnym akcentem. OK. Tym łatwiej będzie. Trzeźwy Angol to łatwy Angol. Sypnąłem studenckim cockneyem z wysoko tam uznawanych sfer. Musiał zgłupieć!

– ... ja tylko kartą płacę – niby wykazał pomysłowość, acz poddał główne pole negocjacyjne. Zatem płacze...

– Bardzo *please* – wyjąłem z poszarganej siateczki terminal szwagra.

– I *green* potwierdzić...

Będzie coś na karcie za chwilę. Wracamy, wasza wysokość...



Jerzy Kowalik, rocznik 1957, poeta, z wykształcenia inżynier elektroenergetyk. Publikował w prasie społeczno-kulturalnej (debiut w 1976 r.) i w tomach zbiorowych. Autor tomu poetyckiego *Bez kagańca* (1980 r.). Laureat konkursów, w tym m.in. Konfrontacji Poetyckich im. H. Poświatowskiej (1980 r.) Zamilkł poetycko na początku lat 80. Mieszka w Częstochowie.

Witold Jakubiak, Tadeusz Wrona

DETAL CZY IKAR, CZYLI DRGANIA SWOBODNIE TŁUMIONE

Osoby:

Jerzy Wski

Rodzice Wskiego i krewni

Nauczyciel

Dziewczyna

Kierownik Zaworowni

Pracownik

Kielonek – kolega z pracy

Osoby stojące w kolejce

Przełożony udzielający upomnienia

Malarz

Kolega sprzed lat

Mężczyzna i Kobieta

Mały Chłopiec

Listonosz

Sprzątaczką

Prolog

*Z lewej strony sceny siedzą członkowie zespołu muzycznego (późniejsi **Rodzice Wskiego i krewni**) wykonujący pieśń inicjującą spektakl. Oświetlony jest tylko zespół. Pozostała część sceny jest ciemna.*

Dni wciąż zdychają jak ryby w słońcu
w rękach miętoszę ich śmierć
inną od wszystkiego co znane mi jest
dni zdychają jak ludzie bezradni
inną od wszystkiego co znane mi jest dni zdychają jak ludzie

Już nogi zdarłem do samego brzucha
I czołgam się tylko już
te dni to wszystko moje dni
połamane sennie mijają
mijają
szybko ucieka nadzieja na c o ś
dni senne mijają

Powtarzana muzyka narasta, z zespołu wyodrębnia się kobieta (flecistka) i mężczyzna (grający na bongosach), którzy grając na swoich instrumentach, poprzez muzykę i taniec (ruch sceniczny) jednocześnie prowadzą między sobą dialog miłosny. Coraz intensywniejsza muzyka zespołu

i solówki muzyczno-ruchowe pary kochanków prowadzą do miłosnego spełnienia. Muzyka się urywa.

*Zapala się punktówka nad środkiem sceny, wydobywając z mroku okrąg narysowany kredą, w którym leży dziecko, poczęte przez parę kochanków, zwinięte jak embriion w łonie matki. Embriion budzi się, wykonuje kolejne ruchy, wskazujące na ciągły rozwój dziecka, w końcu **Wski** staje na nogach i wychodzi z zaznaczonego kredą okręgu.*

Scena pierwsza

*Akcja rozgrywa się w szkole, gdzie trafia nasz bohater – **Wski**.*

Nauczyciel: Wski, do tablicy!

Wski: milczy

Nauczyciel: No słucham, słucham.

Wski: A więc istnienie... To znaczy życie można zdefiniować... Aha. Współczesna wiedza przyjmuje na temat naszego życia pogląd materialistyczny. Zakłada, że świadomość istnienia jest nierozzerwalnie związana z materią. Związki organiczne węgla zgrupowane i ograniczone w sensie fizycznym podlegają w oddziaływaniu z wszechświatem prawom fizycznym i w czasie prawom ewolucji. Motorem działania jednostki jest walka o byt i przetrwanie. U jednostek najbardziej zintegrowanych w swojej strukturze, czyli ludzi, w wyniku rozwoju ich cywilizacji została wytworzona nadbudowa intelektualna. Działalność kulturalna człowieka potrafiła osłabić w nim egoistyczny instynkt samozachowawczy, a nawet niekiedy go zatracić. Religie, sztuka i nauki humanistyczne obdarzyły człowieka uczuciem, możliwością subiektywnego odbierania rzeczywistości. Stworzyły takie pojęcia jak: przyjaźń, miłość, bezinteresowność...

Nauczyciel: No dobrze, dobrze, a co ty o tym sądzisz?

Wski: Ja w zasadzie się zgadzam z takim poglądem, a nawet więcej, myślę, że człowiek na obecnym poziomie rozwoju intelektualnego powinien wykorzenić ze swej świadomości zwierzęce instynkty. Ludzie winni żyć jak jedna wielka rodzina, ogromny, harmonijnie rozwijający się organizm, którego wszystkie pojedyncze jednostki wnosząby swoje cegiełki w tworzenie wspólnego dobra. Hasło człowiek człowiekowi – bratem, musi być...

Nauczyciel: Nie pieprz!!!

Wski: Pomóc w czymś?

Nauczyciel: Zjeżdżaj!

Scena druga

***Wski** spotyka **Dziewczynę** siedzącą na ławce.*

Wski: Przepraszam, czy mógłbym z panią chwilę porozmawiać?

Dziewczyna: milczy.

Wski: Ja chcę tylko porozmawiać!

Dziewczyna: nadal milczy.

Wski: Daje dziewczynie różę.

Dziewczyna: Piękna!

Wski: Piękny kwiat dla pięknej dziewczyny.

Dziewczyna: Ale skąd wiedziałeś, że to mój ulubiony?

Wski: Szósty zmysł, kochanie.

Dziewczyna: Miły jesteś... Takie piękne róże zawsze nastrajają romantycznie.

Wski: Stwarzają wznioślejszy nastrój, chcesz powiedzieć.

Dziewczyna: Tak... i budzi się w człowieku poeta.

Wski: Jak zmyślna musi być przyroda potrafiąca z materią wyciniać takie cuda.

Dziewczyna: A sam dobór odcieni...

Wski: I pomyśleć, że taki drobny jej okruszek kryje w sobie tyle wartości estetycznych...

Dziewczyna: A to łagodne przejście z czerwieni w głęboką purpurę.

Wski: Każda drobinka ma swoją wartość, ma swoje miejsce na świecie... O ile prościej by było być kwiatem z góry pewnym swych wartości, piękna... (w najgorszym wypadku zorientować się po cenach).

Dziewczyna: Piękny i zadziwiający.

Wski: I tak się szuka, szuka, chce się jakoś samookreślić, odnaleźć, być na coś albo komuś potrzebnym. Ta potrzeba wzajemnego przenikania, łączenia. Chcę się z tobą podzielić tym, co mnie nurtuje, niepokoi.

Dziewczyna: Róża to jednak najwspanialszy z kwiatów.

Wski: Lakierowany sufit w sękach błyszczy...

Struktura skóry
jak ziarno fotograficzne
jak kora
krajobraz z mapy plastycznej
łaskocze opuszki palców.

Dziewczyna:

Dziewczyna jest ptakiem
łatwo ją spłoszyć.

Wski:

Na zbliżeniu twarzy
rozsypanych piegów garść
żrebaczy się
usta ogromniejąc
kuszą napięte
i nie chcesz żebym był
choć wiatr wołam
zmieniam się w gumkę-myszkę
i proszę?

Dziewczyna:

Dziewczyna jest ptakiem
łatwo ją spłoszyć.

Wski:

Potem zasypiasz
pewnie z dreszczami
rzucaniem ciała
niespokojna jak zawsze.

I nic już nie wiem
łzy niemęskie bezwstydne
pęcznienie ciała krwią
w oczach sprężyna

zwinięta z żyłki wielkiej długości
 ręce za łóżko
 drewniane
 podgardle na gwóźdź
 na szpic stalowy z ulicznej bramy
 mięśnie napięte lekko
 na granicy ruchu
 leżą zdeorientowane.

Lakierowany sufit
 w sękach
 błyszczący.

Scena trzecia

Wski przychodzi do pracy.

Wski: Dzień dobry.

Kierownik Zaworowni: Co wy właściwie umiecie?

Wski: Skończyłem Najwyższą Akademię Techniczną.

Kierownik Zaworowni: Dobrze, dobrze, pytałem, co umiecie.

Wski: Uczyłem się matematyki wyższej, fizyki, studiowałem zagadnienia praw mechaniki w punkcie i w przestrzeni we współrzędnych kartezjańskich, biegunowych jak i krzywoliniowych, problemy propagacji fal w prętach nieskończonych i półnieskończonych...

Kierownik Zaworowni: Dobrze, dobrze. Będziecie pracować u mnie w Zaworowni. Od siódmej do trzeciej. Dostaniecie ubranie ochronne raz w roku: spodnie, bluzę, buty i rękawice. Przysługuje wam deputat węglowy w wysokości 160 zł miesięcznie. Musicie się ubezpieczyć i w wypadku waszej śmierci żona otrzyma 20 tys. zł. Od pracowników wymagam dyscypliny i musicie się do tego dostosować. Porozmawiamy jeszcze jutro. *Do Pracownika:* Co ty tam robisz z tym zaworem?!

Scena czwarta

W pracy do Wskiego podchodzi Kielonek, kolega z pracy.

Kielonek: Do robótki?

Wski: Yhm.

Kielonek: W jakim dziale?

Wski: Zaworownia.

Kielonek: Rozumiem. U Bąkowskiego. Toś bracie przycelował. Robota lekka, nie powiem. Ale kierownik... Tak to nawet zły nie jest, tylko że podejścia do człowieka u niego nie masz, duszy bliźniego nie czuje.

Wski: Nie wygląda na takiego.

Kielonek: Wyglądać to nie wygląda, ale ja już go tam dobrze rozgryzłem, co za jeden. Kapujesz, idę do niego do kanciapy pogadać, dymka puścić, jak to w robocie, no nie? Serce przed nim chcę otwierać, a on co? Kielonek – mówi – wy znowu piliście. Niedługo trzeba wam będzie chyba naklejkę „ostrożnie z ogniem” przykleić. Dowcipniś niby taki. Ale nic się nie przejmuj, ze mną nie zginiesz. Byle spokojniutko, powolutku, a i piwka nie zabraknie.

Wski: W końcu nie tylko o piwo chodzi.

Kielonek: A o co? Może o karierę? Cha, cha. Był tu już taki jeden. Na początku jak ja – zaworowy. Lecz miał niestety te tak zwane ambicje. Więc się piął: starszy zaworowy, otwieracz, starszy otwieracz, mistrz przełączacz, kierownik zaworowni... Piął się i piął, aż się i na niego wypięli i przysiadł na pięć lat, jak to się mówi, na państwowym wikcie. A ja sobie powolutku swoje zamykam, a codziennie jest z czego piankę zdmuchnąć. No nie? Widzisz, swój chłop jesteś!

Wski: A zdrowia nie szkoda?

Kielonek: Kolego, ja ci coś powiem. Niejedno już widziałem i słyszałem i jak się to mówi, z niejednego kufla piłem. Ze zdrowiem to jest tak. Jak cię ma szlag trafić, to i tak cię trafi, choćbyś się w akwarium chował. No nie? Ale żeby komuś piwko zaszkodziło – tego nie słyszałem. A przeciwnie. Znałeś tego, no, tego z wylewni. Zresztą nieważne. Obciągnęliśmy z nim zeszłej zimy ze cztery krzynki i co – myślisz, że nam zaszkodziło? Tylko wypadku dzięki temu uniknął.

Wski: Niemożliwe.

Kielonek: A jednak. Wyobraź sobie: wieczór, mróz w nosie krzepnie, na jezdni szklanka, a jemu ruchem zachciało się kierować. Normalnie to by gościa zatłukło, ale on ma dwie krzynki w głowie, więc się kiwa na tym środku jezdni. Wóz z prawej – on chyba! w lewo, wóz z lewej – on chyba! w prawo... Najgorzej było, gdy nadjechał ten wielki „Kraz”. Wysokie, szerokie bydlę na całą jezdnię. Tego to już nie okiwa – myślę. Ale i tu mu piwko pomogło. Nóżki się akurat ugięły i padł biedaczek na tę twardą ziemię jak długi. A „Kraz” jak rozkraczona baba nad nim przelazł.

Wski: I co?

Kielonek: Dalej to za bardzo nie pamiętam, bo i mnie się film urwał. Ale podobno zamarzł. Może to i prawda, bo mróz wtedy był jak lichy. No, ale my tu gadu, gadu, a piwko stygnie. Idziemy – nie?

Wski: Ale ja to bardzo dziękuję.

Kielonek: Nie musisz dziękować, skoro stawiasz.

Wski: Ja to w zasadzie nie piję.

Kielonek: Kto nie pije, to nie żyje. Mnie takie numery będziesz wstawiał? Towarzystwo może ci nie odpowiada?

Wski: Ależ nie, nie.

Kielonek: Trzeba przecież tę twoją robótkę opić. Z kolegami się zapoznać. No, poszli!

Scena piąta

Wski natrafia na stojącą kolejkę i staje w niej. Dochodzą do niej ciągle kolejni ludzie.

Wski: A ta kolejka to za czym?

Osoba 1: Bo ja wiem? Otworzą, to się zobaczy. Chyba jakaś nowość będzie – tyle ludzi.

Osoba 2: Ale ciekawy – nie wystarczy mu, że stoi przed nami, to jeszcze chciałby wiedzieć, po co.

Wski: Nie pana pytam.

Osoba 3: A co pan taki obraźliwy? Czy to ważne, po co stoimy? Nawet gdyby to była kolejka do kolejki, to i tak się opłaci.

Osoba 4: Pan, młody człowieku, z filozoficznego punktu widzenia ma jak najbardziej rację, chociaż problem nieco trywializuje...

Osoba 5: Otwierają.

Osoba 6: Ludzie, spokojnie każdemu się dostanie. O Boże, ale pan pcha!

Osoba 4: Szanowna pani, czy nie zechciałaby pani łaskawie wyjąć swojego parasola z mojej...
za przeproszeniem, szanowna pani, szanowna pa..., bo jak strzelę w ten rudy łeb!

Głos: Kolejny, proszę...

Głos: Kolejny, proszę...

Kolejka stoi przed zawieszoną dużą, ciemną aksamitną kotarą. Osoba, na którą przysła kolej, wchodzi za kotarę. Po chwili wychodzi z jej drugiej strony z twarzą wskazującą na zmieszanie, niesmak, a jednocześnie robiąc dobrą minę do złej gry. Nie mówi ani słowa i odchodzi. Kolejno pojedynczo wchodzi za kotarę następne osoby. Reagują identycznie jak pierwsza osoba. Żadna z nich się nie odzywa.

*Przychodzi kolej na **Wskiego**. Wchodzi za kotarę. Po chwili wychodzi z jej drugiej strony i z histerycznym śmiechem zrywa kotarę. Pozostałym stojącym w kolejce i widzom ukazuje się przepiękny tron ze złożonymi rzeźbionymi poręczami, nogami i oparciem. Tył oparcia i siedzenie wyłożone są czerwoną tkaniną. Na tronie ustawiony jest szklany nocnik.*

Scena szósta

W pracy i w życiu.

Przełożony: Kolega Wski?

Wski: milczy.

Przełożony: Obywatel Jerzy Wski. Dział Zaworownia. Pismo numer NK-721/76 z dnia 12.11.76 r. w sprawie udzielenia upomnienia: Za opieszale wykonywanie poleceń przełożonych, za błędne i nieterminowe wykonanie dokumentacji konstrukcyjnej, zleconej do opracowania, za lekceważenie obowiązków służbowych, co mogło doprowadzić do powstania przepływów turbulentnych w przewodach zaworowni, udzielam obywatelowi upomnienia oraz skazuję na ścięcie.

Scena siódma

Wski na wernisażu znajomego malarza.

Malarz: I jak je znajdujesz?

Wski: Co znajduję?

Malarz: Obrazy. Jesteś przecież na moim wernisażu i o nich...

Wski: Och, przepraszam, zamyśliłem się. Wiesz, uważam, że są interesujące. Nawet oryginalne.

Malarz: Wiedziałem. Subtelna osobowość Jerzego Wskiego od razu dostrzeże w dziełach sztuki nowatorskie rysy. I potrafi należycie je ocenić.

Wski: Szczególnie te rysy...

Malarz: Co mówisz?

Wski: Nie, nic.

Malarz: A powiedz, czy nie jest prawdziwą awangardą przedstawiony w nich światopogląd, syntetyczna prostota, w jakiej ująłem złożone problemy wszechświata?

Wski: Światopogląd? Wiesz, Honoracy, mnie się podobają twoje obrazy, bardzo podobają, ale ja specjalnie, muszę ci się przyznać, nie rozumiem współczesnego malarstwa. Jest ono dla mnie jakby zbyt abstrakcyjne.

Malarz: Podobają się... To nie są landszafiki do podobania się. To jest sztuka zaangażowana, rozumiesz? W dzisiejszym świecie nie można malować urokliwych pejzaży, kwiatuszków, koników. Trzeba mówić o rzeczach ważniejszych. Sztuka, chcąc być zauważona w potoku

informacji, jaki dziś dociera do człowieka, musi go atakować, kąsać, dusić, by odbiorca nie mógł wyrwać się z jej szponów. Spójrz tylko na ten obraz. Odwieczna walka o byt, czy problem leżący u fundamentów życia, ale jak przedstawiony! Czy wyobrażasz sobie coś bardziej wstrząsającego? Albo tutaj. Obraz stanowiący credo moich dociekań. Wynik tygodni nieprzespanych nocy. Sentencja wszystkiego. Jednym słowem wszechświat zamknięty w ramy płótna. Czyż można to syntetyczniej przedstawić? Białe, nieskazitelnie białe płótno, a na nim plama. Z rozbitego kieliszka czerwonego wina. Człowieku, ja z tym obrazem to się prawie nie rozstaję, ty to rozumiesz? Ja bym go chyba nie mógł oddać nawet najlepszemu przyjacielowi. Nie, nie mogę tylko o sobie myśleć. My przecież jesteśmy jak bracia. Jurek, obraz jest twój.

Wski: Ależ słuchaj...

Malarz: Nic nie mów.

Wski: Ależ tak nie można. Ja bardzo dziękuję, ale przecież nie mogę cię pozbawić...

Malarz: Trudno, bierz. Sztuka musi iść między lud. Jak dla ciebie – 5 tysięcy i niech stracę.

Scena ósma

Wski spotyka Kolegę sprzed lat.

Kolega: Jureczku, równy jesteś koleś, ja bym za tobą nawet w ogień. Jakbyś tylko czegoś potrzebował, to ja zawsze. Już taki jestem. Jak kogoś lubię, to lubię. Pomożesz chyba koledze, ja bym tobie zawsze... No wiesz, pięć badyli, no muszę mieć! Jesteśmy koledzy, no nie? Ja ci oddam, na pewno oddam, chyba mi wierzysz? Co? Chyba wierzysz swojemu najlepszemu koledze?

Wski: *daje koledze pieniądze.*

Kolega: Jesteś prawdziwy kumpel. Ja ci oddam, na pewno oddam.

Scena dziewiąta

Wykorzystywany i oszukiwany Wski stoi sam na pustej scenie. Jest zgnębiony, nie widzi dla siebie nadziei. Wtem punktowe światło oświetla drzwi, które znajdują się w kącie, w głębi prawej strony sceny. Z resztką nadziei podchodzi do zamkniętych drzwi, łapie za klamkę i otwiera je szeroko. Za nimi stoją Mężczyzna i Kobieta, obłapiając się w wyuzdanej pozie. Wski z niesmakiem zatrzaskuje drzwi.

Na środku sceny z góry spada sznur z pętlą i zawisa na pewnej wysokości. Wski bierze stojące z boku krzesło, wchodzi na nie i zakłada pętlę na szyję. Oświetla go światło punktowe. Jest zdeterminowany, nie chce żyć w tym świecie. Podjął już decyzję, by skończyć ze sobą.

Moment przed jego zawiśnięciem na sznurze, na scenę wchodzi Mały Chłopiec. Do stojącego szklanego nocnika sika, stojąc tyłem do widowni.

Wski słyszy pluskające odgłosy. Kątem oka patrzy na Małego Chłopca. Widzi czyste, nieskalane dziecko i najprostszą czynność fizjologiczną. Powoli zdejmuje pętlę. Schodzi z krzesła.

Scena dziesiąta

Wski wygrał nagrodę. Na scenę wbiega podekscytowany listonosz z zaskakującą wiadomością.

Listonosz: Panie Wski, Panie Wski! Wygrał pan główną nagrodę! Wygrał pan główną nagrodę, gratuluję! Ale ma pan szczęście, główna nagroda. Cieszy się pan?

Wski: Cieszę się.

Listonosz: Panie Wski, panie Wski, główna nagroda, tyle pieniędzy, panie Wski!

Wski jest już po tamtej stronie życia, przecież już psychicznie umarł, podjął decyzję, jest mu wszystko jedno.

Scena jedenasta

*Pusta scena. Oświetlony światłem punktowym okrąg narysowany kredą, w którym urodził się Wski w prologu. Wchodzi **Sprzątaczką** i szmatą wymazuje narysowany okrąg.*

1976-1977

Spektakl „DETAL czy IKAR, czyli drgania swobodnie tłumione”

Studencki Teatr Politechniki Częstochowskiej „REZONUS”

Kierownik teatru: Tadeusz Wrona

Kierownik organizacyjny: Zbigniew Stonoga

Premiera: maj 1977 r., Częstochowa, Klub Studencki „Wakans” (obecnie Restauracja „Tori”).

Scenariusz i reżyseria: Witold Jakubiak, Tadeusz Wrona

Muzyka: Tadeusz Groja

Wykonawcy:

Aktorzy: Jacek Cyran, Jolanta Dyluś, Tadeusz Groja, Witold Jakubiak, Sławomir Konstanciak, Elżbieta Kosta, Jacek Labocha, Romuald Libner, Zygmunt Nowak, Ryszard Sidorowicz, Zbigniew Stonoga, Anna Walczak, Elżbieta Wrona, Tadeusz Wrona, Ryszard Zaleski;
Zespół muzyczny „Rezonus Rex”: Tadeusz Groja – gitara, śpiew, Jolanta Dyluś – flet, Sławomir Konstanciak – perkusja, Romuald Libner – bongosy, Zygmunt Nowak – gitara basowa.

(Tekst ukazał się w: Tadeusz Wrona, *Ręce w górze*, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2025, wydano w serii: „Biblioteka Galerii”)



Janusz Pacuda, *Spektakl incognito*, druk cyfrowy, 2012

Barbara Strzelbicka

LIRYCZNY PORTRET PODWÓJNY.

O książce Arkadiusza Frani *Agatka mówi, że... Powiadania filozoficzne*

Porządkowanie

N AJNOWSZA KSIĄŻKA ARKADIUSZA FRANI zaskakuje niezwykle uporządkowaną formą: każde ze stu dwudziestu „powiadań” mieści się na jednej stronie, składa się z części prozatorskiej (umownie) i wierszowanej, a zaczyna się od słów „Agatka mówi, że...” (z niewieloma odstępstwami). Taki sposób zwalnia czytelnika z konieczności porządkowania tekstu, który już jest pozbawiony tego, co zbędne. „Przepis” na książkę znajdziemy na jej stronie 57: „Recepturka na książkę: forma musi być foremna, a treść – treściwa”. Wszystko się zgadza. Ten krótki fragment wskazuje na istotne cechy książki, która jest foremna i treściwa, co dotyczy nie tylko warstwy narracyjnej, ale też językowej.

Przyjrzyjmy się temu przepisowi. Recepturka to zdrobnienie od słowa receptura, inaczej: przepis na coś, utworzone zgodnie z zasadami, jak awantura – awanturka, klawiatura – klawiaturka, jednakże owo zdrobnienie nabrało własnego znaczenia: nazywa gumkę, którą onegdaj okręcało się wokół butelki z lekarstwem, mocując doń receptę. Receptura zatem, czyli przepis na wykonanie czegoś, właściwie straciła zdrobnienie, które odkleiło się od źródłosłowu. „Forma foremna” to z kolei pleonazm, czyli masło maślane, epitet „foremna” także się wyspecjalizował i oznacza tyle, co kształtna, zgrabna, proporcjonalna. Wyrażenie „treść treściwa” również jest pleonazmem, a jego drugi człon oznacza nasycenie treścią, danymi czy też wartościami odżywczymi (jak treściwe danie obiadowe).

Książka została przygotowana zgodnie z tym przepisem, a wyrazy, wypowiedzenia i całe partie tekstu są wieloznaczne, pozwalają na różne interpretacje – w zależności od wyobraźni i świadomości językowej czytelnika. Między ową „gęstwę semantyczną” (s. 96) autor „wraził” wiele szczegółów, zbędne skreślił – zgodnie z wezwaniem zapisanym na s. 101: „Skreślaj, skreślaj, człowieku!”.

Dwuczęściowa forma każdego zapisku przywodzi skojarzenie z muzycznym kontrpunktem, gdzie jednocześnie prowadzonych jest kilka samodzielnych głosów. Najbardziej znane przykłady tej polifonicznej techniki to fuga i kanon, znany z lekcji muzyki („Panie Janie, panie Janie...”). Nazwa wywodzi się z łaciny: *punctus contra punctum* i w dosłownym tłumaczeniu oznacza „nuta przeciw nucie”, co trafnie charakteryzuje kompozycję książki, jednak nie użyjemy tutaj trawestacji „słowo przeciw słowu”, bo to ma zastosowanie w całkiem innych sytuacjach.

Zwróćmy uwagę na inne elementy książki. Podtytuł: *Powiadania filozoficzne* przywołuje skojarzenie z oświeceniową powiastką filozoficzną, którą słownik języka polskiego definiuje następująco: „utwór z pogranicza prozy fabularnej i eseju filozoficznego, ilustrujący jakąś tezę filozoficzną lub moralistyczną”. By uniknąć nawiązania wprost, autor używa formy *quasi* podstawowej wobec zdrobnienia „powiastka”.

Interesujący jest spis treści, złożony z incipitów poszczególnych części i będący rodzajem meta tekstu, który się czyta jako kolejny, różny od pozostałych, tekst.

Sam autor nazywa książkę diariuszem (s. 96), w którym opisuje swoje codzienne życie i przemyślenia, jednak nie jest to dziennik typowy, gdyż w zapiskach w zasadzie nie ma ciągłości fabularnej i można je czytać w kolejności dowolnej. Podobnej techniki A. Frania użył w książce *Jestem pomysłem Pana Boga na człowieka*¹, przy czym wtedy głosy były rozłożone między następujące postacie: narrator (Ar), alter ego autora, jego cień (Cień Ara), żona narratora Agatka oraz Żona Ara. Tamta książka była również rodzajem dziennika, jednak zapisy sprzed piętnastu lat różnią się znacząco od obecnych. Porównując je można dostrzec, jak czas wpłynął na autora, jego poglądy, postrzeganie siebie i świata.

Filozofowanie

W najnowszej książce znacznie więcej miejsca zajmują refleksje natury filozoficznej. Poeta nie aspiruje do stworzenia spójnego systemu filozoficznego, jest to raczej filozofowanie poety, który przedstawia poglądy na kilka kwestii.

Bohater *Powiazań...* nie wierzy w przypadek i aby przypieczętować swoje stanowisko, opisuje stan świata wieloma określeniami: „Nie ma przypadku, wszystko jest poukładane, zmontowane, zestawione, wyznaczone, ustalone, omówione, rozdzielone” (s. 124). Nasuwa się oczywiste pytanie o rolę człowieka w tak zdeterminowanym świecie i o wolną wolę, na które także znajdujemy odpowiedź: „Zadaniem człowieka jest poznanie, zrozumienie i przyjęcie swojego przeznaczenia” (s. 124). Pełna konsekwencja.

Zgodny z tym stanowiskiem jest pogląd na twórczość, w tym na własną twórczość poetycką, która nie jest li tylko efektem wysiłku intelektualnego: „Wtedy przyszedł do mnie tekst. Czulem go na wyciągnięcie myśli, już prawie dotykałem słowem” (s. 81). „Przyszedł”, a zatem był już w jakiejś innej rzeczywistości, wyczuwalny najpierw myślą, a dopiero potem przyoblekający się w słowa. Kim więc jest poeta? Medium? Nieco dalej pojawia się zdanie podobne: „Mam przecież słowo – na wyciągnięcie myśli, na wyciągnięcie języka” (s. 102), zawierające istotny czasownik. Owo „mam” nie jest precyzyjne, zapewne nie oznacza posiadania na własność czy choćby prawa do używania jako narzędzia – chodzi raczej o świadomość istnienia słów, możliwość sięgnięcia po nie myślą i nazwanie językiem. Poeta musi więc skupić się „na pisaniu, bo poezja bierze się ze słów, które są rzeczywistością” (s. 94). Tak oto wyłoniło się nam stanowisko zbieżne z poglądem Hansa-Georga Gadamera, który w eseju *Człowiek i język*² wyraża pogląd, iż język nie jest narzędziem służącym komunikacji, jak się powszechnie uważa, gdyż nim nie władamy: „We wszelkiej naszej wiedzy o nas samych i o świecie jesteśmy już raczej ogarnięci przez język, przez nasz własny język”³.

Wątkiem często podejmowanym w rozważaniach A. Frani jest czas. Autor ma świadomość przemijania, czemu daje wyraz w swój metaforyczno-słowotwórczy sposób: „Prę i mijam. Prze-mijam. Przemijam. Nawijam swój czas na kłębek wieczności. To raczej w odwrotnym kierunku. Wieczność nawija mnie na belę z czasem” (s. 92). Narrator oddaje się rozmyśleniom w różnych codziennych sytuacjach, podczas oczekiwania na otwarcie sklepu takie oto refleksje przychodzą mu do głowy: „Minuty nie mijają. Staję się częścią czasu, staję się częścią wieczności i nieskończoności, choć wypadają mi włosy, przeciera się skóra na nadgarstkach, płowieją odczucia” (s. 122). Czekanie ma także sens – nie tylko taki, że można je wypełnić myślami: „Chodzi o to, żeby czekać na nienadchodzące. W samym czekaniu tkwi istota, sens” (s. 23).

1 A. Frania, *Jestem pomysłem Pana Boga na człowieka*, Wydawnictwo „e-media”, Częstochowa 2010.

2 H.G. Gadamer, *Człowiek i język*, przeł. K. Michalski, „Teksty: teoria literatury, krytyka, interpretacja” 1976, nr 6 (30), s. 9-21.

3 Tamże, s. 13.

Czas materializuje się w człowieku, powodując niszczenie ciała, jednocześnie czyniąc go składnikiem wieczności. W tym kontekście wizyta u fryzjera jest postrzegana jako „strzyżenie resztek czasu” (s. 123). Przed upływem czasu nie ma ucieczki – to stwierdzenie banalne w swej oczywistości, ale poeta zauważa, że można się ukryć w miejscu opisanym niezwykle obrazową metaforą: „Najbezpieczniej jest na brzegu wskazówki zegara, który przystanął, by zaczerpnąć wieczności” (s. 83). Z czasem związana jest także, poza bohaterem, rzeczywistość językowa: „Używamy spójników, żeby spacje za bardzo nie rozdzielały liter i słów, dni i nocy” (s. 110).

Refleksje na temat czasu nie są szczególnie optymistyczne, ale też autor stanowczo się odżegnuje od takiej postawy: „Nie chcę pisać książek, które przynoszą ukojenie, wołę takie kolczaste, rozdrapujące” (s. 84). Rzeczywiście, książki A. Frani nie koją – ale czy rozdrapują? Pobudzają do myślenia i do intelektualnych poszukiwań, co może być określone jako rozdrapywanie, zwłaszcza gdy dotyczy istotnych kwestii egzystencjalnych. Takie stanowisko zostaje uwierzytelnione wyznaniem: „Tragizm jest ciekawszy od komedii, dlatego wartość poznawczą posiadają lęki” (s. 23). W stanach depresyjnych „Pomaga pisanie. Wpatrzony w ekran, dostrajam się do rytmu kursora. Wygląda się ciut większość neurastenicznych wibracji. To »ciut« ratuje mnie przed zaśnięciem” (s. 109).

Przychodzą jednak chwile zwątpienia, gdy poeta zadaje sobie pytanie, na które nie uzyskuje odpowiedzi: „Czy wypełnianie kartki słowami może cokolwiek znaczyć, coś tam zmienić, coś odkryć, coś udowodnić, zabezpieczyć, do czegoś zmotywować?” (s. 108). Wcześniej próbował różnych sposobów motywacji, w tym nagradzając się głębokim oddechem za stworzenie partii tekstu: „Gdy uda mi się nagryzmolić tekst na wysokość minimum ośmiu centymetrów, pozwalam sobie na wzięcie głębszego oddechu, bo w przeciwnym razie płytko, tyle, żeby przeżyć do następnego” (s. 103). Oddech – to życie, a pisarz zasługuje na jego pełnię tylko wówczas, gdy tworzy. I nie jest to kwestia wyboru, ale, jak pamiętamy, efekt odnalezienia swojego powołania. Jego wypełnianie nie jest łatwe ani przyjemne, lecz przerażająca jest wizja życia bez pisania: „Czy jest dla mnie życie bez pisania? Gdybym nie układał głosek, zamknąłbym się w celi mieszkania i biczował, umartwiał, aby osiągnąć stan na granicy życia i śmierci” (s. 80). Nasuwa się tutaj oczywiste pytanie: czy pisarskie powołanie oznacza wyrok?

„Życiopisanie”

Powiadania... pozwalają zbliżyć się do życia codziennego bohatera oraz jego żony Agatki, która pozornie jest głosem rozsądku, choć czasem to, co mówi, przeczy takiemu stanowiisku. Jej słowa stają się punktem wyjścia do filozoficznych rozważań bohatera, ale też swoimi uwagami „sprowadza do pokoju codzienność” (s. 36) i narratora na ziemię: „Agatka mówi, że z tego dziwaczenia to nic dobrego nie będzie, bo jestem niedożywiony i zaczyna podejrzewać anemię” (s. 107). Agatka bywa *spin doctorem*, bo niekiedy jej interwencja wygląda jak przysłowiowe odwracanie kota ogonem, narrator z kolei bywa przyziemny, czego przykładem jest zapis: „Obcinałem paznokcie u płaców stóp, więc teraz dłonie pachną mi nogami” (s. 91).

W ujęciu teorii archetypów można zapiski interpretować jako monolog wewnętrzny bohatera, rozmowę ze swoim żeńskim aspektem – co świadczyłoby o silnym związku emocjonalnym między postaciami, gdy druga osoba jest niejako uwewnętrzniona. Autor unika nazwania tej niezwykle głębokiej więzi miłością – słowo pojawia się w książce siedem razy i w zupełnie innych kontekstach. Jednym z nich jest opowieść o podejmowaniu prób napisania książki o miłości. Oto fragment, w którym Agatka „na odprężenie poleca czytadelfo” (s. 77):

Przypomniałem sobie, że niegdyś, gdy nie kochałem, chciałem napisać książkę o miłości, z miłosną fabułą, z miłosnymi postaciami, z pościelą, poranną kawą do łóżka, wspólną kąpielą pod prysznicem, z miłosnym happy endem, z miłosnym zakończeniem otwartym na następną miłosną książkę, ale gdy przeczytałem kilka nagryzmołonych rzadkim pismem stron, okazało się, że nie tworzę rzeczy o miłości, tylko o mdłości. Potem, kiedy utłukłem z tuzin much i drugie tyle pajaków, pomyślałem, by napisać książkę o nienawiści, z krwią, łamaniem charakterów, zbrodnią, z kryminalnym tłem, lecz wyszedł początek powieści o miłości, czyli i o mdłości. Zresztą nie lubię książek z napastliwymi morałami, a miłość i nienawiść to morał nad morałami i ambona.

A zatem nie jest to uczucie, które można nazwać słowem tak zbanalizowanym, wyświechtanym, ale też natrętnym. Charakter tej więzi dobrze opisuje następujący fragment:

Agatka ruchomieje, czyli cały czas się przemieszcza na zewnątrz i w środku, i zdaje mi się, że czyta mi w myślach i chyba nawet koryguje je, przedstawia, mniej udatne zastawia lepszymi, bo już kilka razy przyłapałem się, że bieg rozumowania nagle zbacza, jakby został wypchnięty nie moim podmuchem z pierwotnych kolein (s. 118).

Więź nie jest jednostronna, co Agatka definiuje krótko: „Zarażamy się sobą” (s. 18).

Ryszard Rotaub w krótkiej recenzji zamieszczonej na portalu (FB, 6 maja 2025 r.) zauważa, że Sokrates mógłby pozazdrościć Arkadiuszowi Frani Agatki, bo Ksantypa zasłynęła skrajnie odmienną postawą, co jest nie tylko komplementem pod adresem żony, ale też pochwałą filozoficznego zacięcia poety, skoro stawia się go obok Sokratesa...

Posługując się określeniem Henryka Berezy, użytym w stosunku do Edwarda Stachury, książkę *Agatka mówi, że...* można uznać za przykład „życiopisania”, charakteryzującego się silnym związkiem życia pisarza z jego twórczością, gdy obie sfery wzajemnie się przenikają.

Rymowanie

Pora odnieść się do wierszyków, konsekwentnie trocheicznych czterowersowych rymowanek. Trochej jest stopą metryczną składającą się z dwóch sylab: długiej i krótkiej, co w języku polskim odpowiada sylabie akcentowanej i nieakcentowanej. Taki rytm jest dość łatwo uzyskać ze względu na paroksytoniczny akcent wyrazowy (padający na przedostatnią sylabę). Przykładów wierszy z takim rytmem podać można wiele, choćby „Między nami nic nie było” (Adam Asnyk) czy „Takiej dostał dziwnej manii” (Boy).

Rytm w rymowankach A. Frani nie zawsze zgadza się z akcentem wyrazowym, choć czasem się narzuca: w wersji „**Gdy** so-dą wy-wa-bię **pla-mę**” (s. 44) mechanicznie akcentuje się ostatnią sylabę w wyrazie „so-dą”, tak jak w wersji „**Pod** słoń-ce o-głą-dam **kli-szę**” (s. 45) słowo „słoń-ce”, a w wersji „**my**-śli **nie**-grze-**czne** u-pra-la” (s. 52) w wyrazie „**nie**-grze-**czne**” akcentowane są aż dwie sylaby. Skutkiem nadużycia jest dodatkowy efekt komiczny – melodia jak w dziecięcej rymowance. Tyle o formie. Co do treści natomiast, to są to wierszyki purnonsensowe (ang. *pure nonsense* – czysta niedorzeczność), w których efekt komiczny powstaje na skutek zaskakująco nielogicznego skojarzenia pojęć. Dobrze to wyjaśnia Michał Rusinek w krótkim wykładzie „Purnonsens w literaturze”, zamieszczonym w sieci, podkreślając, że ten typ dowcipu dzieje się wyłącznie w języku, a żeby go zrozumieć, trzeba twardo stać na ziemi

i mieć poczucie sensu. Stanisław Barańczak, którego przywołuje M. Rusinek, zauważa, że perwersja purnonsensu powinna być perwersją formy, a nie treści. Wykład ilustrowany jest limerykami, jednak dotyczy także owych rymowanek, którymi A. Frania kończy swoje poważne refleksje, by uzyskać dystans wobec nich i dać odetchnąć czytelnikowi (oraz sobie):

Do muminka list chcę wysłać,
że pan Kleks to typ nad typy,
ale plącze się w domysłach,
gdy na węgiel liczę kwity.

Wyobraźmy sobie, że przeczyta to ktoś bez poczucia humoru – co sobie pomyśli? *Akademia Pana Kleksa* i film nakręcony na jej podstawie, określany jako „mit założycielski mojej nerwicy” (s. 60), przywoływane są w *Powiadaniach...* także w innych miejscach. Może dlatego, że Jan Brzechwa stworzył swoją baśniową szkołę w niezwykle opresyjnych czasach drugiej wojny światowej, kiedy musiał się ukrywać?

Uwieloznacznianie

Choć główne partie tekstu pisane są prozą, to jednak książkę można bez ryzyka określić jako poetycką. Przesądzą o tym środki stylistyczne, takie jak choćby metafory, których poza już wymienionymi można znaleźć wiele: „Ptaki nie poznają krajobrazu i rozzaczarowanie zagryzają ciszą” (s. 12); „ptaki dojadają resztki mroku” (s. 33); „Zanim dopali się papieros, noc pogrąży się w moich żyłach” (s. 105); „kolebię się na brzytwach świadomości” (s. 121).

Poza metaforami znajdziemy tu inne nadużycia wobec norm językowych – bo tak można nazwać słowne zabawy. Ich obszarem jest najczęściej frazeologia. Mamy tu do czynienia z licznymi przekształceniami związków frazeologicznych, pochodzących z różnych źródeł:

- język potoczny: „cud-miód-poezja” (s. 30) – modyfikacja powszechnie znanego związku frazeologicznego: cud-miód, malina; „taki ni w pięć, ni w dziewięć, czyli średnio w siedem” (s. 5) – uzupełnienie związku; „Fora ze snu!” (s. 42) – modyfikacja „Fora ze dwora!”, czyli: „Won!”;
- literatura: „więc porzućcie parasole, foliowe pelerynki ci, którzy na mokrą, rozciapaną ziemię wchodzicie” (s. 25) – „Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy wchodzicie”, to jest prawdopodobnie najbardziej znany cytat z *Boskiej Komedii* Dantego;
- religia: „Będzie powódź na pokuszenie światła” (s. 21) – fragment „Modlitwy Pańskiej” „i nie wódź nas na pokuszenie”.

Autor używa także łańcuchów skojarzeń słownych, mających pozory ciągów słowotwórczych, którymi *de facto* nie są. Oto przykłady:

- „Ukojenie, odnerwienie. Odpoczynek, spoczynek, po-czynek, po-czynie, po czynie. Nici z czynu” (s. 39) – to wariacje na temat słowa odpoczynek;
- „Skandal – skan-dal. Zeskanowana dal” (s. 41);
- „Co minęło, nie od-minie, nie zawinie, nie nawinie się nam jeszcze raz” (...) Pajac? Pajak? Pająk (s. 40);
- „Mam czucie, odczucie, przeczucie” (s. 37).

Tego rodzaju zabiegów znajdziemy w książce wiele, są w każdej jej części. Jeśli nie służą ukazaniu etymologii słów – czym zatem są? Zabawą oczywiście, ale zabawą świadczącą o tym, że język jest żywy, a nie uwięziony w skostniałych poprawnych formach, że można mieć do nich podejście twórcze, a nie tylko odtwórcze. Ponadto przekształcenia przywołują nowe, wzbogacające tekst obszary semantyczne.

Recenzję tomu poetyckiego A. Frani *kropka i kropka*⁴ (Lublin 2023) zakończyłam stwierdzeniem, iż autor tym tomem „wpisuje się w nurt polskiej poezji lingwistycznej”⁵. Dla potwierdzenia tego stanowiska przytoczę zdanie Hanny Walińskiej: „Poezja lingwistyczna to system znaków, którego cechą są znaczenia relacyjne powstałe jako czynnik przekształceń w obrębie systemu języka naturalnego”⁶. Celem owych przekształceń „jest uwieloznaczenie tekstu poetyckiego”⁷. I jeszcze jeden cytat:

Konstrukcje poetyckie w szczególny sposób nakierowane na język, tzn. podnoszące rangę funkcji metajęzykowej komunikatu, równouprawniające ją niemal z funkcją poetycką, należą do podstawowych wyznaczników tzw. „poezji lingwistycznej”. Ich głównym zadaniem jest stworzenie takiej perspektywy oglądu świata, która rozpoczynałaby się od rozpoznania „świata języka”⁸.

To, że teksty zawarte w książce A. Frani są wieloznaczne, starałam się wykazać, ale przytoczenie wszystkich przykładów znacznie przerósłoby ramy niniejszej recenzji i zasługuje na odrębne opracowanie.

Jeśli zaś chodzi o litery, to A. Frania pozostaje wierny literze O: „Z liter natomiast najbardziej lubię duże O, bo łatwo mi sobie wyobrazić, że siedzę w nim i czekam na skaranie” (s. 62), czemu wcześniej dał wyraz w jednym z wierszy zamieszczonych w tomie *Oset*:

gdyby ktoś mi kazał
napisać tylko jedną literę z polskiego alfabetu
byłoby to „o”
do którego wlałbym raz na zawsze
aż zakręciłyby mi się w pacynie
wściekle niewybrane litery⁹.

Arkadiusz Frania jest pisarzem dojrzałym, o wyraźnie ukształtowanym profilu, a jednocześnie poszukującym i rozwijającym się. Posiada ogromną wrażliwość, nie tylko językową. Jego książki mają swój własny, wyrazisty charakter, a jednocześnie zadziwiają świeżością.

Arkadiusz Frania, *Agatka mówi, że... Powiadania filozoficzne*, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2025, wydano w serii „Biblioteka Galerii”.

4 B. Strzelicka, *Co po kropce?*, „Galeria” nr 66, kwiecień-czerwiec 2023, s. 92-95.

5 Tamże, s. 95.

6 H. Walińska, *O języku „lingwistycznej poezji” T. Karpowicza*, „Nurt” 1971, nr 3, s. 29.

7 Dariusz Pawelec, *Poezja Stanisława Barańczaka. Reguły i konteksty*, „Śląsk”, Katowice 1992, s. 51.

8 Tamże, s. 39.

9 A. Frania, *Oset*, Norbertinum, Lublin 2019, s. 39.

Janusz Strojec

ANTYFONA LITERACKA I ESEISTYCZNA,

czyli o książce Konrada Ludwickiego *Chrystus w więzieniu*

KONRAD LUDWICKI, PROZAIK, HISTORYK LITERATURY, doktor nauk humanistycznych, pracownik naukowy i dydaktyczny, adiunkt Uniwersytetu Jana Długosza w Częstochowie. Autor książek o charakterze popularnym i naukowym.

Ostatnia jego publikacja, *Chrystus w więzieniu. Ostatnie godziny życia*, ukazała się nakładem Wydawnictwa Sumus. Stanowi ona kontynuację zainteresowań pisarza chrześcijaństwem. Wcześniej napisał monografię – jedyną w Polsce – poświęconą modernistycznemu i chrześcijańskiemu pisarzowi portugalskiemu Fernando Pessoa (1888–1935): *Pisanie jako egzystencja[lizm]...* (Warszawa 2011) oraz książki *Bóg – Zło – Modlitwa. Wokół „Uwag 1940–1942 Karola Ludwika Konińskiego”* (Kraków 2016), w której przywraca pamięć o myślicielu i diaryście katolickim. Napisał też monografię *Kino Marka Hłaski* (Katowice 2004, 2005), powieść *Lakrimma* (Katowice 2008, 2016) i zbiór opowiadań *Ściana i inne miniatury* (Warszawa 2011). W 2022 r. ukazała się jego książka *O Schulzu. Egzystencji, erotyzmie i myśli...* (Kraków 2022). Publikował m.in. w „Nowym Napisie”, „Nowych Książkach”, „Salvatoris Mater”, „Studia de Cultura”, „Schulz/Forum”, „Teologii Politycznej”, „Galerii”.

Chrystus w więzieniu. Ostatnie godziny życia ziemskiego K. Ludwickiego to książka niezwykle spójna, przemyślana, osadzona w artefaktach i w agrafoonach, słowach i myślach Chrystusa, potwierdzonych, a raczej zapowiadanych w Biblii i w widzeniach mistyczek. Autor odwołuje się do włoskiej kapucynki, błogosławionej Marii Magdaleny Martinengo, niemieckiej stygmatyczki Katarzyny Emmerich i Polki, służebnicy Najświętszej Maryi Panny, siostry Leonii Nastał. Badacz ostatnich dwóch, może trzech godzin osadzenia Chrystusa w karcerze sięga też do widzeń Luisy Piccarretti, XX-wiecznej mistyczki pochodzącej z Włoch, a także przywołuje doświadczenia Faustyny Kowalskiej.

Książka składa się wyraźnie z dwóch części, pierwsza to klasyczna nowela dotycząca obecności Jezusa Chrystusa w lochu, w więziennej celi, która jest wyraźną częścią Misterium Męki Pańskiej i ma charakter literacki. Druga część to esej. Autor wprowadza nas w klimat Wieczery Paschalnej, Góry Oliwnej, malowniczo nakreśla pejzaż i klimat Jerozolimy. To w Getsemani zaczęła się agonia Jezusa. Pisarz łączy naturę, krajobrazy, ze stanem wnętrza Pana. Jest bardzo wyważony w refleksjach, opisie miejsca i sytuacji, różni się zasadniczo od postawy, jaką przyjął ongiś na przykład Michaił Bułhakow w *Mistrzu i Małgorzacie*.

Autor z rozważą i pokorą wchodzi w sytuację Pasji. Ma – jako narrator – przed oczami Stary i Nowy Testament i relacje wizjonerek, to się wyraźnie odczuwa w jego prozie.

W noweli – jako swoje motto – wplata w narrację fragmenty Pisma Świętego, stanowiącego bazę do tej opowieści, która przez całe wieki nie znalazła rozszerzenia literackiego. Bardzo jasno uczynił to Konrad Ludwicki i za to mu chwała. Biała plama w literaturze została wypełniona.

Około godziny czwartej w nocy Chrystus został uwięziony w ciemnicy. Usytuowana ona była orientalnie. Niczym dawne, pierwsze świątynie chrześcijańskie. Na osi wschód – zachód. Był to rodzaj cuchnącej cysterny – wąskiego, kamiennego rezerwuaru z wilgotnymi ścianami. W zbutwiałym, malarycznym wnętrzu czuć było stęchlizną i chłodem. Mur w znacznej części pokrywała pleśń.

W więzieniu zatrudniani byli wyjątkowi sadyści. Postawni recydywiści, którzy sami, by uniknąć aresztu, podejmowali się wykonywania przeróżnych czynności. Postawienie się nad innymi było dla nich dziwną przyjemnością. Nie czuli żadnych zahamowań (s. 45).

Sytuacja, w której znalazł się Człowiek-Bóg, ma swe następstwa w losach świata. Opisywany przez Ludwickiego karcer, z bestialstwem strażników, przypomina te, które odnajdujemy w losach ludzi w kolejnych stuleciach. Cierpienie jest bliskie Panu, podobnie jak i każdemu człowiekowi. Ludzka egzystencja została wpisana w tę Boską i dlatego pewnie daje nam nadzieję.

Misterium Męki Pańskiej wpisuje się w kondycję ludzkości w ogóle i jest swoistą tajemnicą, którą próbowali zapisać i odczytać ewangelisti, mistycy i stygmatycy, ale także ludzie wiary. Jednym z nich jest na pewno autor *Chrystusa w więzieniu*, a czytelnik przechodzi przez rozważania autora w części drugiej publikacji, mającej charakter eseju filozoficznego, literackiego czy raczej religijnego. Wszystko to się przenika.

Druga część, zatytułowana: *Pobyt Chrystusa w lochu więzienia w wizjach mistyczek i świadectwach zawartych w innych tekstach*, oparta jest o rozbudowaną bibliografię. Łącznie autor odwołuje się do około 44 publikacji. Książka została poddana recenzji ks. prof. dr hab. Mariana Kowalczyka, cenzora, wraz z obwieszczeniem *nihil obstat*, który określił ją jako wolną od błędów doktrynalnych i moralnych, wobec której nie ma przeszkód formalnych co do jej publikacji. Również ks. prof. Waldemar Chrostowski wskazuje w *Przedmowie*:

„Dopowiadanie” Ewangelii ma tak długą tradycję, jak i one... Dotyczy to zwłaszcza tych etapów losu Jezusa Chrystusa, które słusznie uznaje się za najważniejsze, wśród nich ostatnie godziny Jego ziemskiego życia. Mozolnie je rekonstruuując, Konrad Ludwicki nie poprzestaje na wiedzy, skojarzeniach i wyobraźni, lecz sięga również po doświadczenia mistyczne, jakim dali wyraz ci, którzy ich doświadczyli. Tak powstała ta książka, przejmujące świadectwo współczesnej refleksji i medytacji nad męką Pana naszego Jezusa Chrystusa (s. 11).

Wartością niewątpliwie jest i to, że Ludwicki podejmuje się w części eseistycznej komentowania przywołanych fragmentów różnych świadectw, nie pozostawiając czytelnika samotnie. Nie czyni tego w sposób nachalny, *ex katedra*, ale używa języka prostego, zwyczajnego, a przez to ogólnie zrozumiałego. Bardzo ciekawe jest też przywołanie przez autora *Psalmu 88*, najciemniejszego ze wszystkich lamentacji polemicznych, będącego „krzykiem opuszczenia”. Ludwicki interpretuje i odczytuje ten psalm jako istnienie dwóch wielkich chorób egzystencjalnych człowieka. Pierwszą jest milczenie Boga, a drugą – przeznaczenie przez Niego człowieka na śmierć. Takie odczytanie jest naszym ludzkim doświadczeniem, które rozpoznajemy w czasach przeszłych, w historii obecnego świata i naszej indywidualnej. Może być, jak podkreśla K. Ludwicki, wyrazem uniwersalnego dramatu, który nie zna granic rasowych i religijnych, dramatu zła i cierpienia, często niewytłumaczalnego i absurda, który burzy wyważone myślenie filozoficzne i teologiczne.

Psalm 88 został również zanalizowany filologicznie, staje się łatwiejszy do zrozumienia dla czytelnika. W eseju dokonuje odszyfrowania zbieżności poglądów mistyczek, powołuje się również na opinie i komentarze Josepha Ratzingera, późniejszego papieża Benedykta XVI.

Książka *Chrystus w więzieniu* porusza największą tajemnicę chrześcijaństwa, wprowadza nas w sferę sacrum, odsłania eschatologiczną walkę Człowieka – Boga i kieruje nas do współuczestnictwa w tym wydarzeniu. Nie jest tylko prawdą historyczną, ale nadzieją ludzkości

na życie wieczne, mówi o zmienności i kruchości ludzkiego bytu ziemskiego i „osobliwym szczęściu – przywołanego już – spełnienia. W Chrystusie jest gigantyczne zmaganie, które jest świadomością wprowadzenia człowieka na nową perspektywę. To dla ludzkości początek nowego życia” (s.102).

Rozważania K. Ludwickiego są swoistą antyfoną modlitewną, wprowadzają nas w przemysł wielkopostne z nadzieją na kolejne dni naszego ziemskiego wędrowania, z udrękami, chorobami, śmiercią najbliższych, piekłem wojny, depresjami, odrzuceniem, poniżeniem, ciągami zadawanymi przez innych ludzi. W tym nasz egzystencjalny los jest bardzo podobny do tego Chrystusowego.

Słowa kończące książkę mają charakter nie tylko filozoficzny, religijny, są bliskie przeciętnemu człowiekowi, który kieruje się w życiu sercem i używa rozumu. Autor wskazuje na istotę ziemskiego bytu Jezusa Chrystusa nie tylko w sferze sacrum, ale także profanum. Konkluduje w ostatnim zdaniu: „Jakkolwiek oba pojęcia są mocno umowne i nie do opisanie”.

Książka *Chrystus w więzieniu. Ostatnie godziny życia ziemskiego* to wyjątkowa lektura, która wnika w tajemnicę uwięzienia Jezusa Chrystusa w lochu przed sądem u Piłata. Autor wypełnia białą plamę w biblijnej narracji, dając czytelnikowi fabularyzowaną opowieść o ostatnich godzinach życia Pana. Lektura niezwykle poruszająca, szczególnie ważna w dzisiejszym świecie konsumpcji, nienawiści, odrzucenia wartości i negowania tradycji. Zwraca naszą uwagę na drugą stronę w kierunku transcendencji i świata, który nas czeka, na wieczność. Ciało nasze zmarnieje, a duch przetrwa, zatem warto o niego zadbać w XXI stuleciu.

Książkę wydano w Wydawnictwie Sumus niezwykle staranie edytorsko, przejrzysto, zastosowano różny rodzaj czcionki, grafikę zaprojektowano z dużą kulturą. Bardzo ciekawa jest także okładka, zaprojektowana przez Tomasza Banasika, mająca wymowę ilustracyjną i symboliczną. Nie męczy czytanie tej książki i praktycznie może trwać tyle czasu, jaki spędził Jezus Chrystus w więzieniu – taki był też zamiar autora, co sam podkreśla. Ilość użytej bibliografii kieruje naszą uwagę w stronę Mickiewiczowskiej „czterdzieści i cztery”, a więc wpisuje się także w romantyczny mesjanizm. Głębia teologiczna, siła literackiego i duchowego przesłania czynią przekaz K. Ludwickiego uzupełnieniem wcześniejszych natchnionych tekstów i próbą znalezienia odpowiedzi współczesnego człowieka – co czyni ten przekaz uniwersalnym. Jest antyfoną literacką uzupełniającą agrafony słowa i agrafony myśli Jezusa Chrystusa.

Zachęcam do tej niezwykle inspirującej, szczególnie w dzisiejszym zsekularyzowanym świecie, lektury.



Krzysztof Seweryn Wroński

NIE DO WYTŁUMIENIA –

takim przekornym określeniem można wszcząć polemikę z tytułem utworu teatralnego autorstwa Witolda Jakubiaka i Tadeusza Wrony pt. *Detal czy Ikar, czyli drgania swobodnie tłumione*. Główna postać to pan Wski żyjący w klaustrofobii ideologii, systemów, poglądów i nieprzychylnych, a czasem wręcz złośliwych ludzkich uwag, ocen, opinii czy docinków. Trwając w tym imadle zadziwień, niezrozumień, opuszczeń, jako samotny detal uparcie wierzy, że nadzieja jest nawet wtedy, kiedy nie ma nadziei. Przyjmuje podświadomie, że przegrany nie ten, który nie wygrał, lecz ten, który nie podjął walki. Bohater jest skażony systemem, warunkami, w których przyszło mu żyć, dlatego trochę nieudolnie, bez planu walczy o siebie, o swobodny oddech, o namiastkę wolności i wierzy, że jest coś więcej niż ta ponura sceneria, urządzona przez bezduszny system. I tych, którzy jako jedyni, nieomylni i słuszeni mieli receptę na „szczęście”. Wszyscy Wscy żyli w oparach absurdu, ogłupiających i trujących haseł, „ochotników z własnej woli” w hufcach „spontanicznie” budujących socjalistyczną ojczyznę oraz przodowników pracy z nadludzkim wysiłkiem ustanawiających rekordy. Ten utwór to uzmysławia, przybliża i jakimś dziwnym trafem nie wydaje się być czymś z tamtej epoki.

Sztukę rozpoczyna szorstka i dekadenska piosenka, a wers „szybko ucieka nadzieja na coś” jest kwintesencją całego utworu. Wokół późny Gierek, pozorna odwilż i wciąż głęboki, pełen hipokryzji, propagandy sukcesu i rozkrzyczanych planów pięcioletnich socjalistyczny PRL. A *homo sapiens* w tym pilnie strzeżonym stadzie przysypyany gęstym pyłem ideologii, z wolnością na mozolne poruszanie się jak mucha w smole. W takim czasie przyszło urodzić się i żyć głównemu bohaterowi, panu Wskiemu. Marazm, szarżyzna, beznadzieja, żadnych szans na indywidualizm (świetna scena z nauczycielem), na romantyzm i głębsze uczucie (smutna scena z dziewczyną), na samodzielność (gorzkie akty w zakładzie pracy), a także żadnych szans na radość (scena z listonoszem,) bo nawet przysłowiowa nagroda nie może cieszyć, gdy człowiek jest wewnętrznie martwy. Na szczególną uwagę zasługują dwa genialne elementy: pierwszy to klamra spinająca początek i koniec sztuki, koło narodzin, wzrostu i prób walki o siebie, tak trywialnie unicestwione mokrą szmatą sprzątaczkii. Tyle po czymś życiu, całkowity reset. A drugi to chłopczyk sikający do nocnika, ocalająca nadzieja, że jest coś prawdziwego i naturalnego w zakłamanym świecie. Zwracają też uwagę didaskalia. Precyzyjne do ostatniego szczegółu. Przemysłane i trafne.

Nic, tylko pogratulować studentom tamtego czasu sztuki, będącej świadectwem zmagania człowieka w każdym okresie i w różnych okolicznościach. W pewnym sensie ponadczasowa, bo aktualna także dziś.

CZERWIEC 2025 R.

Ida Jadwiga Łubińska

„ZJEDNOCZENI W SZTUCE”

„ZJEDNOCZENI W SZTUCE” – to nazwa organizacji międzynarodowej promującej interdyscyplinarną wystawę, która odbędzie się w Muzeum w Częstochowie. Będzie można podziwiać dorobek artystyczny twórców z Niemiec, Polski, Japonii i Korei. To konkretna forma dialogu kulturowego pomiędzy czterema państwami biorącymi udział w projekcie.

Jolanta Madej – częstochowianka, komisarz wystawy, tak o tej inicjatywie opowiada: „Nasza wystawa to rodzaj platformy do wymiany doświadczeń twórczych, refleksji nad wspólnym dziedzictwem oraz budowania wzajemnego zrozumienia poprzez sztukę”.

Wernisaż wystawy odbędzie się 13 września br. o godzinie 17 w pawilonie Muzeum Częstochowskiego w parku im. Staszica. Wydarzenie wpisuje się w obchody 120-lecia istnienia Muzeum. O działaniach i osiągnięciach tej instytucji można pisać wiele. To m.in. promocja i współpraca kulturalna z instytucjami krajowymi i międzynarodowymi, popularyzowanie imprez i inicjatyw kulturalnych, promocja artystów i twórców, także tych związanych z naszym regionem.

Współorganizatorem wystawy jest niemieckie Stowarzyszenie Wallauer Fachwerk Kulturkreis e.V. Wystawa adresowana jest do mieszkańców Częstochowy i regionu: do młodzieży, środowisk akademickich, twórców, przedstawicieli instytucji kultury, a także do turystów z kraju i zagranicy odwiedzających nasze miasto.

Wydarzenie ma charakter otwarty i edukacyjny.

Poniżej tekst doktora habilitowanego Macieja Linttnera z Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, który miał okazję przyrzeć się opisywanym pracom. Jego recenzja została opublikowana w katalogu wystawy:

Prezentacja artystów pod szyldem wspólnego tytułu „Zjednoczeni w Sztuce” jest różnorodnym zbiorem artystycznych poszukiwań. Każdy z artystów od lat w zaciśnięciu swoich pracowni stara się znaleźć swój indywidualny język porozumienia ze światem. Ten rodzaj dialogu to swoiste przełożenie wewnętrznych emocji w materię obrazu, rzeźby czy też innej stosownej dla danego twórcy technologii. Wystawy zbiorowe takie jak ta stają się konfrontacją wielu odmiennych od siebie artystycznych postaw. To z jednej strony budzi obawę stworzenia jakościowego dysonansu. Z drugiej jednak strony ten emocjonalny melanż może stać się dodatkową wartością, której atutem stanie się właśnie różnorodność. Wszystko zatem zależy od odbiorcy i jego otwartości na odmienną światą będącą niezmienną twórczą inspiracją. Owa różnorodność w przypadku tego grupowego projektu jest wyjątkowo szeroka, bo mierzona rozległą przestrzenią dzielącą wystawianych artystów. Nie tylko chodzi o odległości formalne i ideowe pokazywanych prac. Ale również o rozrzutność losu, lokującego w tak odległych miejscach pracownię, w których rodziły się fragmenty tej wystawy. Wiadomo, że na styku relacji odbiorcy z dziełem tworzą się zupełnie nowe parametry poznawcze. Warto jednak pamiętać, że za każdą odsłoną tej prezentacji stoją inne historie wraz z szerokim pasmem ściśle przylegających okoliczności. Wspominam o tych różnicach celowo, ponieważ zapoznanie się z ich fragmentem z pewnością przybliżyć może kwestie

schowane głębiej i niedostrzegalne na pierwszy rzut oka. Mam tu na myśli ukryte pod warstwą autorskich technologii indywidualne, osobiste kody. Zarówno te ulokowane w kategoriach przekazu myśli, jak i te będące niczym linie papilarne autorskim, niepowtarzalnym śladem. W wypadku tej prezentacji mamy tak dużą ilość twórczych postaw, że opisywanie ich wybiórczo wydaje się mieć niewielki sens, z uwagi na możliwość pominięcia wielu istotnych elementów. Nadmienić w tym miejscu należy, iż rozpiętość warsztatowa pod tytułem „Zjednoczeni w Sztuce” mieści ponad stu autorów z różnych krajów takich jak Polska, Niemcy, Japonia i Korea. Mamy tu więc całą paletę różnorodnych technik: malarstwo, rzeźbę, ceramikę, fotografie, enkaustykę, wycinankę japońską, a także graficzne formy wypowiedzi. Taka duża ilość twórców gwarantuje szeroki artystyczny rozmach mieszający ze sobą wielość stylistyk, od prostych form abstrakcyjnych, po rozbudowane interpretacje pejzażowe czy figuratywne.

Właśnie za sprawą zawartej w tytule wystawy idei wspólnoty jeszcze raz chciałbym zwrócić uwagę na tworzący się pewien ciekawy artystyczny paradoks. Polegający na tym, aby właśnie pod kątem tej różnorodności wziąć pod uwagę to, że jej podstawą jest przecież indywidualność. I właśnie owym odmiennym autorskim postawom przyjrzeć się szczególnie, mając na uwadze zupełnie odległe ich rodowody.



Janusz Pacuda, *Siódma fala*, druk cyfrowy, 2015

Tomasz „Aztzenty” Barański

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ I SANDOMIERZ

KIEDY W 1921 ROKU JAROSŁAW IWASZKIEWICZ w towarzystwie Mieczysława Rytarda przyjechał po raz pierwszy do Sandomierza, z pewnością nie spodziewał się, że miasteczko to stanie się dla niego drugim domem, ojczyzną z wyboru na prawie sześćdziesiąt lat. Sandomierz swoim pięknem i prowincjonalnym urokiem zachwyił Iwaszkiewicza tak bardzo, że w latach 1936–1940 wynajmował mieszkanie od rodziny Świestowskich. Po II wojnie światowej spędzał tu dużo czasu – kilkanaście dni każdego roku. Nie miał jednak stałego lokum. Mieszkał m.in. w gmachu sądu, w małym domku dla archeologów na wzgórzu zamkowym czy w Domu Dziecka. Jego pobyty, relacje z mieszkańcami Sandomierza i okolic odcisnęły ślady na tym mieście. Iwaszkiewicz na stałe wpisał się w pejzaż grodu, którego senny urok dawał mu upragnione wytchnienie.

Dowodem wdzięczności i sympatii sandomierzan było przekazanie poecie w 1979 roku przez Miejską Radę Narodową mieszkania przy ulicy Katedralnej 5 w charakterze Domu Pracy Twórczej. Miało ono w połowie służyć jako dom dla pisarza, a w połowie jako przestrzeń wystawiennicza, gdzie prezentowano by dorobek lokalnych literatów.

Niestety, śmierć Iwaszkiewicza w 1980 roku zniweczyła te plany. Wówczas podjęto decyzję o utworzeniu w tym budynku Muzeum Literatury, którego uroczyste otwarcie nastąpiło 21 lipca 1980 r. z udziałem przedstawicieli lokalnych władz, córek Iwaszkiewicza i przedstawicieli Ministerstwa Kultury i Sztuki. To właśnie ta placówka stała się na wiele lat najbardziej widocznym śladem, jaki Iwaszkiewicz zostawił po sobie w Sandomierzu. W nowo powstałym Muzeum Literatury zebrano, zabezpieczono, a także wyeksponowano wiele rękopisów, dokumentów i pamiątek po Jarosławie Iwaszkiewiczu.

Stawisko, gdzie pisarz mieszkał na stałe, dzieli od Sandomierza 216 km. Dziś można je pokonać samochodem w trzy godziny. „Jazdy” Iwaszkiewicza do Sandomierza, zwłaszcza te pierwsze, były znacznie dłuższe i bardziej skomplikowane. Z początku były to wielogodzinne jazdy pociągiem – później (jeszcze przed wojną) także samochodem, ale wyprawy te były pełne przygód, związanych ze złym stanem dróg i częstymi awariami aut. Uwiecznione zostały w dwóch rozdziałach *Podróży do Polski: Jak się po Polsce jeździ samochodem* i w *Jazdach do Sandomierza*. W 1922 r. na przykład, po szczęśliwym dotarciu do miasta samochodem z Wiktorem Poznańskim i jego matką, podczas ulewnego deszczu szofer wjechał do Wąwozu Królowej Jadwigi i z ogromnym trudem wydostał się stamtąd. Potem, przy próbie wjazdu drogą w górę pod katedrę, auto ześlizgnęło się i zawisło na płocie nad urwiskiem. Zostało wyciągnięte przy pomocy koni i oddziału żołnierzy. Z kolei w 1958 r. z powodu awarii auta pisarz musiał zanoćować z przyjacielem doktorem Tadeuszem Częścickim w chłopskiej chacie pod Opatowem. Następnego dnia przyjechał po nich wypożyczonym samochodem Wincenty Burek.

Po wojnie Iwaszkiewicza często przywoził do Sandomierza jego szofer i sekretarz – Szymon Piotrowski. Podróż ta była już znacznie wygodniejsza i szybsza niż pociągiem. Niezależnie jednak od środka lokomocji, niezmiennie uważnie obserwował trasę i opisywał ją. Miał ulubione miejsca, krajobrazy, ubolewał nad zmianami, na przykład nad wycięciem alei wierz-

płaczących przy drodze z Włostowa do Lipnika. A oto, co sam pisarz powiedział o swojej „obsesji” podróży do Sandomierza:

Moje dążenie do Sandomierza było całkiem irracjonalne – rozpoczęło się bardzo wcześnie. Mając lat dziesięć, czytałem *Historię wieków średnich* Tadeusza Korzona i już wówczas wyobraźnię moją zafascynowała postać księcia Henryka Sandomierskiego. W roku 1914, będąc u Hanickich w Stawiszczach – powziąłem wariacki pomysł pojechania do Koluszek, spędzenia trzech dni w Byszewicach, pojechania do Puław i Kazimierza. Z Kazimierza miałem z siostrami płynąć Wisłą do Sandomierza, ale zważywszy, że było już po zamachu w Sarajewie, i że za Sandomierzem, za Wisłą, rozpoczynały się obszary Cesarstwa Austriackiego, chyba nie wzbudzi zdziwienia fakt, że szybko wycofałem się z Puław; zdążyłem jeszcze dojechać do Kijowa ostatnim przedmobilizacyjnym pociągiem¹.

Jarosław Iwaszkiewicz był czułym obserwatorem świata, niezwykle wrażliwym na jego zmysłowe piękno. W Sandomierzu miał swoje ulubione widoki oraz miejsca i przez lata wyglądał na ich cześć prawdziwe peany. Przede wszystkim był to widok rozciągający się ze wzgórz sandomierskich na leniwie snujące się zakola Wisły, które w miejscowej tradycji nazywane są „kolanem Iwaszkiewicza”. Bulwar nadwiślański i okolice kościoła św. Pawła były stałym miejscem spacerów pisarza. W jednym z listów do córki pisał:

Dziś siedziałem nad Wisłą cały ranek. Było tak cudownie, Wisła pełna i ruch na niej nie taki jak zawsze (...). Potem w zaroślach wiklinowych zbierałem jeżyny. Już są dojrzałe. Ich smak zawsze najmiłszy, wspomnienie najdalszego dzieciństwa².

Sandomierz był dla Iwaszkiewicza miejscem szczególnym, bo sprzyjał skupieniu na pisaniu i autorefleksji, o czym tak pisał:

W cieniu sandomierskiej katedry, przy płaczliwym dźwięku wieczornego dzwonu „za tonących” powstały moje najlepsze rzeczy. Powstały rzeczy, które mnie z pisarza przemieniły w człowieka, tutaj przychodziły momenty zastanowienia i poczucia pustki wewnętrznej, które prowadziły do zbawiennych refleksji. Tutaj poznałem wszystkie rozkosze samotności, tutaj przez długie tygodnie, sam na sam ze sobą potępiałem wszystko, co było we mnie miłością i grzechem, aby do miłości i grzechu powrócić. Z maszyną do pisania we dwójkę, całymi dniami siedzieliśmy sami, pisaliśmy i opowiadaliśmy sobie, powtarzaliśmy to, cośmy sami napisali i więcej niczego nie chcieliśmy...³

W Sandomierzu powstały fragmenty powieści *Sława i chwała*, dramaty *Lato w Nohant*, *Maskarada*, *Odbudowa Błędmierza*, opowiadania: *Małżeństwo Priscilli*, *Młyn nad Utratą*, *Zygryd*, *Róża*, fragmenty *Dzienników*, dziesiątki listów, wiele wierszy i przekładów. Historia miasta oraz zaobserwowane w nim sceny i zasłyszane plotki stały się kanwą wielu innych

1 J. Iwaszkiewicz, *Podróże do Polski*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2009, s. 260.

2 Tenże, *Dzienniki 1964–1980*, t. 3, „Czytelnik”, Warszawa 2020, s. 66.

3 Tenże, *Książka moich wspomnień*, Warszawa 1964, s. 305.

utworów. W 1934 r. ukazały się *Czerwone tarcze* – powieść o „błędnym rycerzu” Henryku Sandomierskim, której akcja rozgrywa się na zamku sandomierskim. Iwaszkiewicz jest też autorem powieści dla młodzieży *Wycieczki do Sandomierza*, napisanej według schematów socrealistycznych, wydanej w 1953 r., scenariusza filmu dokumentalnego o mieście oraz tekstu do albumu *Sandomierz* z fotografiami Andrzeja Brustmana i z przedmową Wincentego Burka (1956).

Chociaż Iwaszkiewicz „uciekał” do Sandomierza, żeby odciąć się od skomplikowanych spraw domowych oraz licznych obowiązków zawodowych i by pisać, nie stronił od życia towarzyskiego. Często przyjeżdżał ze znajomymi, przyjaciółmi, rzadziej z rodziną lub przyjmował wizyty gości podczas dłuższych pobyków w mieście. Odbywał z nimi wycieczki nie tylko po Sandomierzu, ale także po okolicy, m.in. do Opatowa, Koprzywnicy, Baranowa Sandomierskiego, Leżajska. Pływał z grupą osób łodzią motorową do Zawichostu i Annopola. Zawierał znajomości i przyjaźnie z mieszkańcami miasta i Kotlicy.

Iwaszkiewicz chętnie uczestniczył w życiu Sandomierza. Bywał w cyrku, kinie, na wieczorach autorskich, w sandomierskich szkołach. Podziwiał jarmarki i odpusty, szczególnie październikowy ku czci patrona Sandomierza błogosławionego Wincentego Kadłubka, o którym pisał tak:

Druga niedziela października, odpust w Sandomierzu. Widowisko nieprawdopodobne, Meksyk w pełni. Tłum kolorowy, bajecznie (wszystko w słońcu), zapchane ulice i kramy z dziwacznymi przedmiotami i zabawkami. Baloniki i wata cukrowa. Oczywiście trafiki z różnościami, a raczej kolorowymi kogutami i psami malowanymi na zielono i niebiesko. Całe składy straszaków, z których chłopcy nie przestają strzelać, w tym całym tłumie orszak kleryków z dwoma sufraganami w fioletach, idący po celebransa. Po chwili orszak wraca już z biskupem, strojnym w biret i rękawiczki, obszerny płaszcz, wszystko fiołkowe, dzwonią dzwony katedry, w to wszystko z remizy wyjeżdża straż pożarna. Nic podobnego nie widziałem (...). Cóż to za zadziwiający kraj! ⁴

Jakie są jeszcze „Sandomierskie ślady Jarosława Iwaszkiewicza” (to tytuł wystawy, która trwała od 29 października 2024 do 18 maja 2025 r.)? Dział Literatury Muzeum Okręgowego w Sandomierzu – taką nazwę nosił od 2002 dawny Oddział Muzeum Literatury, który został przeniesiony do budynku zamku. Mimo zmian w nazwie i lokalizacji, kontynuował działalność założycieli. Zbiory te były i są systematycznie powiększane, porządkowane i poddawane koniecznym zabiegom konserwatorskim. Także działalność literacka i kulturotwórcza nie ustała, organizowane są spotkania autorskie z wybitnymi postaciami literatury współczesnej. Oprócz licznych działań, podejmowanych przez Dział Literatury, nadal w centrum zainteresowania muzealników jest Iwaszkiewicz. Na sandomierską „Iwaszkiewiczianę” składają się m.in. rękopisy oraz ich profesjonalne kopie, dzieła sztuki (obrazy, portrety malarskie i rzeźbiarskie Jarosława Iwaszkiewicza), jego rzeczy osobiste, elementy odzieży oraz pamiątki związane z Sandomierzem. Postać Iwaszkiewicza na trwałe zapisała się w historii Sandomierza – dzięki swojej twórczości, jak i społeczno-politycznej działalności, o czym świadczy chociażby wspomniana już wystawa, zainspirowana przez dyrektora Muzeum Zamkowego w Sandomierzu Mikołaja Getkę-Keniga. Celem tej wystawy było również uczczenie przypadającej w 2024 r. 130. rocznicy urodzin Iwaszkiewicza.

4 Tenże, *Dzienniki 1956–1963*, t. 2, „Czytelnik”, Warszawa 2010, s. 480.

11 maja 2025 r. na Zamku Królewskim w Sandomierzu odbyło się spotkanie promocyjne nowego wydania dwóch pierwszych tomów *Listów 1944–1978 Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów*. *Listy 1944–1949* (2023) i *Listy 1950–1955* to początek zaplanowanej na sześć tomów naukowej edycji powojennej korespondencji między pisarzem i jego żoną, do wydania której został powołany specjalny zespół.

(Wykorzystano katalog do wystawy „Sandomierskie ślady Jarosława Iwaszkiewicza”, wyd. Muzeum Zamkowe w Sandomierzu, Sandomierz 2024)



Znaki. Podstawowy język komunikacji wizualnej, autor publikacji i projekt okładki Janusz Pacuda, wydawca – Instytut Plastyki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, (foto E. Siwik), 1996

Jerzy Kowalik

PIWO BEZALKOHOLOWE

WIELU PISZE WIERSZE I NIKT NIE WIE, PO CO. Któż to przeczyta, nieprzymuszony wieczorem autorskim, na którym podają przyzwoite przekąski?

Poeta jest handlowcem albo grafomanem. Proszę, nie rzucajcie w tej chwili we mnie jajkami. Ja niewinien. Otóż takową dysjunkcję wprowadziła Pawlikowska-Jasnorzewska. Kto pisze namiętnie w szufladę, bo takąż wolę bożą poczuł, ten grafoman. Poeta musi sprzedawać, znaczy mieć nabywców spoza zaprzyjaźnionego kółka literackiego.

Przyjrzyjmy się produktom. Pierwsze to wiersze miłosne w dwóch gatunkach. Wiersze miłosne-radosne. Czyli jak jest fajnie, że ktoś przytulił podmiot liryczny. Albo, co częściej, liryka miłosno-łzawa, czyli jest niefajnie. Znaczy ktoś, bliżej nie wiadomo kto, onego podmiotu przytulić nie zechciał.

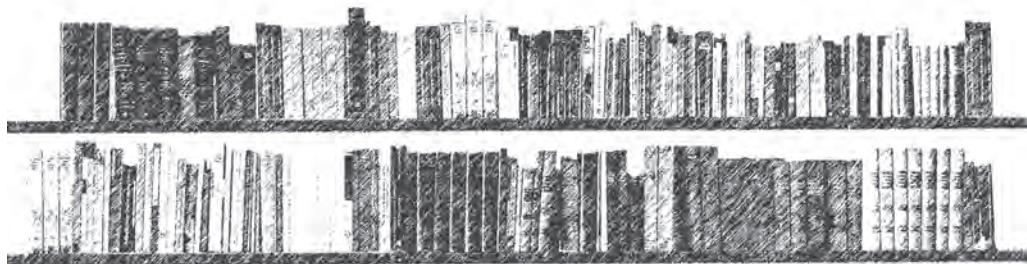
Niby w porządku, jest zaangażowanie emocjonalne i wypieszczone słowa, a klienta brak. Kto chciałby kupić i przeczytać o superacie czy deficycie przytulania podmiotu? Jeśli ewentualny czytelnik ma swoje superaty, wówczas sam pisze dla ukochanej. Wiadomo ze zbioru reguł poznawania kobiet, na co przy tym liczy. W przypadku deficytu klienci przechodzą w status grafomana i piszą wyłącznie sobie.

Drugim rodzajem produktu grafomańskiego są wiersze żałobliwe. Znaczy podmiot liryczny zagryza się, że ma mokro w butach. I czym wyżej po ciele i duszy, to coraz bardziej mu niefajnie. Owszem, są ludzie, których satysfakcjonuje boleść innych. Niestety, w większości przypadków satysfakcjonuje ich nieszczęśny casus sąsiada czy szwagra. Za mało, by sięgnąć po jakiś tomik, nawet bardzo cieniutki. Bo cóż mnie obchodzi ten podmiot liryczny? Chciał zostać poetą, to niech sobie teraz cierpi... byle za swoje.

Zadaniem wiersza jest chwycić klienta za kołnierz i podnieść ponad zachmurzenie. Pacjent ma się uśmiechnąć. Tego nigdzie indziej nie kupi poza telewizyjnymi tanimi kabaretami. Wiersz ma mu pokazać codzienny obraz w innych barwach, innej przestrzeni widzenia. Właśnie ten codzienny. Bierz, masz, to pół wiadra radości i pół zadumy. Zobacysz to, co znasz, ale głębiej. I przyłóż kartę, wbij pin, potem zielonym do góry...

Tymczasem każdy wpiera urbi et orbi lub jak tylko ma okazję – swoje wierszyki, które niby ładnie poprawne, ale są jak barszcz bez kiełbasy. Jak piwo bezalkoholowe.

Pardon, marudzę. Że niby wiersz bez tego czy bez owego. Nie tak do końca. Bez ma też swój urok. Kobieta bez majtek – to dopiero poezja się zaczyna!



Małgorzata Nowakowska-Karczewska

MROKI DUSZY

Z życiem jak ze sztuką w teatrze –
ważne, nie jak długo trwa, ale jak zagrana.
Seneka Młodszy

PIEKNA MAKSYMA... Szkoda, że nie wszystkim przyświeca. Zapomina się często – zwłaszcza gdy kuszą pieniądze czy wysokie urzędy – o godności, uczciwości, szacunku dla innych. Tu przywołać wypada słowa Lope de Vegi świadczące o tym, że upływ wieków jakoś nie czyni ludzi szlachetniejszymi:

Niektórzy wszak, nieposłuszni
wstydowni ani bojaźni,
pod zastaw swego honoru
rozliczne dobra dostali.

Na takowe dobra – wprowadzie nie rozliczne, bo to tylko część rodzinnego spadku – liczy Seweryn, jeden z bohaterów komedii Józefa Blizińskiego *Pan Damazy*. Młodzieniec, żyjący na łasce ciotki, gotów spełnić każde życzenie Żegociny, byle dostać obiecany zapis. Cioteczka tymczasem sprytnie kombinuje, by jak największa część spadku po zmarłym mężu przypadła w udziale jej. Oczywiście w trosce o szczęście pupilka Seweryna, jak obłudnie stara się przekonać rejenta Bajdalskiego, który ma jej pomóc. Bajdalski to wymarzony wspólnik do niezbyt czystych interesów. Twierdzi wprowadzie, że „w spełnianiu funkcji mego urzędu jestem bezstronny i nieugięty jak Kato”, ale to tylko frazesy, to typ prawnika – jakich i dziś wielu, niestety – który bez skrupułów stosuje wszelkie intrygi, podstępny, zwłaszcza jeśli zwietrzy zysk, oczywiście dla siebie. Żegocina sprytnie schlebia Bajdalskiemu – „z twoją głową podołasz temu” – trzeba bowiem w sprawie testamentu jak najdłużej zwodzić brata zmarłego Żegoty. Damazy – jak w poczuciu wyższości twierdzi Żegocina – to człowiek prosty, zwiedzie się go łatwo jakąś obietnicą, a najlepszy pomysł, to ożenić Sewerynka z córką Damazego. Bajdalski rychło spostrzega, że młodzieniec, posłuszny woli ciotki – choć doskonale wie, że Helenę od dawna kocha jego brat Antoni – stara się adorować panienkę, ale jednocześnie nadal zwodzi Mańkę. Nieczuły na jej skargi – „Boisz się... wstydzisz uczuć, które mi zaprzysięgałeś” – raczej siebie uważa za męczennika, który czyścić na ziemi przechodzi. Szelmostwa Seweryna skłaniają Bajdalskiego do myśli, że lepszy interes zrobi, gdy wtajemniczy Damazego – „potrafię stać mu się potrzebnym”. Depeszuje natychmiast po swego syna Genia, toż przecież on mógłby się z córką Damazego ożenić. Żegocina wpada we wściekłość, jej zdaniem Mańka – „zalotnica przebrzydła” – zrujnowała misterne plany. Awantura przybiera na sile, Seweryn milczy, po czym chyłkiem wymyka się z pokoju, odprowadzany wzgardliwymi słowami Genia: „Rejterada? To niby najwygodniej, ale niekoniecznie honorowo... Po łajdacku”.

A jaki był koniec owych intryg?... A to już warto odszukać, sięgając do komedii Blizińskiego.

Malvolio, bohater komedii Szekspira *Wieczór Trzech Króli* – podobnie jak Seweryn – ma o sobie jak najlepsze mniemanie. Malvolio, majordomus dworu hrabianki Olivii, wierzy, że jest ucieleśnieniem cnót, wiecznie nadęty, beszta wzgardliwie wuja swej pani i jego kompanów – „Czy nie macie rozumu, obyczajności i skromności, że wrzeszczycie jak druciarze

pośród nocy” – albowiem jego zdaniem nazbyt radośnie świętują. Malvolio stara się wszelkimi sposobami wkradać w łaski Olivii, którą w myślach adoruje. Donosi na innych, wymyśla ich rzekome winy, siebie przedstawia jako ucieleśnienie cnót. Pokrzywdzeni postanawiają dać nauczkę nadętemu zarządcy: „W odwet za upór i grube prostactwo, / Którym nas zbyt częstoował”.

Sprytnie podrzycony liścik miał sugerować, że i Olivii majordomus nie jest obojętny. Malvolio, ku uciesze „mścicieli”, łatwo dał się wciągnąć w pułapkę, już widział się u boku Olivii, już obiecywał sobie: „Będę pełen dumy (...), będę postępował wzgardliwie”... Pomysłodawcy kary bawią się znakomicie obserwując Malvolia, prezentującego oczom Olivii – zgodnie z sugestią zawartą w liściku – żółte pończochy podtrzymywane wymyślnie upiętymi podwiązkami. Oszustwo szybko wyszło na jaw. Malvolio – podobnie jak wielu ludzi jego pokroju – nie wybaczyl upokorzenia, rozczarowania, które mu zgotowano, stąd wściekłość i zapowiedź: „Pomszczę się na całej waszej bandzie”. Seweryn wyrzekł się miłości Mańki, wybrał wygodne życie w dostatku.

Pewno i słowa Francisca de Quevedo y Villegas nie wzruszyłyby go:

Wystarczy jedno zaledwie spojrzenie,
by piękno, które na wieki rozpala,
trwało w mej duszy odtąd nieskończenie,
(...)
czas bowiem jego swym tchnieniem nie kala.

Sprawy miłości, galanterii, bez wątpienia poważnie traktował Lope de Vega, wielbiciel uroku kobiet. Największą miłością jego życia była Mary de Nevares. Zobaczył ją ongi na jakimś festynie – spojrzenia dawały nadzieję wzajemności, nie oparł się ich czarowi – choć wówczas był już niemłodym podwójnym wdowcem, który czas jakiś wcześniej przyjął święcenia kapłańskie. Spadła na niego fala złośliwości zawistników – z czym i dziś wielu mierzyć się musi. W jednym z listów przyznawał, że „nie wie, jak się wyrzec tej miłości”. Nie było to chwilowe zauroczenie, o czym świadczy i to, jak czułą opieką otoczył kochaną kobietę, kiedy poważnie zachorowała.

Alonso, bohater dramatu Lope de Vegi *Rycerz z Olmedo*, przeżył podobne doświadczenie, gdy w czasie jarmarku w Medinie ujrzał piękną nieznajomą i...:

(...) ducha żywy ogień
z dwojga oczu przez me oczy
prosto do serca przeskoczył,
wznecając w sercu pożogę.

Pierwowzorem szlachetnego Alonsa był Don Juan de Vivero, wzór cnót rycerskich, który poniósł śmierć w bardzo niejasnych okolicznościach. Alonso, obcy w Medinie, szuka sposobu, by zbliżyć się do kobiety, która takie wrażenie wywarła. Za radą swego sługi Tella prosi o pomoc Fabię, która pono zna różne czarodziejskie moce i chętnie zakochanym pomaga, wszak pamięta, że i sama była młoda i ognie namiętności i ją ongi paliły. Fabia sprzedaje różne pachnidła dla dam, co pozwala jej bez podejrzeń dotrzeć do Ines – to ona bowiem jest ową piękną nieznajomą – i sprytnie przekazać list od Alonsa. Dziewczyna domyśla się, od kogo pochodzą gorące wyznania i mimo przestróg siostry odpisuje, wszak:

Na miłość nic się nie wskóra,
bo ponoć sama natura
skazała na nią człowieka.

Ines ma zalotnika, który od lat ją adoruje, ale serca nie zdobył, a im większy chłód okazuje mu dziewczę, tym bardziej rośnie żar uczuć Rodriga:

(...) im dotkliwsza pogarda,
jaką mnie, okrutna, dręczy,
im większy chłód, tym gorętszy
płomień mi serce rozpala.

Rodrigo rychło orientuje się, że ma rywala, z którym nie ma odwagi stanąć do otwartej walki, ucieka, gdy przyszło się mierzyć na szpady. Fabia sprzyja zakochanym, zdobywa nawet przy współudziale Tella kiel wisielca, którego moc miała chronić Ines i Alonso. A Ines zapewnia ukochanego: „żadna moc nie dokáže, / „bym innego była żoną” i szuka sprytnych sposobów, by ojciec nie naciskał na ślub z Rodrigiem.

Alonso krąży między rodzinnym Olmedo i Mediną: „dajesz powody do plotek” – mówi wierny Tello i ostrzega przed Rodrigiem: „on wie, że przed tobą stchórzył” – młodzieniec uważa jednak, że: „Szczera miłość nie liczy się / z największym niebezpieczeństwem”.

Nadchodzi majowe święto Krzyża w Medinie, na którym król ma się pojawić. Alonso marzy, by Ines zobaczyła go w pełnej gali na placu walk. Tymczasem szaleńcza zazdrość coraz mocniej skłania Rodriga do planowania zemsty – tchórze często nie umieją się pogodzić z porażką – nie kryje przed przyjacielem Fernandem, że zamierza zabić rywala.

Ukochany Ines ma niepokojące przeczucia, dziwne sny – głos intuicji nie zwykł zawodzić – ale stara się myśleć o czekających go długich świątecznych uroczystościach. Alonso dokonywał cudów w czasie walk z bykami, zaćmił wszystkich rycerzy z Mediny, w dodatku na oczach Ines uratował Rodriga, którego byk zrzucił z konia. Rodrigo nie jest w stanie znieść kolejnego upokorzenia:

Przeklęty upadek,
przeklęty traf, a najgorsze,
że mi los zdarzył na zbawcę
tego, któremu zazdroszczę
i którego zguby pragnę.

Zapada noc, Alonso musi wracać do Olmedo, synowska troska o rodziców nagli. Myśli zostaną w Medinie – zapewnia Ines w trakcie wieczornego spotkania – i przyznaje, że:

W ostatnich dniach żyję, pani,
w matni własnej wyobraźni,
co mnie zadręcza wizjami, (...) trując radość obawami.

Wyrusza sam, Tello ma go w drodze dogonić. Młodzieniec stara się odsuwać niepokojące przeczucia, wszak: „Rycerska godność / nie zna strachu. Strach to podłość” – i jak każdy szlachetny idealista woli wierzyć, że:

(...) zazdrość don Rodriga
ścigać mnie nie może teraz,
gdy mu życie ocaliłem,
bo podobny dług rycerza po wsze czasy obliguje,
by wrogich myśli zaniechał.

Rodrigo jednak – jak wielu innych, których zawiść zaślepia – nie brzydzi się niewdzięcznością, honor niewiele znaczy, gdy chodzi o zemstę. Czuje się upokorzony: obcy z Olmedo ośmielił się na pokonanym polu zostawić rycerzy z Medyny!!! Rodrigo gotów sięgnąć po wszelkie argumenty – sztuczki Fabii pewnie to sprawiły – byle zatrzeć poczucie wstydu i usprawiedliwić zbrodnię, którą planuje: „Dziś mej zazdrości płomień się wypali i jego życie”. Wraz z Fernandem i zgają ludzi uzbrojonych w arkebuzi zaczaja się na drodze prowadzącej do Olmedo. Alonso próbuje walczyć, Rodrigo – tchórz, jak i wcześniej – rozkazuje strzelać zza krzaków. Napastnicy uciekają z miejsca zbrodni, pozostawiając umierającego Alonso.

Rodrigo, pewny bezkarności, chętnie sądzi, że usunął przeszkody prowadzące do serca Ines. A jednak... Pojawia się Tello, który podążał śladem swego pana do Olmedo, a „Księżyc, który twarz wychylił”, pozwolił rozpoznać w grupie ludzi pędzących do Medyny Rodriga i Fernanda, winnych śmierci Alonsa. Zginął „nadzwyczajnych zalet człowiek”, z rozkazu króla kat zetnie głowy obu zbrodniarzy.

Walka o urzędy, o łaskawość władców równie szybko obnaża mroczne strony ludzkiej natury. Świetnie to ilustrują słowa Chimeny, jednej z bohaterki dramatu Pierre’a Corneille’a *Cyd*: „Przekłete dostojeństwa, godności niegodne, / Które budzicie w sercach wszelkich żądze głodne!”.

Oto Gomes, ojciec panny, nie otrzymał urzędu, którego się spodziewał. Czuje się pokrzywdzony, przecież – jak uważa – nikt równie wiele dla dobra królestwa nie czyni. Król jednak preceptorem swego syna uczynił Diega: „Królowi tak się podobało / Dać ci to, co samemu mnie się należało!” – wypomina spotkawszy Diega. Rozmowa przeradza się w kłótnię, emocje rosną, Diego obraża Gomesa, ten policzkuje rywala. Wzgarda to dla rycerza straszliwa, panowie sięgają po broń... – znacznie młodszy Gomes szybko wytrąca szpadę – odchodzi, częstując jeszcze pokonanego obraźliwym epitetem „stary grzybie”. Udowodnił boleśnie swoją wyższość. Czuje, że zazdrość go zaślepiła, znieważył urzędnika, naraził się na gniew króla, ale przeprosić nie zamierza.

Diego, w rozpaczy gotów ustąpić z urzędu, nie czuje się godny: „Ma-ż hrabia triumfować po swojej robocie, / A ja umrzeć bez pomsty albo żyć w sromocie?”. Czci i honoru Diega musi bronić jego syn Roderyk, którego los postawił przed tragicznym wyborem – Gomes bowiem to ojciec jego ukochanej Chimeny. Czy zatem wyrzec się miłości, czy wybrać honor rodu? „Musiałem bronić swego i ojca honoru” – tłumaczy ostateczną decyzję – zabija Gomesa w pojedynku. Chimena – choć nadal kocha Roderyka – żąda głowy zabójcy: „Taż mnie pomsta, taż sławy obrona należy”. Roderyk wolałby sam zginąć, niż cierpieć i widzieć rozpacz ukochanej. Jest ku temu okazja, wrogi okręty podpłynęły pod miasto, Diego zatem radzi synowi: „Staw się (...) Maurom potężnym odporem (...) / Jeśli chcesz umrzeć, masz tam piękną śmierć gotową”.

Wkrótce wszyscy w mieście wysławiają męstwo Roderyka – pokonani nadali mu miano Cyda – wdzięczny król przyjmuje go u dworu. Długo jeszcze Roderyk będzie musiał walczyć, by ból Chimeny ucichł i nic już nie stało na drodze do jej serca.

Czy dziś jeszcze spotykamy szlachetnych Roderyków? Pewnie tak, ale jakoś częściej widzimy odmienne postawy. A kłamstwo służy realizacji egoistycznych interesów, szkalowaniu innych ludzi. Przywołać więc wypada na zakończenie – jakże i dziś aktualne – słowa Lope de Vegi:

Mówią, że dawno już temu
odeszła prawda do nieba,
tak ludzie z nią poczynali,
że dotąd wśród nas jej nie ma.

Jarosław Kapsa

IŚĆ ZA MARZENIEM, BARWNYM MOTYLEM

*To follow the dream, and again to follow the dream –
and so – always – usque ad finem...*
(Iść za marzeniem, i znowu iść za marzeniem – i tak –
zawsze – aż do końca...)

J. Conrad, *Lord Jim*, tłum. Anieli Zagórska

JULIUSZ ISAAK NIE BYŁBY TYM, KIM SIĘ STAŁ, gdyby nie uznanie zdobyte na Wystawie Przemysłowo-Rolniczej w Częstochowie w 1909 r. Wystawiona kolekcja kilku tysięcy okazów motyli stała się jedną z najchętniej oglądanych ekspozycji; miarą sukcesu stało się zaproszenie na prezentację zbiorów w Warszawie, a tym samym pełna szacunku akceptacja przez środowisko polskich przyrodników. Ten ceniony rzemieślnik fabryczny przestał być traktowany jak prowincjonalny dziwak, który wolny czas spędzał jako doktor Muchołapka, w kapeluszu słomkowym i z siatką w ręku biegający po łąkach i lasach za barwnymi owadami. Za swojego kolegę, pełnoprawnego członka stowarzyszenia entomologicznego, uznali go wykształceni przyrodnicy, posiadacze tytułów naukowych zdobytych na uczelniach w Warszawie, Kijowie, Dorpacie, Berlinie in.:

Żadna bodaj z gałęzi nauk przyrodniczych nie posiada tylu zwolenników pomiędzy ludźmi bez specjalnego przygotowania, pracujących z ogromnym zamiłowaniem i z wielkim nakładem cierpliwości i pracy, co entomologia. W nauce tej istnieje tak wiele zjawisk, że nawet jednostka, zaopatrzona w bardzo niewielki zapas wiedzy specjalnej, jest w stanie przy systematycznej pracy zrobić wiele cennych i pięknych zarazem odkryć. (...) Motyle wyróżniają się różnorodnością kształtów, rysunku i ubarwienia oraz dają możliwość prowadzenia hodowli domowej, nęcą najwięcej entomologów kolekcjonistów; nie dziw więc, że przeważająca część ludzi, studiujących entomologię, wybrała sobie dział motyli, co najlepiej stwierdzają powstające stowarzyszenia przyrodnicze, zwracające największą niemal uwagę na Lepidopterologję¹.

Juliusz Isaak pochodził z jurajskiej Pilicy, miasta mającego już za sobą świetność, zmieniającego się w mały i zaniedbany jurajski sztetl. Rodzina Isaaków prowadziła warsztat powroźniczy, przejął go po ojcu starszy brat Wilhelm. Urodzony w 1870 r. Juliusz po ukończeniu szkoły powszechnej w wieku 14 lat wysłany został do Zawiercia, by tam zdobył dobry fach. W konsekwencji związał swoje życie z przedsiębiorstwem TAZ (Towarzystwo Akcyjne Zawiercie), gdzie z czasem awansował na głównego rytownika i rysownika. Wybór był oczywisty, bo Pilica karłała, a Zawiercie rosło. Ten cud rozwoju z dumą opisywał miejscowy „Głos Zawiercia”:

1 Wskazówki dla zbierających owady, „Entomolog Polski” 1910, nr 1, s. 6 (w cytatach zachowano oryginalną pisownię).

Miasto Zawiercie leży w kotlinie, z jednej strony oddzielonej – Jurą Krakowską, zbudowane zostało na gruntach wsi Poręby i miasta Kromołowa, tworząc na samym początku swego istnienia dwa osiedla: „Małe Zawiercie” i „Duże Zawiercie”. Nazwę swą osiedla te wzięły – od rzeki – Warty, a prawdopodobnie od karczmy stojącej nad rzeką Wartą od strony Mrzygłoda „Zawarta”. Ludność wymienionych osiedli trudniła się jedynie rolnictwem, jednakże z powodu nieurodzajnej, piaszczystej gleby, nie wystarczającej na wyżywienie, zmuszona była do czerpania środków z robót leśnych. Zbudowana kolej Warszawsko-Wiedeńska dała dopiero właściwy impuls rozwojowi².

Dobre skomunikowanie i obfitość zasobów wodnych wykorzystał Żyd z Pławna, Mamelok, budując przędzalnię bawełny. W latach 70. XIX w. przejęli ją bankierzy z Berlina, Ginsbergowie; dzięki ich inwestycji Towarzystwo Akcyjne Zawiercie stało się jedną z największych przędzalni w Królestwie, zatrudniając w 1875 r. 3 tys. robotników, a w początkach XX w. już ponad 6 tys. W tym samym czasie Samuel Huldskiński (Hulczyński), zagłębiowski Żyd, założył hutę żelaza, a w ślad za tymi przedsiębiorstwami rozwinęły się mniejsze fabryki: huta szkła Reicha, odlewnia Erbe, fabryka maszyn Banachiewicza, fabryka chemikaliów technicznych „Ohem i Metal”. Pracy nie brakowało, a wokół fabryk tworzyło się miasto. Wzorcowym dla innych ośrodków fabrycznych stało się budowane od lat 70. XIX w. osiedle TAZ. Zaprojektowano je zgodnie ze wskazaniem higienistów, wyposażono w niezbędną infrastrukturę społeczną, w tym w szpital, przychodnię lekarską, szkołę, resursę, pralnię. Inwestycje, przyciągając robotników z Jury, tworzyły multikulturalny krajobraz społeczny. Podobny był w rosnącej w tym samym czasie i tempie Częstochowie. Polscy mieszała się z jidysz, niemiecki z rosyjskim, modlono się w kościołach, zborach, synagogach, cerkwiach.

Śsiedztwo i podobne doświadczenia łączyły kręgi inteligencji obu miast. Zawierciański Judym, dr Józef Brzeziński, był podporą założonego przez Władysława Biegańskiego Towarzystwa Lekarskiego, autorem ważnych artykułów dotyczących ochrony zdrowia robotników fabrycznych. W tym samym roku 1906 w Częstochowie i Zawierciu powstało Polskie Towarzystwo Krajoznawcze. W Zawierciu, gdzie inicjatorem był osobiście Aleksander Janowski, pierwszym prezesem został ks. Czesław Chodorowski, a w skład Zarządu weszli: Józef Brzeziński, Marcin Ginsberg, Kazimierz Kaznowski, Jan Pasierbiński, Konstanty Piotrowski, Józef Przepieć, Bronisław Szulc, Stanisław Szymański, ks. Bolesław Wajzler (pisany jako Weisler) i Maksymilian Walicki, koło liczyło 66 osób. W Częstochowie inicjatywa Biegańskiego stowarzyszyła 68 społeczników. O bardzo bliskiej współpracy można mówić także przy okazji organizacji Wystawy Rolniczo-Przemysłowej w 1909 r. Nie przypadkiem najbardziej okazały pawilon był dziełem Towarzystwa Akcyjnego Zawiercie (dziś znany jako Obserwatorium Astronomiczne).

Juliusz Isaak był pracownikiem TAZ, ceniono jego wzornictwo, a jeszcze bardziej sumienność w pracy. Mieszkał z rodziną: żoną Emilią z d. Kloss i trojgiem dzieci na osiedlu fabrycznym. Do PTK należał, lecz nie był aktywnym społecznikiem; raczej samotnikiem badaczem, zbierającym okazy entomologiczne, charakterystyczne dla jurajskich terenów. Położenie miasta temu sprzyjało. Na wschodzie stroma kuesta jurajska wyznaczała krainę wzgórz z wapiennymi skałami, poniżej kuesty ciągnęły się sosnowe bory; w Kromołowie tryskało źródło Warta, a rzeka w zawierciańskiej dolinie stworzyła obszar podmokłych torfowisk. Dla przyrodników, a zwłaszcza dla miłośników motyli, był to ziemski raj:

2 „Głos Zawiercia” 1927, nr 2, s. 1.

Oderwani od natury, wtłoczeni w koło swych zajęć, trosk i obowiązków, mając uszy pełne gwaru i turkotu, oczy znużone migotliwymi i krzykliwymi barwami ulicy, nerwy wyczerpane nadmiarem szybko przeżywanych scen i wrażeń, piastują jednak gdzieś w głębi duszy tęsknotę za ożywczym tchnieniem przyrody, za bezpośredniością jej objawów, za mocnymi, wyrazistymi konturami jej praw, za urokiem słonecznych uśmiechów wiecznie młodej, wiecznie płodnej ziemi. A tęsknota ta wyraz znajduje przeróżny. Często robotnik, wpadłszy w zamyślenie, zamiast trybów i kółek, widzi przed sobą łąkę kwiecistą lub szemrzący strumień; buchalter zapomina na chwilę o cyfrach i kompletuje kolekcję rogów, skór zwierzęcych lub jaj ptasich, urzędnik marzy o polowaniu na wilki, fabrykant urządza akwarja lub hoduje papugi itd. (...) Kto ten głos wewnętrzny, z głębin duszy idący, zaklął w sobie, piastuje i nie zagłusza, lecz przeciwnie, głosu tego słucha niby muzyki cudnej; kto za głosem tym idzie i podnosi uczucie do wysokości umiłowania Przyrody i jej praw; kto, nie poprzestając na podziwie, prawa te poznać się stara, bada życie i docieka treści wielkich pytań, ludzkość niepokojących – ten stwarza sobie światy ducha nowe, gdzie znajduje źródło rozkoszy, niezawodzące nigdy, gdzie kamień, roślina, owad lub zwierzątko przemawiają niby poematy, pisane ręką największej artystki, Przyrody, poematy, które on, poeta, czyta i rozumie. Takim szczęśliwym zapewne jest p. Isaak, właściciel zbiorów entomologicznych...³

Chłopscy mieszkańcy Jury traktowali z pobłażaniem dziwactwa majstra z przedziałni, ale wiek XIX był erą rozumu i inteligencji, epoką rozwoju nauk przyrodniczych. Mieszczanstwo zawierciańskie i częstochowskie słusznym szacunkiem darzyło „swojego” entomologa. W naszym mieście przykład zawierciański zaowocował kolejnym brylantem. Młody absolwent gimnazjum rządowego (późniejszego LO im. H. Sienkiewicza) Jan Prüffer, student Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, na własną rękę rozpoczął badania nad okazami motyli; do 1915 r. opublikował trzy prace naukowe na łamach „Entomologa Polskiego” i „Pamiętnika Fizjograficznego”. Po krótkim okresie pracy w częstochowskim gimnazjum w czasie I wojny światowej, Prüffer, zrobiwszy doktorat, objął stanowisko kustosa Państwowego Muzeum Zoologicznego w Warszawie; później zaś przyjął propozycję pracy naukowej na Uniwersytecie Wileńskim. Po II wojnie światowej tworzył kierunek przyrodniczy na Uniwersytecie Toruńskim, do śmierci w 1959 r. aktywnie badając polskie skarby przyrodnicze.

Wróćmy jednak do naszego bohatera z Zawiercia. Po sukcesie częstochowskim i – równie docenionej wystawie zbiorów w Warszawie – pismo „Entomolog Polski” pisało o nim pod wymownym tytułem: *Cudze chwalicie...*:

Dziś właśnie na szarym naszym niebie entomologii zjawiała się gwiazda, która blaskiem swym rozjaśniła cały ten szary firmament. Gwiazdą tą w obecnej chwili jest cichy pracownik fabryczny Juljusz Isaak. Znany nam już pierwotnie z Wystawy Częstochowskiej, pokazał tam część swych pięknych zbiorów, rzucił nasienie po całym kraju naszym, a widząc, iż nasienie to już i owoc wydać może, z tym większą energją jął się do pracy, aby tym, którzy za przykładem jego już poszli, pomóc w zdobyciu zamięłowania i chęci do dalszej pracy. Dziś w całej okazałości owoc swej mozolnej 20-letniej pracy pokazał nam na wystawie przyrodniczej w Warszawie. (...) A kiedyż to wszystko p. Isaak robił? pewnie od rana

3 Kolekcjonista – miłośnik przyrody, „Entomolog Polski”, op. cit., s. 12.

do wieczora był swobodnym, mógł śmiało zająć się preparowaniem owadów. Niestety! człowiek ten od rana do wieczora pracuje w fabryce, aby dać utrzymanie rodzinie, kształcić dzieci, przyjmować gości, przed którymi drzwi się nie zamykają, którzy z różnych stron kraju zjeżdżają się podziwiać jego zbiory, a których p. Isaak podejmuje u siebie z prawdziwie staropolską gościnnością. Człowiek więc ten pracuje w umiłowanej przez siebie gałęzi wiedzy tylko przez kilka godzin wieczorowych, poza zajęciem, dającym mu utrzymanie. Wiele więc zdrowia, siły woli i prawdziwej miłości przyrody mieć trzeba, aby taki ogrom stworzyć. A pan Isaak dawno już mógłby swe zbiory sprzedać do jakiego zagranicznego muzeum, gdyż niejedno dawno już ma na nie ochotę, lecz uczynić tego nie chce, zbiory swoje chce oddać dla kraju. Stańmy tu na straży i kolekcji tej wydrzeć sobie nie dajmy, ona musi pozostać w kraju!⁴

Zdobyte uznanie pozwalało Isaakowi dorabiać, sprzedając opracowane okazy zainteresowanym badaczom. Stał się członkiem polskiego oraz drezdeńskiego stowarzyszenia entomologicznego, opublikował pracę naukową o niedźwiedziówce. Przyszły jednak ciężkie czasy I wojny światowej, muzy ustąpiły wobec armat. W 1914 r. zmarła żona Juliusza, Emilia, dzieci były już duże, opuściły dom, samodzielnie zarabiając na swoje życie. Odbudowa po wojennych zniszczeniach także nie sprzyjała pracy naukowej. Owszem, Juliusz zyskał wdzięcznego ucznia, oficera WP Witolda Niesiołowskiego, który z pomocą zawierciańskiego mistrza badał motyle okolic Krakowa oraz Karpat. Dzięki Niesiołowskiemu dwie prace Isaaka zostały opublikowane w „Entomologu Polskim” już po śmierci badacza. Były to jednak tylko sporadyczne kontakty, niezmieniające poczucia osamotnienia entomologa z Zawiercia.

Wydarzeniem, zmieniającym wszystko, było poznanie ekscentrycznej „starej panny” Michaliny Hochbaum. Natan Hochbaum, jej ojciec, był finansistą i zarządcą majątków ziemskich w województwie kieleckim. Natan miał sześcioro dzieci, lecz najwięcej zgryzot sprawiała mu urodzona w 1880 r. Michalina. Wbrew tradycji nie przyjmowała swatki, nie pragnęła spełnić się jako wzorowa gospodyni domowa. Wydawała pieniądze ojca na różne studia, nauki i podróże; dzięki temu władała wprawnie kilkoma językami, odwiedziła Moskwę, Kaukaz, żeglowała po Morzu Azowskim, Czarnym i Śródziemnym. W dodatku zajmowała się w tych podróżach sprawami abstrakcyjnymi: badaniami miejscowej flory i fauny. O Isaaku, z racji swych zainteresowań, słyszała; być może poznała jego artykuły publikowane w pismach entomologicznych. W każdym razie po I wojnie światowej pojawiła się w Zawierciu, zdeterminowana, by wraz z nim odkrywać królestwo świata motyli. Przybyła oglądać kolekcję tysięcy jurajskich motyli – została, z pokorą przyjmując rolę asystentki i pomocnicy etymologa. Razem wędrowali po jurajskich wzgórzach, oboje wyposażeni w siatki do chwytania owadów. Wieczorami razem pracowali w warsztacie Isaaka, konserwowali delikatne skrzydła motyli, odrysowywali ich deseni. Wdowiec po pięćdziesiątce, stara panna po czterdzieście – jak na tamtą epokę związek dość ekscentryczny.

Wyobraźnia podpowiada, że podczas tych spotkań Michalina na głos odczytywała Juliuszowi świeżo wydaną książkę Tadeusza Chrostowskiego o egzotycznej krainie Parana w dalekiej Brazylii. Z rumieńcem podniecenia na twarzy cytowała opis krainy:

Ogarnia mnie wieczysty półmrok zwrotnikowej puszczy; dziwna mowa puszczy – symfonia dziewiczego lasu – przemawia z nieprzepartym urokiem. Na łonie dziewiczej przyrody człowiek przestaje czuć się jednostką odrębną od otoczenia,

4 *Cudze chwalicie*, „Entomolog Polski” 1910, nr 1, s. 11.

poczyna uświadamiać sobie, że jest tylko mikroskopijnie małą cząsteczką potężnej całości. Bóle i smutki, radość i wątpienia, i ten głęboki osad goryczy, jaki życie pozostawia w duszy człowieczej, maleją, rozplywają się w mglistej przeszłości i nikną. Poczynasz żyć życiem puszczy: zharmonizowane z nią nerwy reagują na wszelkie jej nastroje z wrażliwością niesłychaną... Brazylijskie lasy dziewicze – to najwspanialsze na świecie skupienia roślinności: najbardziej uderzającą ich właściwością jest niezmierna różnorodność wiecznie zielonych roślin drzewiastych; do wyjątków należą tu drzewa tracące na zimę listowie. Olbrzymia ilość pnączów, nie tylko dosięgających wierzchołków drzew, lecz i łączących drzewa ze sobą, a wśród nich obfitość epiphytów, należących do rodzin ananasowatych (...) storczykowatych (...) i kaktusowatych (...), jest drugą charakterystyczną cechą. Dalej wzbudzają podziw olbrzymie rozmiary roślin jednoliściennych (...): palm, paproci, drzew iglastych, bambusów. Wreszcie uwagę zwraca obfitość i bujność roślin trawiastych – powojów, i bluszczów – tworzących z poszycia leśnego gęstwiny nie do przebycia. (...) W takim chaosie splecionych tworów roślinnych jedynie wyszkolone oko botanika południowoamerykańskiego mogłoby poznać i nazwać poszczególne formy⁵.

Parana nie była krainą nieznaną Polakom. Od końca XIX w. trwała intensywna kolonizacja brazylijskiego stanu; wabiono tu kolonistów z Królestwa i Galicji. Także przyrodnicy polscy wybierali Amerykę Południową jako kraj badawczej eksploracji. W 1843 r. był ułan Józef Warszawicz z wypraw do Peru, Boliwii i Kolumbii przywiózł – i wzbogacił nimi muzea niemieckie – zbiory kwiatów i ptaków. W 1865 r. dotarł do Amazonii Konstanty Jelski, przywożąc dorobek badań ornitologicznych. O badaniach geologicznych w Brazylii książkę pisał wykształcony w Dorpadzie prof. Józef Siemiradzki. Cytowany autor książki T. Chrostowski dwukrotnie spełnił swój sen o badaniach ptaków nad Amazonką i jej dopływami. Za pierwszym razem próbował pracę badawczą łączyć z osadniczą praktyką: założył w 1910 r. nad rzeką Iguassu gospodarstwo rolne z pasieką pszczół. Niestety, pomysł skończył się ekonomicznym bankructwem. Nie poddał się, pozyskał fundusze z różnych prywatnych muzeów (moda na egzotykę kwitła wtedy w Europie) i w 1913 r. popłynął ponownie, by badać daleką Parane.

Z rumieńcem podniecenia Michalina kusiła Juliusza: to, co mieliśmy zrobić w Polsce i dla Polski – zrobiliśmy. Nic więcej nie odkryjemy na Jurze. Nie wiążą nas już żadne obowiązki rodzinne ani zawodowe, mamy pewne oszczędności, które możemy przeznaczyć na podróż życia. Juliusz chłonał każde słowo, poczuł dzięki temu na nowo siłę młodzieńczej pasji. Niestety, natury nie da się oszukać, sterany organizm nie pozwolił na realizację marzeń. Zmarł w 1923 r. niedługo po ślubie z Michaliną.

Ta nie rezygnowała. Kontynuowała na miejscu w Zawierciu prace badawcze męża, a jednocześnie aktywnie szukała funduszy na wyprawę. W 1926 r. wyruszyła statkiem z Marsylii do Rio de Janeiro. Stamtąd do stolicy Parany, Kurytyby, gdzie liczyć mogła na wsparcie Polonii. Pisała o jej samotnych podróżach po lasach Parany Aleksandra Lipiec:

Poczucie największego spełnienia miała wówczas, gdy mogła się porównać do mężczyzn – swoich poprzedników, których śladem podążała, czując dumę z tego, że grożą jej te same niebezpieczeństwa. (...) Choć chciała widzieć siebie jako godną kontynuatorkę dzieła słynnych przyrodników, nie zawsze wykazywała się właściwą im hardością. Można odnieść wrażenie, że radziła sobie

5 T. Chrostowski, *Parana. Wspomnienia z podróży w 1914 r.*, Poznań-Warszawa 1922, s. 126-127.

lepiej w starciu z dziką naturą, w obliczu której zawsze starała się zachowywać zimną krew, aniżeli podczas konfrontacji z drugim człowiekiem. Nie wahała się wyruszyć w pojedynkę na polowanie, przemierzała wpływ rzekę, jadowite gady przepłasała z drogi gałęziami, a gdy odkryła olbrzymie gniazdo brazylijskich os, nie myślała o tym, jakie niebezpieczeństwo może jej grozić przy próbie zdjęcia go z drzewa, lecz w jaki sposób je opakować, by nie uległo uszkodzeniu. Kiedy do wagonu pociągowego wpadł duży chrząszcz, stała się wybawicielką wystraszonych podróżnych, ale za każdym razem, gdy przyszło jej bronić się przed czyjąś agresją, stawała się bezradna⁶.

Wróciła do Polski w 1928 r., przywożąc zbiór ok. 15 tys. motyli. Prezentowała część zbioru w Poznaniu, tam poznała młodego podróżnika Arkadego Fiedlera, który także w 1928 r. powrócił z podróży do Brazylii i – urzeczony jej przyrodą – planował kolejną wyprawę. Namowa Fiedlera zaowocowała wydaniem przez Isaakową dziennika podróży jako książki *Polka w Paranie*. Fiedler poprzedził ją entuzjastycznym wstępem:

Samiuteńka przyjechała z Polski, przez dwa lata żyła w Paranie i tuż przed moim przyjazdem do Ameryki wróciła do kraju. Niewiasta uzbrojona w niebywałą odwagę, szła sama między obcych ludzi, przebywała wśród Indian i dzikich kabokli, wdierała się w mroczną puszcę, tam gdzie nawet uzbrojony mężczyzna szedł niechętnie, i polowała gorliwie przez cały czas na najosobliwszą i najciekawszą zwierzynę, jaką stworzyła przyroda południowoamerykańska: na owady, a głównie na motyle.

W podobnym, pełnym szacunku tonie pisał o niej inny wielki polski podróżnik, mjr Mieczysław Lepecki:

Kobiety i dziewczęta, zgubione w sprawach dnia codziennego, widziały w niej jakby gwiazdę, jakby zjawisko nie z tego świata. Ileż ona musiała obudzić tęsknot, ledwie przezuwalnych myśli i nadziei. Wieści o dziwnej kobiecie, uczoney łowczyni motyli (*casadora dos borboletas*) zataczały coraz to szersze kręgi, przedostawały się pod palmowe strzechy ludzi leśnych, aby w końcu przeistoczyć się w legendę⁷.

Pierwsza Polka, która odważyła się na tak daleką i trudną wyprawę. Starsza pani (według ówczesnych kryteriów), która specjalnie nauczyła się jazdy konnej i strzelania z dubeltówki, by samodzielnie podbijać królestwo motyli. Pierwsza, uznana przez środowisko, entomolożka, dysponująca największym i najcenniejszym w Polsce zbiorem okazów. Kobieta, która potrafiła iść za marzeniem, *ewig, usque ad finem*...

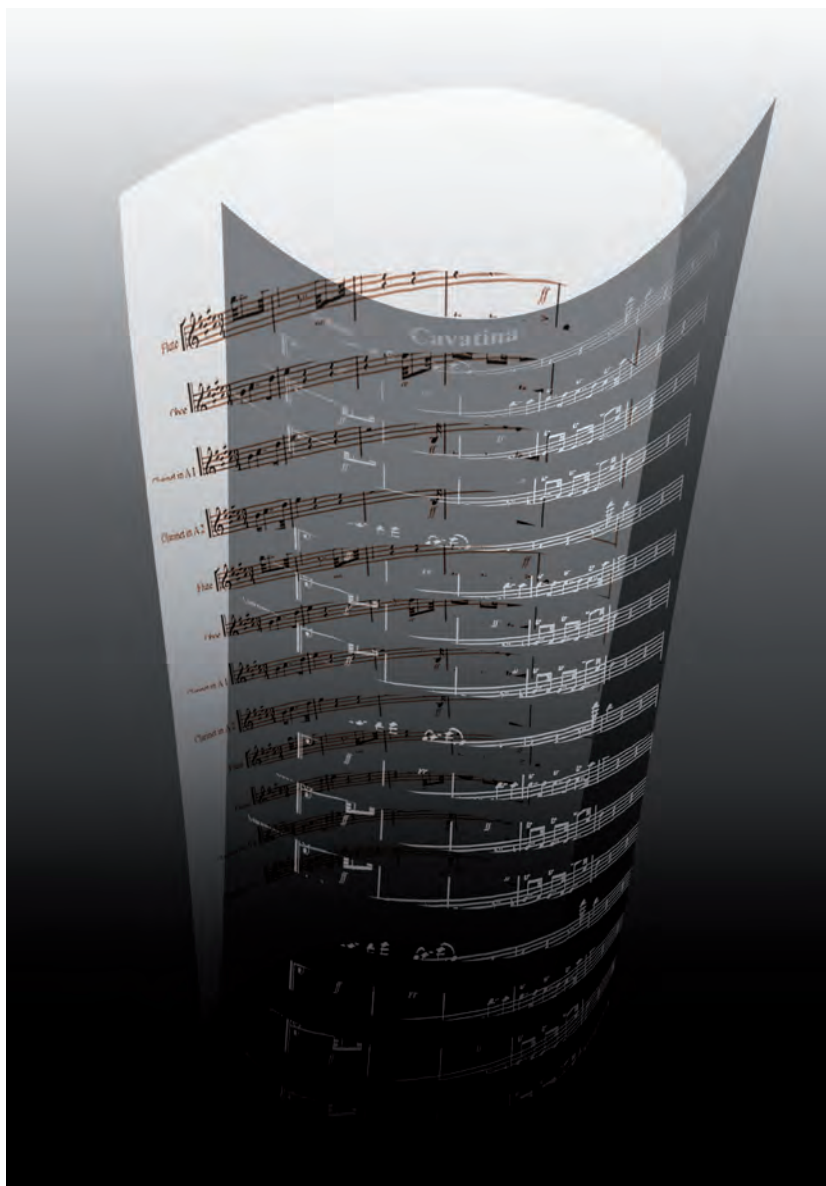
Aż do końca. Bo jedna wyprawa tylko rozpałała marzenia o następnych. W 1936 r. Michalina zapakowała kufry, przygotowała nowy sprzęt, nowe siatki na motyle i ruszyła w ponowną podróż do Parany. Towarzyszyła jej koleżanka z Zawiercia, pani Frączkowska, która – podejmując się męskiej profesji – zabrała ze sobą sprzęt fotograficzny. Niestety, wyprawa nie należała do udanych. Po kilku miesiącach Michalina rozstała się z fotografką, która nie wytrzymała

6 A. Lipiec, *Polka w puszczach Parany. Michaliny Isaakowej – wprowadzenie do edycji krytycznej*, „Artes Humanae”, vol. 3, 2018, s. 129-140.

7 M. Lepecki, *Parana i Polacy*, Warszawa 1962, s. 135

trudów podróży. A i Michalina w liście do znajomej skarżyła się na stan swojego zdrowia. Od końca 1937 r. do znajomych i rodziny nie przychodziły żadne wieści o Isaakowej. Prasa spekulowała o śmierci na febrę. W poszukiwanie podręczniczki zaangażował się osobiście Lepecki. Dopiero 31 sierpnia 1939 r. dotarło do Zawiercia pismo z polskiego przedstawicielstwa w Brazylii. Informowano w nim, że pani Michalina Isaakowa zginęła tragicznie w 1938 r., po rozbiciu indiańskiego czółna utonęła w wodach Ukajali. Tej samej rzeki, która nadała tytuł reportażowi Arkadego Fiedlera – relacji z wyprawy w 1933 r.

Dzień później po tej smutnej informacji zaczęła się wojna przekreślająca marzenia wszystkich.



Janusz Pacuda, *Wir – Cavatina Rossiniego*, z cyklu *Bezdźwięk*, projekt instalacji, druk na folii, plexiglas, 2019

Barbara Strzelbicka

RZKA, KOBIETY I MĘSKI PUNKT WIDZENIA

TOWARZYSTWO GALERIA LITERACKA zaprezentowało swoją kolejną książkę, wydaną w serii „słowa/granice” – powieść Wołodymyra Jaworskiego-Woldmura *Zapiski mojego przyjaciela T. R.* w tłumaczeniu Bogdana Knopa. Jest to druga książka ukraińskiego pisarza, po epopei *Pólsenne kartki z Diamentowego Cesarstwa i Królestwa Ziemi Północnej*, którą przełożył Bohdan Zadura (2021). Na promocję 3 kwietnia b.r. w Domu Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej autor nie przyjechał ze względu na trwającą w Ukrainie wojnę i swoje obawy dotyczące bezpieczeństwa, tak więc rozmówcą głównym i jedynym był tłumacz, przedstawiony także jako pisarz, wydawca, przedsiębiorca, prezes Towarzystwa i redaktor naczelny „Galerii”, z wykształcenia matematyk.

Choć książki nie należy oceniać po okładce, to tym razem okładka autorstwa grafika Andrzeja Chmielewskiego dobrze charakteryzuje zawartość powieści. Widoczne są na niej trzy kluczowe dla powieści motywy: rzeka, wkomponowany w fale akt kobiecy i buty mężczyzny stojącego na brzegu (klasyczne oxfordy). Swoją fascynacją rzeką W. Jaworski podzielił się z czytelnikami „Galerii” nr 71 w tekście *O pewnej polskiej rzece*, w powieści ważnym elementem jest Dniepr – podobnie jak fascynacja kobietami i kobiecością, zaś buty sygnalizują, że narracja jest prowadzona z męskiego punktu widzenia.

Pierwsza część rozmowy, którą przeprowadziła Barbara Strzelbicka, dotyczyła prezentowanej książki, w drugiej zaś znalazły się pytania odnoszące się do samego tłumacza. Fragmenty powieści czytała Olga Anna Wiewióra, a zrobiła to znakomicie, o czym świadczyły zasluchanie i brawa słuchaczy, którzy także podkreślali zalety przekładu. Padła też propozycja nagrania audiobooka.

Inicjały w tytule oznaczają bohatera Tychona Rożawskiego, jednak w dużym stopniu jest to książka autobiograficzna. Fabuła wyznacza w życiu bohatera dwa etapy, przedzielone momentem rozzarowania życiem w luksusie, postanowieniem przekazania majątku byłej żonie i poświęcenia się poszukiwaniu sensu, tu nazwanego „sekretnym teraz”. Fragmentaryczna konstrukcja narracji pozwala na ukazanie wielu aspektów życia Ukraińców i współczesnej Ukrainy (przed wybuchem pełnoskalowej wojny w 2022 r.), a także historii najnowszej, która do pewnego stopnia tłumaczy obecność opisów przemocy – przemoc bowiem rodzi przemoc, a ich pominięcie, co zaznaczył tłumacz, oznaczałoby fałszowanie oryginału. Wydanie ukraińskie zawiera dodatkowo reprodukcje obrazów i fotografie, jednak ze względu na różnice w podejściu do praw autorskich, z ilustracji zrezygnowano.

Bogdan Knop w dołączonym do powieści eseju *W poszukiwaniu utraconego sensu* wskazuje na bogaty kontekst literacki dzieła, odnoszący się do takich autorów, jak: Marcel Proust, Joris-Karl Huysmans, Michael Houellebecq, Herman Hesse, Julio Cortazar. Zapytany o to, jak wybiera książki do tłumaczenia, odparł, że one do niego przychodzą. Obecnie pracuje nad przekładem powieści mieszkającego w Polsce pisarza białoruskiego Uładzimira Niakłajewa. Nie obawia się konkurencji w postaci AI, która przekładu literackiego nie stworzy. Spotkanie zakończyliśmy życzeniem, by zawsze byli uważni i wyrafinowani czytelnicy, którzy potrafią odróżnić dobrze napisaną książkę od złej.

Pytanie o to, do czego tłumaczowi i pisarzowi przydaje się matematyka, nie padło na spotkaniu, ale to nic straconego – niebawem będzie okazja, by je Bogdanowi Knopowi zadać.

Barbara Strzelbicka

TYTUŁEM UZUPEŁNIENIA

ZBISŁAW JANIKOWSKI BYŁ W CZĘSTOCHOWIE ZNANY I LUBIANY, zmarł przed pięcioma laty podczas pandemii COVID, kiedy organizacja spotkań była obwarowana ograniczeniami. Zaległość tę postanowili nadrobić przyjaciele Zbisława, Zbinka, jak Go nazywano, w piątą rocznicę śmierci. Z inicjatywą wystąpił Jarosław Sobkowski, członek chóru „Pochodnia”, z którym Zbisław był żywotnie związany, choć sam nie śpiewał, ale z zespołem podróżował, a potem wyprawy opisywał.

Warto wspomnieć, że „Pochodnia”, powołana w 1930 r., obchodzi jubileusz 90-lecia istnienia i jest jednym z najstarszych chórów męskich w Polsce. Liczy obecnie 25 członków, dyrygentem jest Jarosław Łyczba. Występ chóru rozpoczął spotkanie kilkoma standardami światowej muzyki. W roli konferansjera wystąpił Tadeusz Piersiak, wprowadzony przez swoją następczynię na stanowisku dyrektora Muzeum Częstochowskiego, które świętuje jubileusz 120-lecia, Katarzynę Ozimek.

Ciekawostką spotkania było przekazanie Muzeum krzesła dedykowanego Zbisławowi Janikowskiemu – być może jest to zapowiedź czegoś większego, czyli ławeczki, na której będzie można przysiąc, bo na krzeselku się nie da, albowiem leży na niej kapelusz oraz główka laski, a na oparciu jeszcze wisi marynarka – i wszystko z blachy. Wprawdzie zapowiedź ławeczki nie padła, ale podpowiada nam ją intuicja, ponieważ Zbisław z całą pewnością zasłużył sobie na pełnowymiarową ławeczkę, ustawioną w miejscu publicznym.

Spotkanie zgromadziło 4 kwietnia w Sali Reprezentacyjnej Ratusza wielu uczestników, co nie było zaskoczeniem, bo Zbisław miał wielu przyjaciół – choć ze względu na ograniczenia czasowe nie wszyscy zdążyli wystąpić. Syn był niezwykle wzruszony i nie mógł mówić. O swojej przyjaźni i wieloletniej współpracy podczas tworzenia scenariuszy filmów historycznych o Częstochowie opowiadał Krzysztof Kasprzak, właściciel wytwórni KAS FILM, mogliśmy też posłuchać samego Zbisława podczas zarejestrowanej rozmowy z Wojtkiem Kowalskim, kiedy to opowiadał o swoich korzeniach i zainteresowaniach.

Z zawodu był Zbisław Janikowski inżynierem włókiennikiem, pisaniem zajął się po przejściu na emeryturę. Zaczęło się od książeczek dla dzieci, potem powstawały szopki noworoczne, systematycznie wystawiane w formie teatryku kukielkowego. Przewinęło się przez nie wiele osób, w ich imieniu wystąpiły z tekstami trzy panie: Anna Zagroba, Ewa Musik i Joanna Sobkowska, która odczytała swoją fraszkę:

Częstochowa bez Zbisława
niekompletna i smutnawa.
Czy jednego człeka brak
może być znaczący tak?

Po projekcji filmu część oficjalna imprezy miała się skończyć, jednak widowni udało się przekonać konferansjera, aby dopuścił do głosu jednego z chórzystów „Pochodni”, czekającego cierpliwie, by przedstawić swoje wspomnienie. Zbisław pomógł mu bowiem w przygotowaniu książki o ojcu, mistrzu fryzjerskim, który miał zakład przy ul. Dąbrowskiego – strzygł się u niego sam Zbisław. Chętnych do zabrania głosu było zapewne jeszcze wielu, ale spotkania

nie udało się przedłużyć, zaś wspomnienia były kontynuowane przy stole wernisażowym, gdzie spotkaliśmy się – przyjaciele Zbysława Janikowskiego.

Pasją Zbysława była historia Częstochowy, ale pamiętamy także Jego *Pieskę książkę kucharską*. Niewątpliwym hitem jest dzieło *Moja Częstochowa w PRL. Mój PRL w Częstochowie* (2019), uzupełnione podtytułem *Tylko dla cierpliwych*. Intensywna była współpraca Zbysława z Częstochowskim Oddziałem Towarzystwa Mickiewiczowskiego, zwłaszcza w kontekście postaci legendarnego nauczyciela Józefa Mikołajtisa, którego był siostrzeńcem i chętnie o tym opowiadał. Prowadził też spotkania ze znanymi postaciami życia kulturalnego naszego miasta, zatytułowane „Zbysław Janikowski rozmawia z...” – „Galeria” miała zaszczyt być Jego gościem.

Od 2011 r. Zbysław publikował w „Galerii” prozę i wiersze, a od numeru 44 (2017 r.) był stałym (i niezastąpionym) felietonistą, zamieszczając swoje *Rozmyślania*. Osiemdziesiąte urodziny Zbysława, które przypadły na dzień 11 lipca 2019 r., świętowaliśmy w numerze 50, w którym znalazła się nota biograficzna wraz z wykazem Jego publikacji. Wspomnienia o zmarłym 6 kwietnia 2020 r. Zbysławie Janikowskim, autorstwa Elżbiety Hurnik, Anny Jędryki, Andrzeja Piechockiego i Tadeusza Piersiaka, opublikowaliśmy w „Galerii” nr 54.

Co takiego miał w sobie Zbysław Janikowski, co zjednywało ludzi? Dobroć, życzliwość, mądrość oraz dystans i poczucie humoru, a także niezwykłą pracowitość i otwartość wobec ludzi i zmieniającego się świata. Przyjaźnił się z przedstawicielami różnych pokoleń, zdobywał nowe umiejętności, posługiwał się nowoczesnymi technologiami, podróżował. Takim Go pamiętamy.

Ida Jadwiga Łubińska

STRZAŁKOWSKA KONTRA GELLNER –

to tytuł Powiatowego Konkursu Recytatorskiego, który tradycyjnie już odbył się w Zespole Szkolno-Przedszkolnym nr 6 w Częstochowie 7 kwietnia. Szkoła znana jest z licznych inicjatyw społecznych, historycznych, poznawczych. Tegoroczny konkurs poetycki był kontynuacją zeszłorocznego o tytule „Brzechwa kontra Tuwim” i dotyczył innego pokolenia poetów. Prezentowane wówczas wiersze w większości znałam na pamięć, teraz poznawałam od podstaw dorobek twórczy konkurujących ze sobą autorek: Małgorzaty Strzałkowskiej i Doroty Gellner, pochodzących z młodszej generacji pokoleniowej. Bohaterki konkursu mają na swoim koncie imponujący dorobek. Ich teksty są znane i popularne, znajdują się w podręcznikach szkolnych, publikowane są w czasopiśmie dla dzieci, stanowią scenariusze programów telewizyjnych, a książki znajdują się na Liście Skarbów Muzeum Książki Dziecięcej.

Konkurs był skierowany do uczniów klas I–III publicznych i niepublicznych szkół podstawowych powiatu częstochowskiego. Uczniowie biorący udział w imprezie z pasją i wyczuciem prezentowali przygotowane przez siebie utwory. Mieli przemyślaną interpretację, gesty, stroje i rekwizyty.

Jurorzy konkursu, reprezentujący środowisko twórcze Częstochowy w składzie: Ida Jadwiga Łubińska – przewodnicząca, Jerzy Kowalik oraz Lech Grochulski nie mieli łatwego zadania. Rozważali różne aspekty i szczególnie w interpretacjach występujących w konkursie uczniów.

Laureatami konkursu zostali:

I miejsce – Aleksander Rzeźniczak ze Szkoły Podstawowej nr 26 w Częstochowie,

II miejsce – Zuzanna Deska ze Szkoły Podstawowej w Poczesnej,

III miejsce – Zofia Jachura, również ze Szkoły Podstawowej w Poczesnej.

Zwycięzcy oraz wyróżnieni uczniowie otrzymali nagrody książkowe, a wszyscy uczestnicy – pamiątkowe dyplomy. Licznie zgromadzona publiczność dopingowała wszystkich występujących gromkimi brawami, a nagrodzonych jeszcze głośniejszymi owacjami.

Barbara Strzelbicka

„GALERIA” MALARSKA

WYJĄTKOWĄ OPRAWĘ MIAŁA PREMIERA „GALERII” 73, ale też sama jest wyjątkowa, a to za sprawą obszernych publikacji związanych z malarzem Jackiem Mierzejewskim, który urodził się w Częstochowie, a w tym roku upłynęła setna rocznica jego śmierci. Czasopismo zawiera wyjątkowo dużo reprodukcji, w tym barwną wkładkę. O przywrócenie pamięci o twórcy w mieście jego urodzenia postarał się Tadeusz Wrona, który zgromadził cały materiał faktograficzny i ikonograficzny, odwiedzając muzea i archiwa w całej Polsce. Dla swojej idei pozyskał także sojuszników w osobach autorów tekstów i rozmówców, w tym wnuka malarza.

Premiera „Galerii” 73 miała miejsce 23 kwietnia w wyjątkowym dla nas obiekcie, bowiem w Muzeum Monet i Medali św. Jana Pawła II, gdzie również można było obejrzeć wystawę prac malarza, ich reprodukcji, kopii archiwalnych dokumentów oraz drzewo genealogiczne rodziny, autorskie opracowanie Tadeusza Wrony. Gośćmi honorowymi spotkania były kolejne pokolenia Mierzejewskich: Gabriela i Rafał, dzieci Jerzego, malarza i filmowca, oraz ich dzieci, którym T. Wrona przekazał tablicę genealogiczną, zaś sam otrzymał w darze pracę Jerzego Mierzejewskiego.

Podczas spotkania goście mogli obejrzeć prezentację T. Wrony, zawierającą ciekawe fakty z życia malarza, fotografie i dokumenty, a także refleksje dotyczące poszukiwań i interpretacji obrazów. Była też projekcja filmu dokumentalnego Jerzego Mierzejewskiego o ojcu.

W „Galerii” 73 nie zabrakło miejsca na twórczość literacką, choć podczas promocji punkt ciężkości był wyraźnie przesunięty w stronę malarstwa. Mamy nadzieję, że także literatura znajdzie zainteresowanie wśród czytelników, których krąg się nam poszerzył za sprawą postaci malarza, o którym pamięć, wraz z T. Wroną, staramy się przywrócić. Dziękujemy za gościnę Krzysztofowi Witkowskiemu, gospodarzowi Muzeum Monet i Medali.

Barbara Strzelbicka

NIEUSTAJĄCO INSPIRUJĄCA

HALINA POŚWIATOWSKA, NAJBARDZIEJ ZNANA POETKA pochodząca z Częstochowy, gdyby żyła, świętowałaby 9 maja tego roku dziewięćdziesiąte urodziny. Niestety, zmarła 11 października 1967 r., mając lat 32. Jej twórczość cieszy się niesłabnącą popularnością, dowodząc niezwykłego talentu poetki.

Częstochowa uczęcała rocznicę licznymi imprezami, w organizację których włączyło się wiele instytucji. Obchody rozpoczęły się w wigilę urodzin czytaniem wierszy Poświatowskiej w Domu Poezji, Muzeum jej imienia. Nazajutrz rano władze samorządowe złożyły kwiaty pod tablicą pamiątkową na domu przy ul. 7 Kamienic 17, gdzie poetka przyszła na świat. Tego samego dnia w Sali Reprezentacyjnej Ratusza miał miejsce otwarty panel dyskusyjny, zorganizowany przez literaturoznawczynie związane z Uniwersytetem im. Jana Długosza i Towarzystwem Literackim im. A. Mickiewicza: Elżbieta Hurnik, Katarzyna Janusz, Joanna Warońska i Elżbieta Wróbel. Uczestniczki przedstawiły twórczość bohaterki wieczoru z różnych punktów widzenia – w zależności od obszaru badań, którymi się zajmują. Do rozmowy włączyli się goście, znający omawianą twórczość, były także czytane wiersze Poświatowskiej. Tłem spotkania były zainspirowane poezją obrazy pod wspólnym tytułem „Ukojenie” autorstwa Małgorzaty Omelańczuk-Pawluk, która przybyła do Częstochowy 22 maja, by wziąć udział w rozmowie z Władysławem Szelągim, prezesem Towarzystwa Historycznego im. Szembeków. Dwukrotnie, bo 9 i 11 maja, Teatr im. A. Mickiewicza wystawił spektakl „Listy niosące miłość” w wykonaniu Agnieszki Łopackiej, z wykorzystaniem wierszy i listów miłosnych poetki.

Kolejny dzień, czyli 10 maja, był także obfity w wydarzenia. Rozpoczął się od zwiedzania Domu Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej, po którym oprowadzał brat poetki Zbigniew Myga, kustosz tego miejsca oraz pamięci o utalentowanej siostrze. Potem były warsztaty plastyczne dla dzieci, a „Śladami Haliny Poświatowskiej” oprowadził po Częstochowie dr Juliusz Sętowski.

Do obchodów włączyły się Miejski Dom Kultury wystawą i czytaniem wierszy, oraz Szkoła Podstawowa nr 8 im. Haliny Poświatowskiej z niezwykle bogatym programem, adresowanym głównie do dzieci i młodzieży, zakończonym międzypokoleniowym piknikiem.

Pomimo upływu lat, zarówno postać, jak i twórczość Haliny Poświatowskiej są nieustająco inspirujące, jej poezja nie starzeje się i chętnie ją czytają ludzie młodzi. Może dlatego, że sama poetka na zawsze pozostała młoda?

Barbara Strzelbicka, Bogdan Knop

SPOTKANIE PO SĄSIEDZKU

NA SPOTKANIE AUTORSKIE PAULINY WYSOCKIEJ-MORAWIEC pojechaliśmy 16 maja do Konopisk, zadbanego miasteczka z imponującą, nowoczesną halą sportową, w której jest miejsce na literackie wydarzenia. Pretekstem do spotkania była promocja czwartej powieści obyczajowej Autorki, zatytułowanej *Miłość po sąsiedzku*. Przybyło na nie liczne grono gości, a jednocześnie czytelników jej prozy, w tym Zastępczyni Wójta Gminy Konopiska Agata Najnigier oraz Przewodniczący Rady Gminy Kamienica Polska Michał Otrębski. Rozmowę z autorką prowadził dyrektor Gminnej Biblioteki Publicznej w Konopiskach Piotr Meszasz, który także, jak się wydaje, należy do klubu miłośników prozy Pauliny Wysockiej-Morawiec.

Jej przygoda z pisarstwem rozpoczęła się od niewinnego pytania koleżanki o to, co chciałaby w życiu robić. Po zastanowieniu się odparła, że... pisać, choć kształciła się w całkiem innym kierunku. Pierwsza powieść nie zdobyła zbyt wielu czytelników, zaś kolejne okazały się lepiej trafiać w gusty odbiorców – z tym, że zakończenie jednej z książek musiała zmienić na optymistyczne, bo to „życiowe”, a więc lepiej przystające do realiów, spotkało się z protestem. Sama

pisarka określiła, że pisze o zwyczajnych ludziach, takich, których życie obserwuje. Stara się też pogłębiać swoją wiedzę, gdy zachodzi taka potrzeba, bowiem nie chce ugrzęznąć w tym samym świecie przedstawionym. Oprócz powieści obyczajowych pisze także opowiadania satyryczne, które były drukowane w Częstochowskim Magazynie Literackim „Galeria” oraz w antologii *W kręgu Galerii*. Myśli też o książeczce dla dzieci oraz o powieści kryminalnej. Bogdan Knop, obecny na spotkaniu, zwrócił uwagę na opowiadanie z wątkiem fantastycznym (*Uważaj na wodnika*, „Galeria” nr 71, lipiec–wrzesień 2024, s. 46–52), który to wątek zasługuje na kontynuację.

Zajrzeliśmy także do kuchni warsztatu pisarskiego. Prowadząc życie rodzinne (mąż i dwie uroczne córki obecni byli na spotkaniu) i pracując zawodowo, czas na pisanie znajduje rano oraz w niedzielę (to hobby, nie praca, więc nie grzeszy, jak sama mówi). Pochylając się nad klawiaturą komputera, widzi postacie, które stworzyła i które wydają się żyć własnym życiem.

Gratulujemy naszej młodej Koleżance i życzymy, aby postacie nadal zaludniały jej wyobraźnię i chętnie przenosiły się na papier.

Barbara Strzelbicka

MUZYCZNE DZIESIĘCIOLECIE

ZESPÓŁ „IMPAST”, KTÓREGO ZAŁOŻYCIELKĄ I LIDERKĄ JEST ALEKSANDRA KOWALSKA, świętował swoje dziesięciolecie. Obchody były niezwykle uroczyste, ich część główna miała miejsce 31 maja w Muzeum Monet i Medali św. Jana Pawła II. Sala widowiskowa Muzeum zgromadziła wielu oficjalnych i prywatnych gości, których przywitała i przedstawiła konferansjerka Angelika Kawecka. List Prezydenta Częstochowy Krzysztofa Matyjaszczyka, honorowego patrona imprezy, został przekazany przez Naczelnika Wydziału Informacji i Komunikacji Aleksandra Wiernego i radną miejską Krystynę Stefańską. Arcybiskup Metropolita Częstochowski Wacław Depo, drugi patron, przybył już po części oficjalnej i opuścił salę przed zakończeniem koncertu, więc nie przemawiał – ale swoją obecnością uroczystość zaszczycił.

Z krótkiego filmu dowiedzieliśmy się o historii zespołu, jego koncertach w różnych miejscach i towarzyszeniu rozmaitym imprezom oraz o kolejnych zmianach składu. O zespole „Impast”, który powstał w listopadzie 2015 r., i o jego założycielce pisaliśmy w „Galerii” 46 (kwiecień – lipiec 2018), rozszyfrowując także jego nazwę. Impast (wł. *impasto* – ugniatam) to nazwa techniki malarskiej, polegającej na nakładaniu na płótno grubych warstw farby, dzięki czemu powstają trójwymiarowe efekty, dodające obrazowi głębi i wyrazistości. Dla zespołu nazwa jest także akronimem, wyrażającym jego misję: I – inwencja, M – miłość, P – prawda, A – artyzm, S – serce, T – twórczość. Brakuje tylko litery W – jak wiara, bo są to teksty silnie nacechowane wiarą religijną. Teksty i muzykę pisze liderka, która także wykonuje utwory – śpiewa i gra na gitarze akustycznej. Od kilku lat wspomaga ją wokalnie córka, Magdalena Sadlej. Pozostali muzycy to: Bartosz Sadlej – gitara elektryczna, Robert Machalski – gitara basowa, Tomasz Mężyk – instrumenty klawiszowe. Zespół zalicza siebie do nurtu poezji śpiewanej i ma na koncie dwie płyty: „Impast” oraz „Na nieboskłonie”.

Aleksandra Kowalska wykształceniem związana jest ze sztukami plastycznymi i muzyka nie jest jedynym sposobem jej ekspresji twórczej. Uprawia malarstwo, rysunek i grafikę, swoje

prace eksponuje na wystawach indywidualnych i zbiorowych, często łącząc je z koncertami. Jest także autorką dwóch tomików poetyckich: *W objęciach Boga. Miniatury szpitalne* (2015) i *Polana dwojga* (2018). Jest twórczynią pracowni artystycznej „Na ścieżce sztuki”. W 2022 r. otrzymała honorowe odznaczenie „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, zaś w r. 2023 obchodziła jubileusz 30-lecia pracy artystycznej.

Zaprezentowany publiczności jubileuszowy koncert był niezwykle bogaty – zarówno w utwory, jak i w zespół wykonawców, bowiem zostali zaproszeni dawni członkowie i inni muzycy współpracujący z zespołem. Uwagę zwróciła ekspresyjna skrzypaczka i wokalistka Michalina Putek, w jednym utworze wystąpił akordeonista Leszek Nagiel, akompaniujący A. Kowalskiej do piosenek francuskich, w części utworów śpiewał także chór złożony z czworga profesjonalnych śpiewaków. Koncertowi towarzyszyła wystawa plakatów zapowiadających koncerty.

Koncert był niezwykle pogodny, urozmaicony efektami świetlnymi, zakończył się wspólną fotografią wszystkich, którzy w zespole grali i śpiewali. Majowy wieczór był także niezwykle pogodny. Takiej też pogody życzymy „Impastowi” na dalsze dziesięciolecia!

Barbara Strzelbicka

NA CZWORO RĄK

TADEUSZ WRONA MA SZCZĘŚLIWĄ PASĘ: niedawno (23 kwietnia) święcił triumfy jako *spirythus movens* przedsięwzięcia przywrócenia pamięci o Jacku Mierzejewskim, malarzu urodzonym w Częstochowie, a już 4 czerwca promował swój czwarty tom poetycki zatytułowany *Ręce w górze*, wydany przez Towarzystwo Galeria Literacka. Spotkanie autor-skie miało miejsce w Regionalnym Ośrodku Kultury i przybyło na nie wielu gości – zarówno przyjaciół i znajomych autora, dziennikarzy i ludzi kultury, a tym zwłaszcza parających się pisarstwem. Obecni byli prof. Katarzyna Janus, autorka posłowania do książki, oraz Mariusz Grądmán, którego obraz jest reprodukowany na okładce. Podczas części oficjalnej wystąpili wicedyrektor ROK Adam Kołodzian oraz prezes Towarzystwa Bogdan Knop, następnie zaś wystąpił bohater wieczoru, który na wstępie zaproponował uczczenie minutą ciszy pamięci zmarłego 11 maja Janusza Mielczarka, a następnie przywitał gości. Wprowadzeniem w nastrój zajęły się: pianistka prof. Ludomira Grądmán, która muzyką towarzyszyła nam do końca spotkania, a także Olga Anna Wiewióra, pisarka, tłumaczka i krytyczka literacka, czytająca teksty.

Rozmowa z autorem zaczęła się pytaniem o wspomnienia związane z datą 4 czerwca, obchodzonym w Polsce jako Dzień Wolności i Praw Obywatelskich na pamiątkę rocznicy pierwszych częściowo wolnych wyborów parlamentarnych w 1989 roku. Zanim jednak bohater wieczoru odpowiedział na pytanie, zaprotestował przeciwko przedstawieniu go jako człowieka wielu talentów, nauczyciela akademickiego z tytułem dr. inż., samorządowca, wieloletniego prezydenta Częstochowy, działacza opozycji demokratycznej i urzędnika państwowego, a teraz poety. Na tym spotkaniu T. Wrona wolałby być tylko poetą, jednak opowiedział o swoich refleksjach związanych z datą.

Dalsza część rozmowy była już związana z książką i jej zawartością i krążyła wokół środków stylistycznych, w tym zwłaszcza metafor, i ich interpretacji oraz poruszanej w wierszach tematyki. Jeden z wątków dotyczył wpływu doświadczeń życiowych na twórczość, zwłaszcza że

w tomie, podobnie jak w poprzednich, znalazła się część zawierająca twórczość młodzieńczą – tym razem oprócz wierszy włączony został tekst dramatu, wystawionego w teatrze studenckim „Rezonus”. Ciekawym zabiegiem było rozpoczęcie obydwu części – współczesnej i młodzieńczej – wierszami o rękach: *Ręce w górze* i *Ręce do góry*, na co zwróciła uwagę prof. K. Janus, która też wystąpiła z krótką przemową. Została przywołana opinia literaturoznawczyni prof. Elżbiety Hurnik, która wyodrębniła cztery dominanty w wierszach: wiara religijna, wierność ideałom, bliska więź z drugim człowiekiem oraz poczucie przynależności do świata przyrody. Na pytanie o temat starzenia się i starości T. Wrona odpowiedział wymijająco, przyznał jednak rację zdaniu Adama Hanuszkiewicza, że starość jest kwestą decyzji.

Jako uzupełnienie rozmowy, którą prowadziła niżej podpisana, jednocześnie redaktorka tomu, usłyszeliśmy teksty w interpretacji Olgi Wiewióry, samego autora oraz prezentowane w dialogu. W czasie przeznaczonym na pytania gości wystąpił poeta Janusz Strojec z tekstem dedykowanym T. Wronie i jego Małżonce z okazji niedawnego ślubu.

Dołączamy się z gratulacjami i życzeniami!

Barbara Strzelbicka

WARSZTATOWO NA LUDOWO

WARSZTATY ORGANIZOWANE PRZEZ TEATR IM. A. MICKIEWICZA CIESZĄ się dużym zainteresowaniem. Ich efektem jest spektakl wystawiany na scenie. W tym półroczu jest to przedstawienie zatytułowane „Sielsko-anielsko”, wyreżyserowane przez znakomitego aktora o doskonale ustawionym głosie Marka Ślosarskiego, absolwenta – co jest tutaj niezwykle ważne – wydziału wokalnno-aktorskiego Akademii Muzycznej w Katowicach. Tytuł sugeruje zawartość folklorystyczną, ale jest to folklor przetworzony, nie źródłowy. Znajdziemy tu wiele tekstów zaczerpniętych z kultury – od fragmentów „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego, poprzez wiersze Jana Kochanowskiego, aż do piosenek zespołu „Mazowsze”, brawurowo wykonanych zarówno wokalnie, jak i tanecznie. Jest kilka występów solowych, jednak większość to gra zespołowa – w różnych konfiguracjach, a trzeba dodać, że występują 23 osoby, w tym 4 mężczyźni, więc możliwości jest wiele. Pomysłowa choreografia, świetne przygotowanie aktorów-amatorów, ludzi w różnym wieku, tańczących i śpiewających bez fałszu i z dobrą dykcją. Całość skrzy się od humoru, dobrze znane teksty przedstawione są w nowej interpretacji i w zaskakujących kontekstach, a scena emanuje energią.

Przygotowanie spektaklu zajęło 4 miesiące – to niedługo jak na pracę z amatorami, w dodatku z tak dobrym efektem. Marek Ślosarski jest też autorem scenariusza i choreografii, choć przyznaje, że na końcowy efekt mieli wpływ uczestnicy warsztatów. Przygotowaniem muzycznym oraz akompaniamentem na instrumencie klawiszowym zajęła się Marzena Lamch-Łoniewska, aranżacji dokonał Michał Walczak, który także grał na gitarze uzupełnionej o stomp box, na saksofonie Łukasz Klucznik, a na skrzypcach Oliwia Migoń. Kostiumy są prywatne, umownie ludowe, co dobrze się wpisuje w konwencję. Scenografię przygotował Stanisław Kulczyk. Całość przedsięwzięcia koordynowała Ewa Oleś, kierownik literacka Teatru.

Premiera miała miejsce 22 maja, spektakl przewidziany jest do wystawienia jeszcze we wrześniu, a warto go zobaczyć, bo to znakomita zabawa w bardzo dobrym stylu.



Życie Muzyczne Częstochowy w latach 1918-1939. Wanda Malko,
projekt okładki Janusz Pacuda, wydawca – Ośrodek Promocji Kultury Gaude Mater w Czę-
stochowie, 2008



ARKADIUSZ FRANIA, *Agatka mówi, że...* Powiadania filozoficzne, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2025, wydano w serii „Biblioteka Galerii”.

Książka, którą trudno zakwalifikować, bo pisana w dużej części prozą, a jednak poetycka, zaś wierszyki to czysty nonsens. 120 powiastek, nazwanych „powiadaniem”, z gruntu filozoficznych. Najważniejsze jest jednak to, co dzieje się w warstwie językowej. Na okładce teksty Agaty Jałowieckiej-Frani – tytułowej Agatki, Arkadiusza Frania oraz Barbary Strzelbickiej, redaktorki. Szatę graficzną przygotował Jacek M. Krasucki. [BS]



TADEUSZ WRONA, *Ręce w górze*, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2025, wydano w serii „Biblioteka Galerii”.

Czwarty tom poetycki autora, zawierający wiersze najnowsze oraz dodatek w postaci „Wierszy młodzieńczych” i krótkiego dramatu, napisanego w latach 1976–1977, który publikujemy w niniejszym numerze, aby zaanonsować książkę. Posłowiem opatrzyła tom prof. Katarzyna Janus. Na okładce obraz Mariusza Grądmiana. Autorem szaty graficznej jest Jacek M. Krasucki. [BS]



PAULINA WYSOCKA-MORAWIEC, *Miłość po sąsiedzku*, Wydawnictwo „Replika”, Poznań 2025.

Czwarta powieść obyczajowa tej autorki, znanej z opowiadań publikowanych w „Galerii”. Bohaterką jest kobieta, która po latach wraca do rodzinnej wsi i spotyka tam mężczyznę, z którym była uczuciowo związana. Okazuje się, że uczucie nie wygasło, ale też na jaw wychodzi pewna pilnie strzeżona tajemnica. I choć wydaje się, że wszystko jest do naprawienia, to jednak nie obywa się bez komplikacji. [BS]

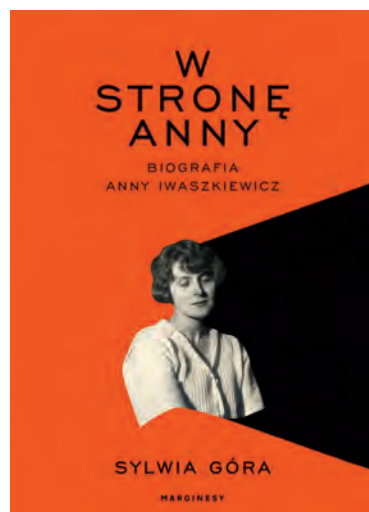
KONRAD LUDWICKI, *Chrystus w więzieniu. Ostatnie godziny życia ziemskiego*, Wydawnictwo „Sumus”, Zielonka 2025.

Ks. Prof. Waldemar Chrostowski, autor *Przedmowy*: „Na kartach książki widzimy Chrystusa jako Syna Bożego, ale też jako postać historyczną. W konkretnym wydarzeniu – uwięzieniu. Faktu, będącego białą plamą w Piśmie Świętym, lecz obecnego w wizjach mistyczek. Kobiet wiarygodnych, których świadectwa posiadają *nihil obstat* Kościoła. Autor pod wpływem ich sugestii buduje szczegółową narrację. Relacjonuje czas męki i uwięzienia w karcerze.



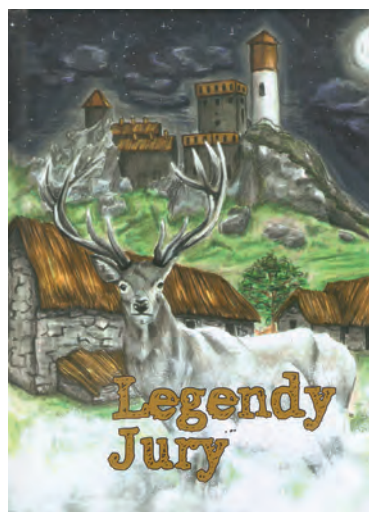
SYLWIA GÓRA, *W stronę Anny. Biografia Anny Iwaszkiewicz*, Wydawnictwo „Marginesy”, Warszawa 2025.

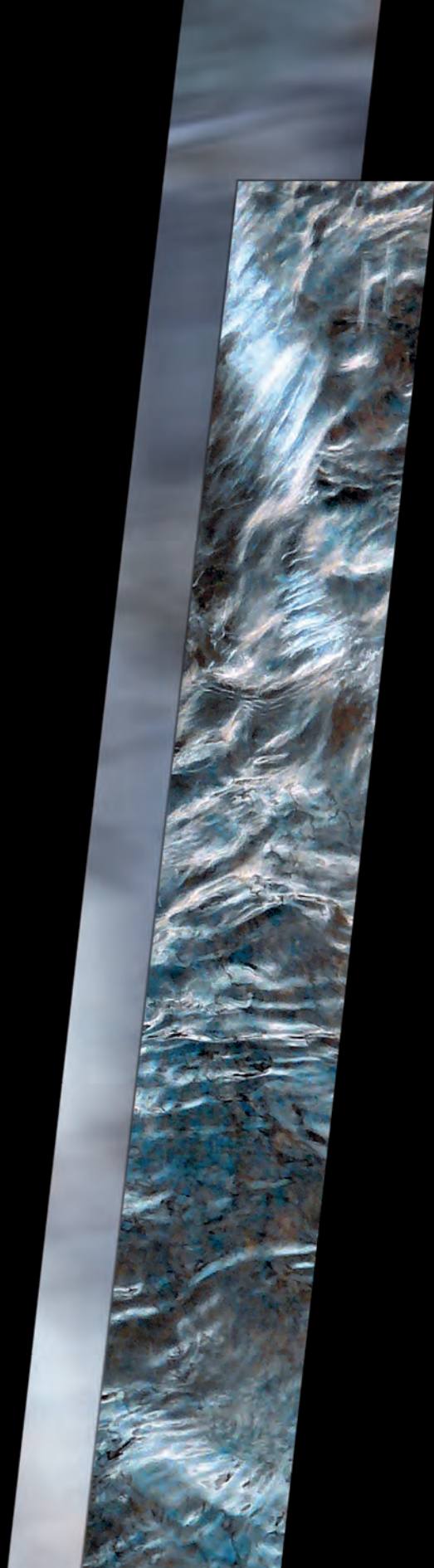
Zrekonstruowana z listów, dziennika bohaterki i wspomnień bliskich oraz z pozostałych dokumentów opowieść o żonie Jarosława Iwaszkiewicza. O swojej pracy nad książką autorka, która jest częstochowianką, opowiadała podczas promocji 12 czerwca b.r. Mówiła o życzliwym podejściu rodziny, która udzieliła zgody na dostęp do dokumentacji, w tym także medycznej, dzięki czemu czytelnicy otrzymują informacje wiarygodne. Biografia ma ciekawą, niechronologiczną konstrukcję. [BS]



LEGENDY JURY II, Regionalny Ośrodek Kultury w Częstochowie, Częstochowa 2025.

Jak czytamy w *Słowie wstępnym* dyrektorki ROK Małgorzaty Majer-Sętowskiej, książka jest pięcioletnim plonem konkursu „Legends Jury. Regionalny Konkurs Legend, Baśni, Podróży”. Konkurs adresowany jest do młodzieży i dorosłych, w jego skład wchodzi część literacka (prezentowane są teksty nagrodzone w latach 2019–2023) i plastyczna na ilustrację (tu zaprezentowano prace nagrodzone w latach 2020–2024). Publikację przygotowano bardzo starannie, w ramach obchodów siedemdziesięciolecia ROK. [BS]





Janusz Pacuda,
Źródło,
druk cyfrowy,
2020

JANUSZ PACUDA

Grafik, projektant wizualnej komunikacji, twórca instalacji, autor publikacji z zakresu percepcji sztuki, nauczyciel akademicki. Urodził się w 1953 roku w Częstochowie. Absolwent Wydziału Grafiki w Katowicach, filii Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Doktorat w dziedzinie sztuki uzyskał w roku 1992, a habilitację w roku 2005. Członek Stowarzyszenia Marynistów Polskich.



Od 1985 roku do chwili obecnej jest pracownikiem naukowo-dydaktycznym Wydziału Sztuki Uniwersytetu im. Jana Długosza w Częstochowie. Od 2006 do 2018 roku prowadził zajęcia na Wydziale Grafiki w Wyższej Szkole Technologii Informatycznych w Katowicach. W latach 2010–2014 był wykładowcą kursu Projektowania Graficznego w Studium Sztuki Sakralnej Wyższego Instytutu Teologicznego w Częstochowie, który jest filią Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie.

Projektowanie komunikatów wizualnych, kontynuowane od 1979 roku, jest najczęściej związane z zapotrzebowaniem środowisk społecznych najbliższego otoczenia – miasta Częstochowy. Wybrane realizacje:

Autor znaków graficznych, w tym m.in.:

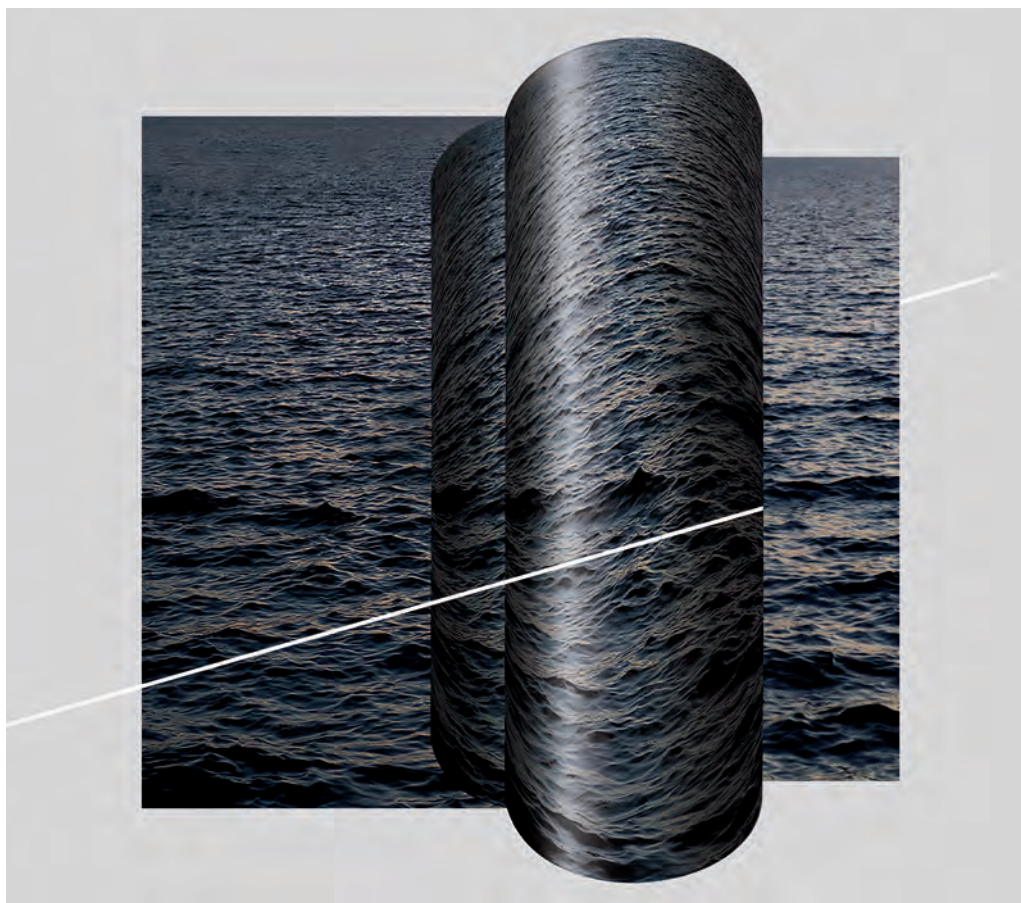
- Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”, 1991;
- Godła Promocyjnego Miasta Częstochowy z 1992 roku;
- Zespołu Pieśni i Tańca „Częstochowa”, 1998;
- godła promocyjnego konkursu *Teraz Częstochowa*, 1993.

Współautor, z Elżbietą Siwik, opracowania graficznego *Monografii Historycznej Częstochowy. Dzieje Miasta i Klasztoru Jasnogórskiego*, 2002, 2007.

Aktywność naukowa, dotycząca zagadnień związanych z kreacją języka komunikacji wizualnej:

- Autor i projektant graficzny publikacji monograficznej *Interface. Przestrzeń komunikacyjna w percepcji dzieła artystycznego*, 2004, a także publikacji zwartych: *Znaki – podstawowy język informacji wizualnej*, 1996; *Struktury Wizualne*, 1999;
- Redaktor i współautor monografii, a zarazem projektant graficzny: *Problematyka przestrzeni w sztuce*, 2011; *Morze. Artyści. Inspiracje*, 2012; *Duchowość Morza*, 2014; *Rysunek. Sens. Źródła*, 2016; *Obraz – Sens. Zapis. Kreacja*, 2019.

Udział w licznych międzynarodowych i ogólnopolskich wystawach, na których eksponowane były grafiki w postaci druków cyfrowych, a także instalacji.



Janusz Pacuda, *Od krywanie*, druk cyfrowy, 2025



Janusz Pacuda, *Transgressio*, druk cyfrowy, 2025

Jan Ciesielski

ZACZACZENIE

Czy Częstochowa to, czy Wschowa,
To na każde pytanie,
Jedna odpowiedź jest: czadowa,
Czadowo proste zdanie!

Czadowy film, czadowe role,
Czadowe przerwy w szkole,
Czadowe muchy dwie w rosole,
W szafie czadowe mole.

Czadowy przebój, włos czadowy,
Czadowy uśmiech dziecka,
Zupełnie nowy strój czadowy,
Czadowa stara kiecka.

W sezonie letnim, daję słowo,
Gdy wszystkie śpią kotłownie,
Ciągłe czadowo słyszę wkoło –
Bez czadu – tak dosłownie.

Kiedyś już była mowa-trawa,
Spokojna Wieszczów głowa,
Dziś ich poezja – ciężka strawa,
W przyszłości – znów czadowa?

Być może wiersz ten jest czadowy,
Choć w staroświeckim drylu.
Od czadu może być ból głowy,
Gdy w zbyt czadowym stylu.

Powietrze zdrowe – też czadowe,
Czadowe są wakacje,
I ja też liczę, kończąc mowę,
Na czadowe owacje.

A polonistek – praca nielekka,
Kiedy usłyszą: czadowa facetka!

GALERIA

CZĘSTOCHOWSKI MAGAZYN LITERACKI

Copyright © TOWARZYSTWO GALERIA LITERACKA

REDAKCJA:

Barbara Strzelbicka (sekretarz redakcji), Bogdan Knop (redaktor naczelny),
Ida Jadwiga Łubińska, Olga Wiewióra, Arkadiusz Frania.

STALI WSPÓŁPRACOWNICY:

Małgorzata Franc, Małgorzata Nowakowska-Karczewska, Alicja Nowak,
Elżbieta Jolanta Gola, Marian Panek, Tomasz „Aztzenty” Barański, Wiesława Owczarek,
Jan Ciesielski, Jarosław Kapsa, Anna Jędryka, Andrzej Zembik.

LAYOUT: Andrzej Chmielewski

SKŁAD: J.M. Krasucki

REDAKTOR TECHNICZNY: Jarosław Leszczuk

DRUK:

Drukarnia Usługowa „Gryf”



ul. Garibaldiiego 14 a
42-200 Częstochowa
www.gryf.czyst.pl

PRINTED IN POLAND.

WYDAWCA:

Towarzystwo Galeria Literacka



ul. Metlera 4
42-224 Częstochowa
www.galerialiteracka.pl

Adresy e-mail do przesyłania materiałów w formie elektronicznej:

galeria.literacka@gmail.com

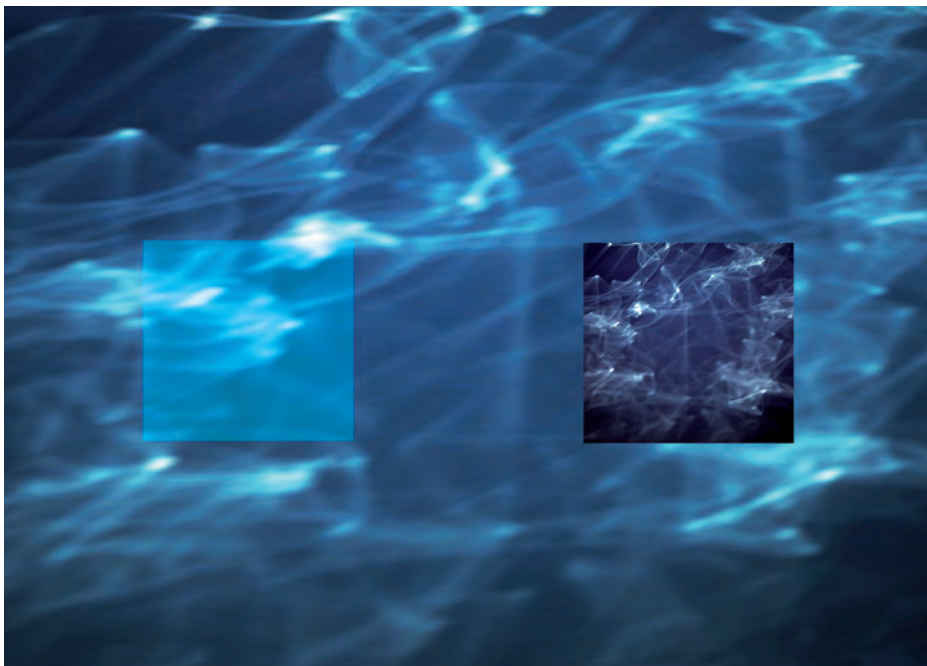
Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000545735 Regon: 360871693 NIP: 9492200168

Nr rachunku: mBank 06 1140 2004 0000 3302 7814 7608

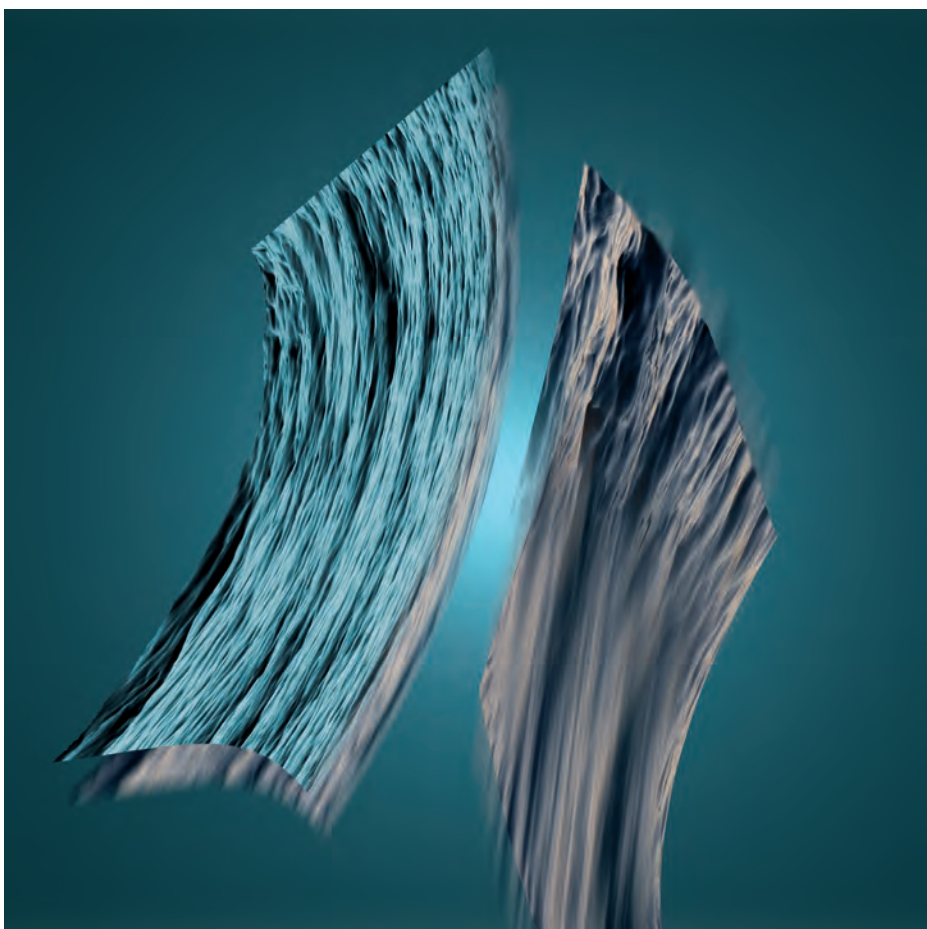
Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

ISSN 2449-5328



Janusz Pacuda, *Blask*, druk cyfrowy, 2022



Janusz Pacuda, *Bryza*, druk cyfrowy, 2022

mała **GALERIA**



Janusz Pacuda, *Bez Kres*, druk cyfrowy, 2018